



CHRISTINA
KRÜSI

RAJ
BYŁ MOIM
PIEKŁEM

Spis treści

Przedmowa
Xaume – witajcie!
Dzień dobry, to ja, prawda
Przybycie do Boliwii
Manuca
Tumi Chucua
Dziewczyna z iskrami w oczach
Halloween
Dotyk
Podwójne życie
Ostrzyżona – moja lalka
Złamana
List
Matka Ziemia
Wychodek
Miss Lilly
Parasol
Tylko zabawa
Komunia I
Komunia II
Zmęczenie życiem
Burzliwy lot
Znak we śnie
Thuste pierniczki
Wypadek na motorze
Miałaś szczęście
Duch Święty
Torebka miodu
Boliwia–Szwajcaria
Na zimnie
Nastolatka
Stuttgart
Najlepsze dzieciństwo?
Egzorcyzmy
Bicie dzwonu
Szkoła plastyczna
Rewolucjonistka
Szwajcaria–Afryka
Odejście
Paraliż
Na ostrzu noża
Ostatni hołd
Lista życzeń
Atak
Analiza możliwości do kwadratu
Zarządzanie
Mój wybór
Mów!
Christof
Bezwarunkowa miłość
Marzę dalej
Posłowie

Przedmowa

„Przemów, Christino, przemów!”, rozbrzmiewało w głowie Christiny wiele lat po tym, jak wydobyła przeszłość na światło dzienne i stawiała jej czoło. Christina wzbraniała się, chciała po prostu cieszyć się swoim nowym, szczęśliwym życiem. Było jednak słusznym krokiem, by opublikować tę historię, ponieważ niezależnie od tego, jak układa się życie czytelników, podczas lektury wszyscy myślą: „Skoro ona tego dokonała, i mnie się uda!”.

Niezależnie od sytuacji życiowej i piętrzących się problemów zawsze można znaleźć rozwiązanie. Christina jest na to najlepszym dowodem.

Dziś jest zdrowa, żyje w szczęśliwym związku, ma wsparcie rodziny, jest niezależna finansowo, odnosi sukcesy zawodowe i promienieje wewnętrznym spokojem. Angażuje się w wielką sprawę ochrony dzieci przed przemocą i wykorzystywaniem.

Wiele osób występujących w książce wymaga szczególnej ochrony, dlatego nadano im pseudonimy.

Niektóre sytuacje zostały również nieco zmienione, dostosowane do miejsc i czasu. Organizacja Wycliffe współpracuje ściśle ze stowarzyszeniem SIL, zajmującym się badaniem języków. Obie instytucje zostały założone przez tę samą grupę. Dla uproszczenia nie rozrózniono ich i nazywano zbiorczo Wycliffe.

Warto pokonać swoje lęki i zacząć mówić – zeznania części ofiar sprawiły, że w organizacji Wycliffe wprowadzono wzorcowy program ochrony dzieci.

Oby książka ta dodała każdemu czytelnikowi odwagi do zmiany swego życia na lepsze.

Gudrun Ruttkowski

Xaume – witajcie!

Nie miałam czasu przywitać się ze słońcem, ponieważ musiałam szybko pobiec do łazienki. Przeskakiwałam boso z kamienia na kamień – obym tylko nie miała znowu czerwonych stóp! Nadal czułam zmęczenie i chciałam jak najszybciej położyć się w hamaku. Drzwi do małej toalety były uchylone. Zerknęłam do środka, by sprawdzić, czy nie ukrywa się tam jakieś dzikie zwierzę. Często zaglądały tu węże, nietoperze i małe dziki. Matka od wczesnego dzieciństwa uczyła mnie, by zawsze skontrolować toaletę, zanim do niej wejdę. Wszystko w porządku. Z głębokiej dziury unosiły się wstrętne wyziewy.

Pójdźcie do toalety zawsze było małą wyprawą w nieznaną, przygodą, przede wszystkim rankiem, o pustym żołądku. Towarzyszyły mi obawy i lekkie obrzydzenie, ale także odrobina ciekawości, jakie to zwierzę spotkam tego dnia. Jak też zwierzęta mogły spać spokojnie w tym okropnym smrodzie?

Z ulgą zamknęłam za sobą drzwi. W małym bananowym zagajniku, w naszym ogrodzie, wiał świeży poranny wietrzyk. *Kiedy te zielone banany wreszcie dojrzeją? Koniecznie muszę zobaczyć zbiory!*

Energicznie odgarnęłam z twarzy potargane włosy i spojrzałam na niebo. Żłote i różowawe obłoczki gonily się jak co dzień o wschodzie słońca. Na chwilę odwróciły moją uwagę; nagle rozległo się za mną głośnie pianie. Nasze brązowe kury zebrały się, gdacząc, wokół dumnego koguta, który nastawił krwistoczerwony grzebień i patrzył na mnie wyzywająco.

Pozdrowiłam go i jego gromadkę, po czym wróciłam do domu. Przy drzwiach leżał duży stos rzeczy do prania, prześcieradło wypełnione po brzegi brudnymi ubraniami. Podskoczyłam z radości i klasnęłam w dłonie. Dziś był dzień prania!

W domu panowała cisza, tylko z patio dobiegał lekki szelest. Tata, jak co rano, czytał już Biblię. Po cichu zdjęłam japonki, uniosłam moskitierę i wdrapałam się do mojego hamaka. Nie zdążyłam nawet o niczym pomyśleć, a już na powrót miło spałam.

Doszedł mnie zapach świeżego chleba. Uwielbiałam ten aromat i zawsze nie mogłam się doczekać, aż tata pokroi ciepłe jeszcze pieczywo. Kromki wchłaniały złoty miód jak gąbka. Nasączone kawałki rozplływały się na języku. Świeży chleb z miodem jadłabym najchętniej na każdy posiłek.

Gdy byliśmy wreszcie gotowi do wyprawy nad rzekę, słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie. Wzięłam za rękę młodszą siostrę Evę, ale nasz brat Philip nie chciał pójść z nami.

– Chcę pobawić się z Hernandem i iść na polowanie z łukiem – powiedział, tupiąc nogą. – Pranie to zajęcie dla dziewczynek!

Ojciec zgodził się i zabrał Philipa ze sobą do pobliskiej indiańskiej wioski San Lorenzo. Byłam jeszcze za mała, żeby zrozumieć, co tata tam robił. Czułam jednak, że Indianie bardzo go poważają, wręcz otaczają czią. Mama podniosła ciężki toból rzeczy do uprania, umieściła na głowie i ruszyła w drogę, a siostra i ja podreptałyśmy za nią wąską ścieżką przez las. Indiańskie kobiety z wioski były już zajęte praniem. Uderzały mokrymi ubraniami o duże, płaskie kamienie, ugniatały odzież silnymi dłońmi i rozmawiały podekscytowane. Młodsze kobiety piszczały i chichotały, a ich małe dzieci kąpały się nago w płytkiej wodzie i baraszkowały głośno.

– Xaume, witajcie! – powitała nas przyjaźnie cała grupa. Mama umiała już dobrze porozumiewać się w języku ludu Chiquitano. Zdobyła dzięki temu szacunek kobiet. Moja najlepsza przyjaciółka Juanita wybiegła mi na spotkanie i pociągnęła na brzeg. – Christina, chodź, pobaw się z nami w wodzie!

Maria, około dziesięcioletnia dziewczynka, chwyciła moją siostrę i wzięła ją na rękę. Raz po raz głaskała ją po głowie. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jej blond loki są prawdziwe.

– Proszę, czy mogę jej popilnować? – błagała. Matka ucieszyła się, że Maria pobawi się z Evą, a ona sama będzie mogła spokojnie wyprać rzeczy. Przejrzysta, płytka woda idealnie nadawała się do kąpieli.

Gęsty dach z listowia chronił nas przed palącym słońcem. Krzycząc głośno, skakaliśmy z dużych kamieni do wody i pozwalaliśmy, by unosił nas lekki prąd. Jak na pięciolatkę umiałam już całkiem dobrze pływać, ponieważ codziennie kąpałiśmy się w rzece. Juanita zaczęła kopać rękami nieckę w miękkim piaszczystym podłożu, żebyśmy mogły się popluskać. Pomogłam jej i wkrótce tarzałyśmy się w ciepłej wodzie, obrzucałyśmy piaskiem i dokazywałyśmy. Czas mijał szybko, a ja czułam się jak ryba w wodzie, równie zwinna i lekka.

Mama zawołała nas do siebie. Namoczyła już pranie, a do nas należało teraz natrzeć mokre sztuki mydłem marsylskim. Skakałyśmy dziko po ubraniach, aż zaczęły się pienić. Ulotna mydlana piana kusiała, by wytarzać się w niej ze śmiechem. Nabierałyśmy w ręce duże białe chmury i wyrzucałyśmy je pod błękitne niebo. Dni prania uwielbiałam nade wszystko.

Czystą odzież rozłożyłyśmy na rozżarzonych czarnych i czerwonych skałach, by wyschła. Mama zabrała z ogrodu dużą pomarańczowoczerwoną papaję, którą zjadłyśmy z apetytem, a potem pluskałyśmy się dalej, dopóki mama nie zawołała nas z powrotem. Dziesiątki zielonych papug przeleciały nad naszymi głowami. Jakieś zgubione piórko wetknęłam sobie we włosy.

– Czy pranie dobrze wyschło, mamó? Nie chcę mieć robaków w nodze! – marudziłam. Kiedy odzież nie była zupełnie sucha, muchy składały na niej jaja. Gdyby został choćby mały wilgotny skrawek, malutkie jajeczka mogłyby przeżyć i niezauważenie zagnieździć się w skórze, po czym rozwinąć się w paskudne czerwie.

Zaledwie kilka dni wcześniej przyglądałam się małemu zabiegowi chirurgicznemu. Czerw zagnieździł się pod skórą pewnej dziewczynki z ludu Chiquitano. Zaczęło się od zaczerwienienia na nodze, które nabrzmiało i zaczęło straszliwie swędzieć. Na powstałym guzie widać było małą dziurkę, przez którą czarna głowa czerwia raz po raz wciągała powietrze. Dziewczynka musiała wytrzymać kilka dni, nim można było usunąć to paskudztwo.

Ojciec położył ręcznik pod nogę dziewczynki, przemył miejsce alkoholem i posmarował zaczerwieniony guz olejem. Niedługo potem pokazała się głowa grubego *boro*, ojciec nacisnął guz i siup – robak wyskoczył.

Mama podała mi pranie, żebym sprawdziła, że wszystko całkiem wyschło. Zmęczone, ale szczęśliwe ruszyłyśmy w drogę powrotną z czystymi rzeczami. Tata czekał już na nas w kuchni. Przygotował ryż z kurczakiem i gotowanymi bananami. Usiedliśmy zaraz do nakrytego stołu, a tata pomodlił się: „Dobry Ojczy w niebie, dziękujemy, że mamy zawsze dość jedzenia. Pomóż wszystkim, którzy głodują. Dziękujemy, że jesteś zdrowi. Pobłogosław ten pokarm. Amen”.

Podczas posiłku opowiadaliśmy sobie o naszym dniu. Wkrótce oczy zaczęły mi się zamykać, ale najpierw trzeba było umyć brudne naczynia mydłem i przegotowaną wodą z becзки. Brat i ja pomagaliśmy mamie, aby wolno nam było potem wysłuchać dalszego ciągu wymyślonej przez tatę historii na dobranoc.

Co wieczór tata siadał z nami w hamaku i wymyślał ekscytujący kolejny odcinek. Również tym razem opowieść skończyła się jak zawsze: „I wtedy wielki, brązowy niedźwiedź Hermann Pazur wszedł do swojej ciepłej jamy, gdzie zadowolony spał spokojnie aż do następnego ranka”.

Jak zawsze tata powiedział na zakończenie:

– Jeśli chcecie, możecie już iść spać, a jeśli nie chcecie, musicie iść spać!

Jęknęliśmy i posłuchaliśmy niechętnie.

Brat dzielił ze mną mały, niemal pusty pokój. Jedyne okno było zawsze zasłonięte drewnianymi okiennicami. Dzięki temu wewnątrz panował chłód. Na regale królował zielono-różowy plastikowy samolot, duma Philipa, obok leżało kilka książek i to wszystko. Było już zupełnie ciemno i szybko zapadliśmy w głęboki sen.

Pewnego dnia musieliśmy spakować manatki. Philip został zapisany do szkoły w dużej bazie misyjnej Tumi Chucua. Od tej pory mieliśmy spędzać znacznie mniej czasu w San Lorenzo, wiosce ludu Chiquitano. Nie chciałam nigdzie wyjeżdżać i w dniach przed przeprowadzką wciąż byłam przy boku matki. Jakbym przeczuwała, co mnie czeka.

Wkrótce jednak na pasie dla samolotów, przy którym zgromadziła się cała wieś, wylądowała mała cessna. Chiquitano nie mogli przepuścić takiej atrakcji i wszyscy przyglądali się, jak maszyna podskakuje z warkotem na wyboistym lądowisku. Kiedy mama żegnała się z tubylcami, pewna starsza kobieta przykazała jej, żeby dobrze pilnowała Manuki.

– Nie nazywa się już Manuka, od dawna wołamy na nią Christina.

Dzień dobry, to ja, prawda

Dzień dobry, to ja, prawda.

Znikaj, prawdo, idź stąd! Nie mogę cię znieść. Jesteś zbyt ciężka, zbyt brzydka, wstrętna, odpychająca i mroczna. Idź precz!

Pomimo sprzeciwu intuicyjnie wiedziałam, że czeka mnie podjęcie decyzji. Moje ciało nie było gotowe znieść dłużej milczenia. Miarka się przebrała. Prawda nie chciała odpuścić. Wezbrał we mnie paniczny strach. Strach, który od lat mnie paraliżował, załomotał teraz w mojej głowie.

Nie mogę przemówić! Nie mogę wydać przestępców. Nie mogę przeciw nim zeznawać. Zemszczą się! Byłam tego pewna. Gdybym ujawniła prawdę, sprowadziłabym niebezpieczeństwo na moją rodzinę – moje dzieci, które kochałam nade wszystko na świecie. Nie wolno mi było prowokować przemocy. Musiałam chronić synów, to był mój święty obowiązek.

Nie miałam jednak wyboru. Nie potrafiłam dłużej milczeć.

W sypialni było ciemno, leżałam na łóżku sama z prawdą, a w mojej głowie przewijały się wciąż na nowo minione godziny. Po sesji joggingu straciłam przytomność w ogrodzie u trenującej ze mną koleżanki. Kiedy doszłam do siebie, od razu stało się jasne, że nie jest ze mną dobrze. Otworzyłam usta, by się odezwać, nie wydobyłam jednak ani słowa. Ogarnęła mnie panika – nazbyt dobrze znane mi uczucie. Prawie nie czułam swojego ciała, miałam wrażenie, że szybuję do domu. Język zaczął poruszać się w ustach tam i z powrotem. Tak jak dawniej, gdy jako dziewczynka rozmawiałam sama ze sobą w sekretnej mowie, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Wówczas, gdy nie odważałam się przemówić głośno.

Dzień dobry, to ja, prawda.

Wyczerpana, skuliłam się na łóżku. Po cichu zakradły się wyrzuty sumienia, które dołączyły do prawdy i do strachu. Głęboko zaszczeplone poczucie winy zdominowało moje myśli. Przez te wszystkie lata nie zdołałam się go pozbyć. Czy to ja sama byłam winna mojego cierpienia w dzieciństwie? Co powinnam teraz zrobić? Co powiedzieć mężowi? I jak to zrobić?

Łzy ciekły mi nieprzerwanie po rozpalonych policzkach. Czy zdołam udźwignąć ten ciężar, czy wytrzymam walkę? Nie dowierzałam prawdzie – nie dowierzałam nikomu. Nie byłam jednak sama. Spoczywała na mnie odpowiedzialność za dzieci. Chciałam być dla nich wzorem i prawdziwie dobrą matką. Jak mogłam wymagać od nich mówienia prawdy, skoro sama ją zatajałam?

„Christino, musisz powiedzieć prawdę, dla twoich dzieci. Nie wolno ci pozostawiać im takiej spuścizny. Masz obowiązek uporządkować swoje życie!”, upomniałam samą siebie.

Miałam dwóch synów i mieszkałam w pięknym starym domu w Szwajcarii. Pracowałam jako nauczycielka i malarka, dzięki czemu pomagałam utrzymać naszą czteroosobową rodzinę. Udało mi się osiągnąć wyzwolenie w życiu codziennym. Rodzina była moim światem, a sztuka – wentylem. Tego życia nie chciałam ryzykować. Jednak teraz, tego pięknego lata 2002 roku, znalazłam się w pułapce i wiedziałam, że już nie mam wyboru – prawda musi wreszcie ujrzeć światło dzienne. „Będę walczyć o moje dzieci, chronić je i służyć im za przykład”, przysięgłam sobie. Z tym postanowieniem zasnęłam.

Po przebudzeniu wrócił mi głos. Początkowo łamiący się i urywany, potem coraz czystszy i silniejszy. Wreszcie wiedziałam z całą pewnością, co muszę zrobić. *Dzień dobry, prawdo, witaj w moim życiu!*

Po tym wewnętrznym maratonie nastąpił silny atak migreny, który posłużył jako dobre alibi dla mojego wcześniejszego załamania. Nie ośmieliłam się wyznać prawdy mężowi. Byliśmy małżeństwem od trzynastu lat, a ja przez cały ten czas sprytnie zatajałam i ukrywałam prawdę. Mąż poczułby się głęboko zraniony, że w tej sprawie nie umiałam okazać mu zaufania. Prędzej czy

później dowie się wszystkiego. Ale nie pierwszy. Zrozpaczona szukałam właściwej osoby, której mogłabym zaufać. Może Gudrun, przyszło mi do głowy.

Poznałam ją zaledwie kilka miesięcy wcześniej w klubie tenisa stołowego. Odwiedziła mnie przed paroma dniami. Poszliśmy razem do mojej pracowni. Na widok mojego portretowego zdjęcia zamieszczonego w artykule w gazecie zaśmiała się głośno.

– To nie ty! To ktoś inny!

Nie rozumiałam jej reakcji i poczułam się nieco urażona. Nie ośmieliłam się jednak spytać, co ma na myśli. Teraz zastanawiałam się, czy coś wtedy podejrzewała? Długo rozważałam, co robić, wahałam się, ale wreszcie postanowiłam powierzyć jej moją tak pilnie strzeżoną tajemnicę. Być może dlatego, że Gudrun nie była zbyt religijna – religia bowiem stanowiła część tajemnicy. Przyszło mi to jednak z ogromnym trudem. Od czego miałam zacząć?

O mało nie zwyciężyła we mnie obawa, że mi nie uwierzy. Podjęłam jednak decyzję. Zebrałam się na odwagę i zaprosiłam Gudrun na kawę. Zamierzałam początkowo umniejszyć znaczenie całej historii, by sprawdzić, czy przyjaciółka sprostą wyzwaniu. Chciałam opowiedzieć tylko drobne fragmenty poszczególnych zdarzeń, a jednocześnie czujnie obserwować każdy jej ruch i dokładnie go analizować. Wiedziałam, że nie mam nikogo innego, komu mogłabym się zwierzyć. Gudrun była moją jedyną nadzieją – musiało się udać!

Zrobiło mi się prawie czarno przed oczami, a całe moje ciało napięło się, gdy nieśmiało zaczęłam mówić:

– Gudrun, muszę ci coś opowiedzieć. Coś, czego nie opowiedziałam jeszcze nikomu.

W duchu drżałam. Z całej siły starałam się odzyskać kontrolę nad swoim ciałem i nad emocjami.

Stopniowo opanowałam się, po czym ostrożnie wyjawiałam część prawdy.

– Dorastałam w dżungli w Boliwii jako córka misjonarzy. Mieszkaliśmy w dorzeczu Amazonki u indiańskiego plemienia Chiquitano, a potem w ośrodku misyjnym. W tym ośrodku – nie w indiańskiej wiosce – robiono z nami, dziećmi, straszne rzeczy. Sprawców było trzech, czasami więcej. Traktowali nas bardzo brutalnie, ale nikt niczego nie zauważył.

Gudrun spojrzała na mnie badawczo.

– No cóż, przeżyłam to i jak widzisz, teraz mam się dobrze. Ale gdybym opowiedziała o tym rodzicom, nigdy by mi nie uwierzyli.

Brak reakcji.

Wstrzymałam oddech. Czyżby mi nie wierzyła? Naraz przypomniałam sobie, jak w wieku szesnastu lat starałam się powiedzieć prawdę matce. Chciałam wówczas zbliżyć się do niej. Pod ciężarem bycia samej z prawdą na wiele tygodni straciłam apetyt. Próbowałam wówczas otworzyć się przed matką, bez powodzenia.

A teraz? Czy Gudrun mi uwierzy?

Przez długi czas nie mówiła nic, tylko patrzyła na mnie swoimi pięknymi błękitnymi oczami. Potem wstała. Spokojnie i z opanowaniem wzięła mnie w ramiona.

– Christino, twoje obrazy mówią same za siebie. Jeśli mi ufasz, opowiedz mi wszystko po kolei.

Lody zostały przełamane. Popłynął potok słów. Starałam się wyrażać jasno, ale wciąż zbaczałam z tematu, a z moich zamrożonych wcześniej oczu potoczyły się łzy, aż mogłam już tylko krzyczeć i łkać. Gudrun milczała i trzymała mnie mocno w objęciach, dopóki nie zaczęłam oddychać spokojniej. Zalała mnie fala ulgi, a zarazem nieskończonego bólu.

Przybycie do Boliwii

Tumi Chucua leżało na około dwudziestometrowym wzniesieniu nad idyllicznym jeziorem, z widokiem na wydłużoną zieloną wyspę. Była to idealna lokalizacja dla osady, ponieważ w lesie równikowym w porze deszczowej często zdarzały się powodzie. Z tej bazy ojciec i inni pionierscy misjonarze udawali się na wyprawy do boliwijskiej dżungli w poszukiwaniu indiańskich plemion, które nie znały jeszcze przekładu Biblii na ich język. Rodzice czuli się powołani przez Boga, by dokonać takiego przekładu dla wielkiego ludu Chiquitano. W San Lorenzo, jednej z indiańskich osad, ojciec zamierzał rozpocząć badania lingwistyczne i działalność misyjną.

Mieszkańcy wioski, jak mi później opowiadano, przed przybyciem moich rodziców mieli kontakt wyłącznie z mówiącymi po hiszpańsku boliwijskimi handlarzami, metysami, z którymi od czasu do czasu wymieniali podstawowe towary, oraz z jezuitami. Biała rodzina była dla nich czymś zupełnie nowym. Niektórzy z tubylców uważali nas za duchy. Ze strachu nie chcieli przyjąć mojego ojca. Wobec słabej znajomości języka nie było mu łatwo zdobyć ich zaufanie. Dopiero po długich negocjacjach zgodzili się zbudować poza wioską, w pobliżu rzeki, chatę dla niego, jego żony i dziewięciomiesięcznego syna Philipa. Indianie sądzili, że biali nie zostaną u nich długo, i byli przekonani, że pożrą ich wodne duchy. Ojciec kazał najpierw wykarczować lądowisko, żeby ułatwić rodzinie podróż do tego zagubionego w dziewiczym lesie miejsca. Chiquitano zgodzili się to zrobić, ponieważ mogli w ten sposób zarobić nieco pieniędzy.

Ledwo rodzice nieco się zadomowili, matka ponownie była w odmiennym stanie. Niebawem, w zaawansowanej już ciąży, otrzymała wiadomość z ojczyzny, że jej własna matka ciężko zachorowała. Poza tym, z powodu komplikacji przy narodzinach Philipa, bała się bardzo porodu, dlatego tuż przed rozwiązaniem wyjechała do Szwajcarii. Przyszłam zatem na świat w 1968 roku w Zurychu. Zaledwie pięć tygodni później matka ze mną i z Philipem wróciła do San Lorenzo.

Spędziłam długi czas w samym sercu dżungli, na terenach ludu Chiquitano. Nasz dom rodzinny stał w pobliżu osady, w której mieszkało trzynaście rodzin. Czułam się tam bezpiecznie i dobrze. Rodzice zabierali nas na wyprawy po terytorium Indian. Przeżywalismy przygody i dorastaliśmy w zgodzie z naturą, w której śmierć była obecna zawsze, tak jak i życie. Dzieci i chorzy często umierali. Taka była kolej rzeczy.

Manuca

Moje życie od początku wydawało się naznaczone. Rodzice ochrzczili mnie, nadając mi imiona Manuela Christina. „Manuela” oznacza „Bóg jest z nami”. Nazywałam się zatem Manuela Christina Krüsi. Chiquitanie podziwiali moją jasną skórę, ale za każdym razem, słysząc moje imię, podśmiewali się i chichotali. Początkowo rodzice nie zwracali na to uwagi, ale po kilku tygodniach ojca zaczęły denerwować te śmiechy. Kilkukrotnie przy użyciu skromnego słownictwa, jakie opanował w języku Indian, próbował dowiedzieć się, co jest dla nich takie zabawne, ale na próżno. Dopiero po pewnym czasie zdołał nakłonić tubylców, by wyjaśnili mu swoją nieuprzejmą reakcję.

Rzecznik Indian wyjaśnił, że metysi – Boliwijczycy mówiący po hiszpańsku – podobnie, czyli „Manuca”, nazywali młode kobiety, które im się podobały. Zatem kiedy mężczyzna zwracał się do kobiety „Manuca”, była to propozycja, by się z nim przespała. Metysi często sypiali z indiańskimi dziewczętami.

W tej sytuacji rodzice postanowili nazywać mnie moim drugim imieniem – Christina, ale bez „h”, bo hiszpańskie „Cristina” bardziej się im podobało. Powiadomili o tej zmianie wszystkich krewnych i przyjaciół, ale dość długo trwało, nim wszyscy przyzwyczaili się i zaakceptowali tę zmianę.

Tumi Chucua

Brat dorastał i musiał iść do szkoły, co dla nas oznaczało przeprowadzkę do ośrodka misyjnego Tumi Chucua. Choć byłam jeszcze bardzo mała, traktowałam San Lorenzo jako bezpieczne miejsce i moją ojczyznę. Wiedziałam jednak, że jesteśmy w wiosce obcy, inni niż pozostałe dzieci.

Rodzice pilnowali nas bacznie i zawsze mieli dla nas czas. Matka chciała nie tylko zajmować się rodziną, ale także pomagać ojcu w przekładzie Biblii. Dzielili się zatem zadaniami i wspólnie zgłębiali język Chiquitano. Jednocześnie musieli radzić sobie z codziennym życiem na terenach dorzecza Amazonki w Ameryce Południowej. Bez prądu, bieżącej wody i podstawowych dóbr. Pieluchy trzeba było prać w rzece, samemu zabijać kury i ręcznie mleć ziarna kukurydzy. Nie było tam prawie żadnej infrastruktury, a my mieliśmy tylko to, co konieczne, by przetrwać, prowadziliśmy więc trudne i dość niezwykle życie. Ja jednak przywykłam do niego i czułam się bezpiecznie w mojej ojczyźnie San Lorenzo, której nigdy nie chciałam opuszczać. Kiedy miałam pięć lat, rodzice przenieśli się do bazy Tumi Chucua, gdzie my, dzieci, mieliśmy pójść do szkoły. Rodzice bardzo cieszyli się na tę przeprowadzkę, ponieważ oznaczała ona dla nich ogromne ułatwienia.

Życie w bazie było zupełnie inne niż wśród plemienia Indian. Panowała tu atmosfera wspólnoty, zaufania i uczynności, niczym w jednej dużej rodzinie. Zebrało się w tym miejscu wielu ludzi czynu z różnych krajów powodowanych wspólnym celem, jakim było podążanie za głosem Boga.

Wszyscy byli członkami wspólnoty misyjnej Wycliffe i przybyli do Tumi Chucua jako misjonarze. W bazie pracowali jako językoznawcy, nauczyciele, mechanicy samolotowi, pielęgniarki lub piloci. Były wśród nich osoby stanu wolnego, ale także rodziny. Pochodzili ze Stanów Zjednoczonych i z Europy i tworzyli barwną, różnorodną gromadę. Ich wizją było i nadal jest to, by umożliwić wszystkim ludom świata czytanie Biblii w języku, w którym także śnią.

Praca misyjna nie była związana z określonym wyznaniem, misjonarze z Wycliffe należeli do swoich rodzimych kościołów. Dziś nadal z ramienia tej organizacji na całym świecie działa wielu ochotników. Prowadzona przez nich alfabetyzacja jest niekiedy jedynym programem edukacyjnym dostępnym dla tubylców i może na przykład obejmować również przekład deklaracji praw człowieka.

Misjonarze tacy jak moi rodzice, kierujący się wizją niesienia Słowa Bożego wszystkim ludziom na Ziemi, pracowali w głębi boliwijskiej dżungli, gdzie poznawali mowę niepiśmiennych Indian. Przybliżali tym ludziom – w moich oczach pod wieloma względami poszkodowanym – ich własny język, uczyli ich czytać, pisać i liczyć, dzięki czemu nadawali im nową godność. Kształcili tubylców na nauczycieli i pielęgniarzy, pomagali przy budowie szkół i szpitali. Działalność tych cieszących się szacunkiem chrześcijan-misjonarzy finansowana była ze składek pochodzących od zaprzyjaźnionych osób oraz wspólnot kościelnych w ich ojczyznach. Do wykonywania tej cennej pracy przygotowywali się latami. Czułam, jak dumni są ze swojego powołania i tego, że pracują naukowo i z sukcesem, wykorzystując nowe zdobycze techniki. Byli to kreatywni pionierzy, którzy głową, sercem i rękami przekazywali wiedzę tubylcom i w ten sposób odpowiadali na wezwanie Boga.

Moi rodzice byli bardzo obowiązkowi. Pracowali ramię w ramię, każde zgodnie ze swoimi talentami. W latach siedemdziesiątych, bez komputera i w trudnych warunkach panujących w dżungli, było wielkim dokonaniem, że tak szybko osiągnęli swój cel. Wykazywali się konsekwencją i poświęceniem. Rzadko brali urlop, tylko uparcie i intensywnie pracowali nad przekładem Biblii.

Pomimo nawału pracy nie chcieli oddać nas do domu dziecka lub rodziny zastępczej, jak robili to niektórzy misjonarze. Miałam wrażenie, że matka traktuje nas znacznie surowiej, niż było to

przyjęte w innych rodzinach. Kładła duży nacisk na to, by rodzina tworzyła jedność i była dla nas przystanią. Byłam bardzo dumna z moich rodziców i z tego, że są postrzegani w bazie jako pracownicy misjonarze.

My, dzieci, czuliśmy się jak w wielkiej rodzinie i wszystkich nazywaliśmy „wujkami” i „ciociami”. Kiedy nasi rodzice wyjeżdżali w związku z pracą nad przekładem, opiekowały się nami pozostałe rodziny. Obowiązywały wewnętrzne wartości i wytyczne organizacji. Wszystkie sprawy w bazie misyjnej regulowali sami misjonarze. Ze względu na odosobnione położenie w głębi lasu równikowego nie było tu żadnych zewnętrznych wpływów. Ludzie wspierali się wzajemnie, pielęgowali kontakty osobiste w grupach biblijnych, w szkole, na boisku, w kościele. Przybyszów z całego świata, przedstawicieli różnych kultur, łączyła wiara. Jeśli czasami zdarzały się konflikty, wspólnie je omawiano i rozwiązywano.

Do tego rajskiego miejsca można było wówczas dotrzeć wyłącznie samolotem lub drogą wodną. Również boliwijski prezydent Hugo Banzer korzystał z samolotu jako środka transportu podczas swoich okazjonalnych wizyt w ośrodku misji. Infrastruktura bazy była dobrze przemyślana. Hangar usytuowany był na końcu małej wioski, a pas do lądowania oddzielał od zabudowań kawałek lasu, na którym mieścił się cmentarz. Większość rodzin mieszkała przy głównej drodze, ciągnącej się wzdłuż brzegu jeziora. Pośrodku wioski znajdowały się szkoła, plac do uboju zwierząt i kościół. Stamtąd też prowadziła po piaszczystym zboczu mała ścieżka nad jezioro. Kąpielisko było wspaniałym miejscem zabaw dla dzieci i codziennie tam chodziliśmy.

Na drugim krańcu osady, wyżej położonym, stały biura zarządu. Kawałek dalej, kilka minut drogi pieszo, leżała mała boliwijska wioska, jednak zabroniono mi tam chodzić. Widziana z zewnątrz, baza misyjna była prawdziwym rajem. Widok migoczącej wody, podłużnej wyspy i zachodzącego słońca, gdy niebo i woda zabarwiały się na czerwono, żółto i niebiesko, zapisał się na zawsze w moich wspomnieniach. Nieskończone bogactwo roślin i zwierząt w dżungli należało do codzienności, a najmłodsi najchętniej bawili się pod gołym niebem. Szkoła prowadzona według zasad amerykańskich rozwijała kreatywność, a dzieci z najróżniejszych krajów uczyły się w niej wspólnie przez zabawę.

Nasz dom znajdował się przy głównej drodze w dolnej części ośrodka. Był wzniesiony na ceglanych słupach, żeby w razie powodzi pomieszczenia nie znalazły się pod wodą. W porze deszczowej często musiałam brodzić po kolana przez zalany ogród, żeby pójść do szkoły. Ojciec kazał zbudować dom na wzór boliwijski. Był oblepiony krowim nawozem i cuchnął przez wiele tygodni. Uwielbiałam, gdy padał deszcz. Krople uderzały o blaszany dach tak głośno, że przeszkadzały w rozmowie.

Zwłaszcza w porze deszczowej przez całe dni i noce dokuczały nam komary, a choroby takie jak malaria oraz najróżniejsze pasożyty były na porządku dziennym. Musieliśmy nauczyć się żyć z niebezpiecznymi zwierzętami – płaszczkami, piraniami, jadowitymi węzami, ptasznikami i dzikimi kotami.

Istniało jednak coś jeszcze, co niczym rak zaczęło rozrastać się we wnętrzu organizacji. Poczucie wspólnoty, jakbyśmy byli jedną wielką rodziną, powodowało w bazie pewną beztróskę. To właśnie panujące ogólnie zaufanie wykorzystywali niektórzy misjonarze do swoich skrytych występów. Ich ofiarami byli najslabsi członkowie organizacji, czyli dzieci.

Dziewczyna z iskrami w oczach

Pewnego wieczora odbywała się tak zwana „potluck supper”, składkowa kolacja. Miałam na sobie czerwoną sukienkę w drobne białe groszki. Z dumą ustawiłam upieczone przez mamę ciasto na długim stole. Stały tam już niezliczone potrawy. Pochodziliśmy z różnych krajów, zatem takie uroczystości były prawdziwym kulinarnym świętem – można było częstować się wszystkim, na co miało się ochotę.

Tego wieczora czułam się podekscytowana i nieco rozzuchwalona, ponieważ mama obiecała, że będę mogła zostać wieczorem dłużej, choć byłam jeszcze w wieku przedszkolnym. Bawiłam się z innymi dziećmi w berka i w chowanego, usiadłam u jednego wujka na kolanach, potem znów u pewnej cici, a jeszcze inny wujek opowiedział mi historyjkę. Miałam poczucie bezpieczeństwa i żywiłam dziecinne, niezachwiane zaufanie do wszystkich misjonarzy.

Jeden z nich poświęcał mi szczególnie dużo uwagi. Nazywał mnie zawsze „the girl with the sparkling eyes” – dziewczynką z iskrami w oczach. Również tego wieczora, jak to często robiłam, wdrapałam się mu na kolana i dokazywałam. Szeptał mi coś do ucha, a gdy zaczął mnie łaskotać, również go połaskotałam. Nagle ogarnęło mnie niedobre przeczucie. Zaczął łaskotać mnie pod sukienką po pupie. Spojrzałam na niego przestraszona, ale on zaśmiał się tylko i powiedział, że robi tak dla żartów i że mi też się to spodoba. Nie wiedziałam, co sądzić o tej zabawie. Pogłaskał mnie czule po włosach, ale ześlizgnęłam się z jego kolan i odbiegłam. Tego wieczora po raz pierwszy przekroczona została granica mojej intymności. I nie miało się na tym skończyć.

Moja pierwsza nauczycielka była Amerykanką. Międzynarodowa szkoła misyjna prowadzona była w języku angielskim, co nie stanowiło dla mnie problemu, ponieważ dorastaliśmy w środowisku wielojęzycznym. Lubiłam szkołę i dobrze czułam się w mojej klasie.

Pewnego dnia usłyszałam, jak starsi uczniowie z przejęciem rozmawiają na przerwie o Halloween. Nastawiłam uszu i dowiedziałam się, że rektor przy udziale starszych uczniów organizuje przemarsz duchów, który w noc Halloween wzbudzi we wszystkich lęk. Byłam zachwycona i koniecznie chciałam w tym uczestniczyć, również mój brat zapalił się do tego pomysłu. Rodzice bardzo się jednak zdenerwowali i głośno protestowali przeciwko takim pogańskim zwyczajom. W kolejnych dniach słyszeliśmy wszędzie dyskutujących gorączkowo dorosłych. Niektórzy byli oburzeni, że coś takiego ma się odbyć w chrześcijańskiej szkole. Amerykańscy nauczyciele opowiedzieli jednak o tym zwyczaju, który w Stanach Zjednoczonych jest popularną i niewinną tradycją, i ma na celu wyłącznie zabawę. Rodzice zgodzili się wreszcie i nawet moja młodsza siostra Eva mogła wybrać się z nami na Halloween.

Halloween

Wieczorem w Halloween wiele dzieci zebrało się przed szkołą. Dyrektor objaśnił nam, na czym polegać ma „Droga Strachów”, jak nazwał program Halloween, co okazało się ponurą przepowiednią. Pomaszerowaliśmy za światłem jego latarki przez boisko do piłki nożnej obok szkoły do pobliskiego lasu, gdzie miała zacząć się zabawa. Na myśl o tym, co czeka na nas w ciemności, zrobiło mi się nieco strasznie, ale postanowiłam być równie silna i dzielna jak mój starszy brat Philip. Musieliśmy ustawić się w szeregu na skraju dżungli i czekać. W dużych odstępach prowadzono nas pojedynczo i bez latarek w gęstwinę. Zamierzałam wziąć za rękę moją siostrzyczkę Evę, ale starsi uczniowie wyznaczeni na pomocników wyjaśnili, że będą pilnować Evy i że nie może jeszcze wejść w gęstwinę.

Widziałam migotanie latarek i słyszałam dobiegające z zarośli krzyki. Miałam coraz gorsze przeczucie. Przede mną stała jeszcze jedna dziewczynka. Potem przyszła kolej na mnie. Panował już zupełny mrok. Powoli stawiałam stopę za stopą. Kurczowo trzymałam się liny, która miała poprowadzić nas wzdłuż ścieżki.

– Nie możesz trzymać się tak mocno, mała – zachęcił mnie starszy uczeń, który towarzyszył mi przez kilka kroków z latarką. – Nie bój się, będzie wesoło! Będziesz się dobrze bawić, to wszystko nie jest naprawdę.

Światło latarki dodało mi odwagi, by iść dalej.

– Proszę, chodź ze mną! – wyrwało mi się nagle.

Przeszedł ze mną jeszcze kilka kroków, po czym wyjaśnił, że musi pójść po kolejne dziecko.

– Nie, proszę, zostań ze mną, proszę! – błagałam, jednak on odwrócił się i odszedł. Oddalił się, nie patrząc za siebie, a wraz z nim zniknęło światło latarki. Stałam sztywna i sama jak palec w ciemności.

– Boję się, chcę do domu – mamrotałam. Czy jednak odnajdę drogę? Lina, tak, lina mnie wyprowadzi. Wahałam się. Potem powoli zaczęłam iść naprzód, trzęsąc się przy tym ze strachu. – Chcę się stąd wydostać, chcę się stąd wydostać!

Z oddali słyszałam śmiechy i krzyki innych dzieci. Nagle pojawił się przed mną zamaskowany potwór i zaraz zniknął na powrót w ciemności. Krzyknęłam głośno. Dogłębnie przerażona chwyciłam się kurczowo obiema rękami liny i nasłuchiwałam. Krzyki! Kilka kroków dalej rozbrzły światła i ujrzałam ciało w białych prześcieradłach. Zalane krwią, zwiślało na prawo ode mnie.

Zamknęłam oczy i spróbowałam oddalić się jak najszybciej. Serce waliło mi w piersi. Chciałam tylko wrócić do domu, już dawno przestałam się dobrze bawić. Krzyki innych dzieci oddalały się, aż w końcu było słyhać tylko nocne zwierzęta. Ogarnęła mnie panika i pobiegłam tak szybko, jak tylko potrafiłam, wąską ścieżką przez dżunglę, potykając się w ciemności o niewidzialne korzenie – z liną wciąż mocno zaciśniętą w dłoniach. Ogromnie się bałam i żałowałam gorzko, że wzięłam w tym wszystkim udział. Gdybym tylko posłuchała mamy i taty!

– Mamo, gdzie jesteś, pomóż mi! – Wielkie łzy ciekły mi po policzkach, nie mogłam ich dłużej powstrzymać.

Nagle usłyszałam przed sobą ciche głosy, a wśród zarośli dostrzegłam blade światło. Zauważyłam świece i krzyż. Nieco dalej siedziały w kręgu dzieci. Pomiędzy nimi a mną stali dorośli w ciemnych przeciwdeszczowych płaszczach, z kapturami naciągniętymi na twarz. Jakaś dziewczynka uciekała. Co to była za zabawa? Lina prowadziła mnie coraz bliżej do nich. Potem, nagle i bez ostrzeżenia, wpadłam w głęboką dziurę – przestraszyłam się śmiertelnie.

Chciałam wołać o pomoc, ale nie zdążyłam. Tuż obok leżała inna dziewczynka i oddychała z trudem, a jakaś potężna postać rzucała się na nią z jękiem. Druga postać z masywnym,

owłosionym ciałem opadła na mnie. Mężczyzna niemal mnie przydusił. Ze ścian posypała się ziemia. Ogarnął mnie paniczny strach, że zostanę pogrzebana żywcem. Ramiona, nogi, ciało, ziemia – przygniatał mnie ogromny ciężar. Zaciśnęłam powieki i wstrzymałam oddech. Nieopisany ból, którego nie potrafiłam zdefiniować, wbił mi się między nogi i coś zaczęło rozrywać mnie od wewnątrz. Zrobiło mi się czarno przed oczami. Potem wrócił spokój.

Odzyskałam przytomność w ramionach jakiegoś mężczyzny, który niósł mnie ścieżką przez las. W świetle latarki rozpoznałam jego twarz. Był to wujek, który tak lubił iskry w moich oczach. Naraz potknął się i niemal mnie upuścił. Śmiertelnie przestraszona przytuliłam się do niego – sądziłam, że jest moim wybawcą i zabierze mnie do domu.

Wyszliśmy z gęstwiny, w oddali migotało słabe światło. Musiał to być budynek szkoły. Jedna z zakapturzonych postaci otworzyła przed nami drzwi do nieznanego mi pomieszczenia. Posadzono mnie na podłodze w małej izbie. Nie byłam sama. Obok mnie siedział Finn, jeden ze starszych uczniów, w krótkich szortach. Tułów miał nagi.

Może jest mu gorąco? – pomyślałam.

Przed nami stało dwóch mężczyzn. Nie odważyłam się spojrzeć w górę na ich twarze. Z drugiej strony przykucnęły inne dziewczęta. Ostrożnie zerknęłam przez potargane włosy – były to Andrea, Gabriele i Melissa. Słyszałam głosy, również głos mojego wybawcy, oraz inne dźwięki, ale nie odważałam się rozejrzeć dokładniej. Przed nami znajdowało się na ziemi coś na kształt przykrytej prześcieradłem skrzyni, na której stała biała świeca. Płomień migotał lekko. Palcami nóg dotknęłam brzegu płótna, poczułam pod nim coś twardego.

Siedziałam nieporuszenie z podciągniętymi nogami na cementowej posadzce, nie czując bólu – tylko zimno, które przenikało z ziemi do mojego ciała. Intuicyjnie wiedziałam, że muszę się zachowywać spokojnie. Ukradkiem rozejrzałam się za oknem lub inną drogą ucieczki. Na próżno, były tylko drzwi, które mężczyźni zamknęli. Znikąd ratunku.

Wszystkie pozostałe dzieci w pomieszczeniu były starsze od mnie. Znałam je z widzenia ze szkoły, ze starszych klas. W tej chwili czułam się z nimi związana. Byłam wdzięczna, że nie zostałam uwięziona sama z tymi mężczyznami. Zrozpaczona, wbijałam wzrok w podłogę, żeby nie ściągać na siebie uwagi. Drżąc, wpatrywałam się w mrówkę, która wędrowała przede mną po cementowej posadzce. Dopiero teraz zauważyłam, że mam na sobie tylko majtki. Były mokre. Czyżbym się zsiusiała? Zdezorientowana patrzyłam na mrówkę. Nie rozumiałam, gdzie się znalazłam, co się dzieje i dlaczego zamknięto nas w tym miejscu. Jednak jeszcze mniej zrozumiałe było to, co nastąpiło potem.

Starszy z mężczyzn zaczął do nas przemawiać. Twierdził, że mamy szczęście należeć do wybrańców. Nie rozumiałam, o czym mówi, i nie wiedziałam, kim jest wybraniec. Ostrożnie zerknęłam w górę. To był mój wybawca.

Mówił o Bogu i diable. Nagle w rękę młodszego mężczyzny błysnął nóż. Mężczyzna pochylił się nad Melissą. Dziewczynka krzyknęła głośno i zaczęła się wyrывać. Mężczyźni zaklęli i zagrozili, że ją zabiją, jeśli nie będzie cicho. Ona jednak nie przestawała krzyczeć. Również Andrea i Gabriele zaczęły krzyczeć i kopać, więc je związali.

Zrozpaczona zakryłam twarz dłońmi, nie chciałam już nic widzieć. Mężczyźni klęli dalej, otworzyły się drzwi. Usłyszałam odgłosy bójki, a potem poczułam, jak przeciska się obok mnie kilka osób. Potem zapadła cisza. Rozejrzałam się szybko i zobaczyłam, że zostałam z Finnem sama.

Mężczyźni zaraz jednak wrócili i na powrót zaryglowali drzwi. Nie śmiałam się poruszyć. Mokre majtki wydawały się lodowate, choć w ciasnym pomieszczeniu było gorąco i wilgotno. Gdzie podziały się pozostałe dziewczynki? Co mężczyźni zamierzali zrobić z nożem? Czułam się jak zwierzę prowadzone na rzeź. W duchu powtarzałam sobie: Bądź cicho, w przeciwnym razie ciebie też zwiążą! Bądź zupełnie cicho, Christino!

Młodszy pochylił się nade mną z nożem, najwyraźniej przyszła kolej na mnie.

– Tylko spokojnie, mała, nie ruszaj się, zaraz będzie po wszystkim! – usłyszałam, jak szepcze spod kaptura.

Zaciśnęłam oczy i bałam się oddychać. Usłyszałam cichy odgłos, gdy ostrze zagłębiło się w

moją skórę. Drgnęłam, zagryzłam z bólu wargi, ale nie wydałam żadnego dźwięku. Cięcie, obok rzepki. Potem jeszcze jedno, w drugie kolano. Wszystko odbyło się szybko, ciepła krew spływała mi po nogach. Otworzyłam oczy. Dopiero teraz spostrzegłam, że siedzę w kałuży krwi. Zakapturzony mężczyzna przyłożył mi do ran białe prześcieradło. Zabarwiło się krwistoczerwono. Popatrzył na mokrą plamę, zadowolony skinął głową i kazał mi przyciskać materiał do ran.

Nagle z gwałtowną siłą poczułam ból przeszywający całe moje pohańbione ciało. Nie było miejsca, które by mnie nie bolało. Z otwartych ran po wewnętrznej stronie obu kolan nadal ciekła krew. Oczy wypełniły mi się łzami, które bezgłośnie spłynęły po policzkach. Kapały na rany i mieszały się z krwią. W blasku świecy poruszały się upiorne cienie. Nie odzywałam się i nadal zaciskałam zęby.

Młodszy mężczyzna pochylił się znowu ku mnie i wyszeptał:

– Przykleję ci teraz plastry na kolana, mała. Gdy matka spyta cię jutro, jak się zraniłaś, powiesz jej, że upadłaś i sama opatrzyłaś skaleczenie.

– Nikt nie może wiedzieć, co stało się dziś wieczorem! – nakazał nam starszy, trzymając groźnie zakrwawiony nóż. – Jesteście wybrańcami! Macie szczęście, że zostaliście wybrani. To coś wyjątkowego, nigdy o tym nie zapominajcie. Waszym obowiązkiem jest służyć, ponieważ jesteście wybrańcami. Nikt nie może odkryć tej tajemnicy!

Przemawiali stanowczo do Finna i do mnie, i grozili, że nas zabiją, jeżeli komukolwiek coś zdradzimy. Zakazali nam bawić się razem. Nie wolno nam było nawet rozmawiać ze sobą, ani z innymi, starszymi dziewczętami. Nigdy.

– Dyrektor będzie mieć was na oku i pilnować was w szkole! – ostrzegli.

Potem powiedzieli mi, że rodzice odesłaliby mnie do sierocińca, gdybym złamała nakaz milczenia. Nikt by mi nie uwierzył i uznaliby mnie za szaloną. Poza tym przeszkodziłabym im w tłumaczeniu Biblii i wtedy wszyscy Indianie trafiliby przeze mnie do piekła, ponieważ nie zostaliby chrześcijanami.

– To będzie twoja wina, jeśli Indianie trafią do piekła. Jesteście wybrańcami i nikt nie może nigdy się o tym dowiedzieć, zapamiętajcie!

Miałam dopiero sześć lat, ale zrozumiałam. Na końcu zdjęli mi mokre majtki i wytarli ciało wilgotnym ręcznikiem. Między nogami krwawiłam już tylko trochę. Mężczyzna zwinął nieco papieru toaletowego i nakazał mi wsunąć go w siebie głęboko. Powiedział, że mogę wyjąć papier następnym razem w toalecie, wtedy nie będę już krwawić. Potem ubrali mnie na powrót w sukienkę i zabrali do pozostałych dzieci z grupy uczestniczącej w Halloween, które czekały na powrót.

Było już późno, gdy znaleźliśmy się do domu. Moja młodsza siostra była bardzo zmęczona i głośno marudziła. Wszystko odbyło się szybko, umyliśmy zęby i położyliśmy się spać. Byłam zupełnie zdezorientowana i zaleźniona, ale czułam ulgę, że nikt nic nie spostrzegł. Zasnęłam wycieńczona. Następnego dnia matka spytała mnie o plastry. Przestraszyłam się, że będzie chciała obejrzeć rany, opowiedziałam więc, że bawię się w pielęgniarzkę i poprosiłam, żeby pozwoliła mi zachować opatrunek. Udało się, ale ze strachu, że matka coś zauważy, zsiusiałam się potem w majtki.

Rany na kolanach zagoiły się i pozostawiły dwie różowe, około dwucentymetrowe grube blizny. Nie rozumiałam, co to wszystko ma znaczyć. Co stało się w dole w ziemi? Brutalnego mężczyznę, który na mnie leżał, rozpoznałam po głosie i owłosionych rękach. Dlaczego to zrobił?

Nadal bolało mnie całe ciało. Między nogami przez wiele dni czułam straszliwe pieczenie, zwłaszcza przy chodzeniu i gdy musiałam do toalety. Bolało mnie także bardzo, gdy zmieniałam zwinięty papier. Nie powiedziałam jednak nikomu ani słowa. Dlaczego zrobiono mi te nacięcia na kolanach? Do czego zostałam wybrana? Chciałam wyrzucić to wszystko z pamięci i postanowiłam nigdy już nie patrzeć na swoje kolana.

Dotyk

Gudrun przez całe dni słuchała cierpliwie moich rozwlekłych, często zupełnie niepowiązanych opowieści. Wspomnienie tamtej nocy Halloween było tak traumatyczne, że zepchnęłam je w najgłębszą podświadomość i teraz nie chciało ze mnie wyjść. Próbowałam łagodzić prawdę, pomijając detale i uciekając się do ogólników, ale wtedy Gudrun przerywała mi i za każdym razem prosiła, żebym opowiadała dokładnie i ze szczegółami.

Nie dawałam rady, kiedy z trudem udawało mi się wykrztusić jedno spójne zdanie o tamtym wydarzeniu, natychmiast wpadałam w panikę. Potrzebowałam przerw. Musiałam odetchnąć, wrócić do pracowni i do płótna. Malować, malować, malować. Ogromne płótno dawało mi swobodę i przestrzeń. Tematem miały być „Przejrzenia”. Bycie nad wodą, oglądanie w niej swojego odbicia, a jednocześnie zagładanie w głąb siebie – to chciałam przedstawić na obrazie. Malowanie dawało mi poczucie ulgi i radości. Wiedziałam, że Gudrun wróci, będzie pytała i nie odwróci po prostu wzroku. Wierzyła mi. Mimo to musiałam od czasu do czasu odpocząć przy mojej sztuce. Tylko w ten sposób mogłam przetrwać ten proces zrzucania skóry i zdjąć z siebie starą powłokę, niczym ptasznik, którego kilka tygodni wcześniej przekazali mi pod opiekę przyjaciele. Wszyscy wiedzieli, że kocham te zwierzęta i umiem się nimi odpowiednio zajmować. Ogromny pająk zrzucił skórę właśnie w tym czasie, gdy znalazł się pod moją opieką. Było to dla mnie niezwykle przeżycie, a także wzór do naśladowania.

Ze łzami w oczach przedstawiałam Gudrun te wydarzenia, jakby działy się wczoraj. Jasno i ze wszystkimi szczegółami. Wreszcie wyrzuciłam to z siebie! Historia Halloween wytrysnęła ze mnie i napotkała przychylną słuchaczkę – co za ulga! Czułam się wyzwolona, a zarazem skrajnie zmęczona.

Gudrun spytała, jak to było możliwe, że rodzina nigdy nie zwróciła uwagi na moje blizny.

– Zawsze starałam się je ukrywać. Nie chciałam nosić spódnic, czego nikt nigdy nie rozumiał. Gudrun, dlaczego ci mężczyźni odważyli się na takie ryzyko? W każdej chwili ktoś mógł przecież zauważyć te blizny!

– A ty jak sądzisz, dlaczego to zrobili?

– Gdy nas kaleczyli, mówili, że zostaliśmy wybrani. Naznaczyli nas. Dziś mam wrażenie, że potem byłam dla nich niczym wyjęta spod prawa.

– Jakikolwiek był prawdziwy powód tego ohydneho rytuału, niczego to nie zmienia. Ważne jest tylko, jakie znaczenie ty przypisujesz temu wydarzeniu i co ty z nim zrobisz.

Jak odbiły się blizny na moim życiu? Nagle łuski spadły mi z oczu.

– Gudrun, te blizny miały katastrofalny wpływ na moją psychikę. Już jako dorosła kobieta przez lata walczyłam z wewnętrznym paraliżem. Czułam się niezdolna stać na własnych nogach. Nieustannie miałam wrażenie, że coś mnie blokuje i ogranicza, a ja nie mogę się przed tym bronić. Tak, powinnam była bronić się rękami i nogami! Ale po prostu nie mogłam!

O Boże, jaką władzę miały owe blizny nad moim życiem, nawet wtedy, gdy byłam już dorosła! Nikomu nie wolno było dotykać moich kolan, nawet mężowi ani dzieciom.

Kilka lat temu zaczęłam tworzyć naturalnej wielkości rzeźby z gliny. Kobiety z ciałami obwiązanymi niczym mumie. Owinięte postacie odzwierciedlały stan mojego ducha. Brak rąk symbolizował niemoc działania, dokonania czegokolwiek. Niektóre figury zdążyły się już rozsypać, pozwoliłam im niszczyć w ogrodzie.

Gudrun długo trzymała moje dłonie w swoich i patrzyła na mnie smutno. Cicho spytała:

– Czy mogę zobaczyć twoje blizny?

Ukrywałam je ponad trzydzieści lat. Zadrżałam, popatrzyłam w niebieskie, ufne oczy Gudrun. Potem postanowiłam spojrzeć w oczy również prawdzie i podciągnęłam nogawki spodni. Do tej

pory zawsze unikałam patrzenia na swoje kolana, nie mówiąc już o ich dotykaniu. Łzy ciekły na spodnie, na nogi, na blizny.

– Czy możesz ich dotknąć?

– Nie, nie potrafię, nie potrafię! – Instynktownie podciągnęłam nogi i zaparłam się stopami o krzesło. Skuliłam się jak wówczas, gdy zadano mi rany. Ponownie zobaczyłam przed sobą krew, widziałam, jak skapuje na ziemię i miesza się ze łzami. Drżąc, przypominałam sobie wszystko. Znowu byłam małą, przestraszoną dziewczynką. Ogarnęło mnie to samo uczucie, te same lęki, jakby właśnie przed chwilą to się stało. Zalała mnie fala smutku. Najgłębszego smutku.

Gudrun obejmowała mnie mocno.

– Jesteś już dorosła, Christino. Nie jesteś małą dziewczynką. Masz w sobie siłę i możesz pokonać te emocje. Pomyśl o tym, kiedy ci się to już udało – dodawała mi siłę.

Udało się? Tak, nie byłam sama. Tak, zdołałam pokonać lęk i wyjawić komuś moją tajemnicę. Był to krok w dobrym kierunku, Gudrun mi wierzyła. Tak! Wpuściłam prawdę do swojego życia. Spojrzałam prosto w tę wykrzywioną w złośliwym uśmiechu gębę, pocałowałam oślizgłą ząbę, a teraz miałam nadzieję na przemianę. Odetchnęłam głęboko i postanowiłam uwierzyć w siebie i w swoją siłę. W cud, który odmieni moje życie. Gudrun dała mi wsparcie i poczucie, że nigdy więcej nie będę sama. Po raz pierwszy otrzymałam pomoc i umiałam ją przyjąć.

Gudrun ostrożnie dotknęła moich blizn. Wstrzymałam oddech. Przyłożyła dłonie do moich kolan i przez chwilę zakrywała blizny.

– Weź głęboki wdech, Christino, oddychaj.

Delikatnie ujęła moje drżące dłonie i powiodła je łagodnie ku kolanom. Czułam się tak, jakby świat miał stanąć. Przez zasłonę łez patrzyłam na nacięcia, przesuwałam palcami po zabliźnionej, cienkiej skórze. Potok łez nie wysychał, spływał po moich dłoniach, bliznach i nogach. Długo głaskałam te wrażliwe miejsca na moim ciele. Przyjaciółka obejmowała mnie cierpliwie, dopóki na ziemię nie spadła ostatnia łza.

Trwało trzy dni, nim odzyskałam siły. Moje ciało zachowywało się tak, jakbym przebiegła maraton. Podobnie jak dusza potrzebowało czasu, by poradzić sobie z tym doświadczeniem. Podczas malowania pozwalałam, by przenikała mnie muzyka – uspokajała mnie i pomagała mi stanąć na nogi. Połam się gorącą kawą i słowami prawdy, które ogrzewały moją duszę i sprawiały, że kiełkowała we mnie utracona ufność we własne siły.

Podwójne życie

Po przerażającym Halloween moje życie, całe moje dzieciństwo, zupełnie się zmieniło. Relacje z rodzicami i rodzeństwem gwałtownie się rozpadły. Nie miałam zwyczaju kłamać, wiedziałam jednak, że nie mam wyboru. Groźby sprawców odniosły skutek, strach wrósł we mnie głęboko i dosłownie odbierał mi mowę. Rzadko się odzywałam, byłam coraz cichsza, a odpowiedzi na pytania ograniczałam do „tak” lub „nie”.

Rodzice dziwili się mojemu nagłemu milczeniu i innym zmianom. Zauważyli, że nie pozwalałam nikomu się do siebie zbliżyć. Byłam jednak grzeczna, nie domagałam się niczego i bez sprzeciwu wykonywałam polecenia. Rodzicom bardzo to odpowiadało, ponieważ mieli dość zmartwień z moim rodzeństwem, które często się buntowało i nie akceptowało wielu zasad.

W przeciwieństwie do nich nie sprawiałam kłopotu – nie chciałam w żaden sposób zwracać na siebie uwagi. Podczas modlitwy zaciskałam oczy, ponieważ wiedziałam, że tata od czasu do czasu sprawdza, czy traktujemy tę czynność poważnie. Często przyłapywał Philipa na tym, jak z otwartymi oczami mamrotał szybko: „Dziękuję za piękny dzień. Amen”. Ja starałam się modlić obowiązkowo i szczerze – za biedne dzieci, za dziadków i za to, by Indianie poznali Jezusa i także trafili do nieba. Czasami otrzymywałam pochwały za moje piękne modlitwy, co bardzo mnie cieszyło.

Wszystkie domowe obowiązki wykonywałam bez narzekania i pomagałam rodzeństwu w ich zadaniach. Jako sześciolatka zawsze zjawiałam się na posiłki punktualnie i z czystymi rękami, byle tylko nie zwracać na siebie uwagi. Było to szczególnie trudne, gdyż znowu bardzo bolało mnie podbrzusze. Nocą ścisnęłam poduszkę między nogami i popłakiwałam cicho. „Mamo, mamo, mamo, pomóż mi!”. Nie odważałam się jednak nikomu o niczym powiedzieć. Lęk, że z mojej winy Indianie trafią do piekła, dusił wszelką pokusę, choć tak bardzo chciałam wszystko wyznaczyć. Byłam sama z moim cierpieniem, groźby sprawców nieustannie pobrzmiwały mi w głowie. Nigdy mnie nie opuszczały.

Rodzice zwrócili jednak uwagę na moje zmienione zachowanie i próbowali do mnie dotrzeć – bez skutku. Ostatecznie uznali moją małomówność za nieśmiałość.

Byli bardzo zajęci opieką nad czwórką dzieci i swoją pracą. Nasz dom przypominał ul, goście z całego świata przyjeżdżali i wyjeżdżali, nocowali u nas, a przy stole często siedziało nawet dziesięć głodnych osób. Matka była dobrą i serdeczną gospodynią, pomagała potrzebującym i troszczyła się o zapewnienie książek dla Indian. Wraz z ojcem pracowała intensywnie nad przekładem Biblii i czynnie udzielała się w misyjnej wspólnoty.

Obserwowałam ją, gdy zajmowała się swoimi obowiązkami. Zauważyłam, jak bardzo męcząca jest dla matki opieka nad dziećmi i działalność misyjna. Jednocześnie dawało mi to poczucie, że rodzice są ważnymi ludźmi i że naprawiają świat. Gdybym zdradziła swoją tajemnicę, przeszkodziłabym im w pracy. Obok grózb sprawców był to drugi powód gwarantujący moje milczenie. Wiedziałam, jak powinnam się zachowywać spokojnie, cicho i ulegle.

W ciągu dnia zajmowały mnie różne sprawy, ale nadejście mroku oznaczało męki. Noce stały się torturą. Regularnie przed snem zaczynało drapać mnie w gardle. Kaszlałam i szczeptałam niczym pies, czasami nawet wymiotowałam. Choć ze wszystkich sił starałam się powstrzymać kaszel, nie miałam nad nim kontroli. Było to tym gorsze, że z każdym kasznięciem nacisk na podbrzusze stawał się coraz boleśniejszy. Kaszlałam w poduszkę, ale mimo to było mnie słychać. Matka rozpaczała, ponieważ w domu o cienkich ścianach nikt nie mógł spać. Czasami nie widziała innego sposobu, jak przenieść mnie do domku w ogrodzie, gdzie samotna i przestraszona przeżywałam ataki kaszlu i zapłakana zapadałam w sen.

Jeżeli nawet zdołałam pokonać kaszel, nie znajdowałam spokoju. Męczyły mnie koszmary i od

czasu do czasu moczyłam się w łóżku.

– Co się z tobą dzieje, Christino? Obgryzasz paznokcie, moczysz się nocą i jąkasz – zmartwiła się pewnego dnia matka zatroskana moim stanem.

Zanim jednak zaczęła drążyć temat, odwróciłam jej uwagę i zaferowałam, że będę jeszcze więcej pomagać w domu.

Choć niczego nie pragnęłam bardziej, niż wyznać jej prawdę i znaleźć u niej ochronę, martwiłam się o mamę! Miała tyle pracy, a ja sądziłam, że mogę jej pomóc tylko przez to, że nie będę zwracała na siebie uwagi, zachowując się zawsze grzecznie.

Często zawodziła mnie orientacja, przez co gubiłam się w małym i w rzeczywistości przejrzyście zaplanowanym ośrodku. Kiedy już udawało mi się odnaleźć drogę do szkoły, czekały tam na mnie kolejne problemy – przy czytaniu na głos wciąż myliłam słowa albo nie potrafiłam ułożyć wyrazów z liter, które rozmywały się mi przed oczami, więc wydobywałam z siebie tylko jąkanie. Godziło to ogromnie w moją dumę.

Pewnego dnia, po nocy z długimi atakami kaszlu i złymi snami, czułam się bardzo źle i u kresu sił. Gdy na lekcji niemieckiego miałam przeczytać tekst na głos, litery znowu zaczęły skakać i rozmywać się przed moimi oczami. Język przestał mnie słuchać i przy każdej próbie coraz bardziej się myliłam. Drżałam ze strachu, że za chwilę nie będę w stanie wydobyć z siebie już ani słowa. Przerazona poczułam, jak na moim krześle robi się nagle ciepło.

Żółty strumyczek pociekł z siedzenia na podłogę. Wszystkie dzieci wpatrywały się we mnie. W klasie zapadła głucha cisza. Chciałam zapaść się pod ziemię. Za karę musiałam zdjąć majtki, wyprać je i usiąść w krótkiej sukience bez majtek przed drzwiami. Bardzo się wstydziłam i dusił mnie żal. Załkałam cicho i pozwoliłam płynąć łzom. Ze stojącego naprzeciwko budynku dobiegł mnie dochodzący z otwartego okna głos. Zdumiona uniosłam głowę. Dyrektor szkoły skinął na mnie, żebym podeszła. Usłyszałam mój płacz. Wreszcie ktoś, kto chce być dla mnie dobry, pomyślałam. Posłusznie poszłam do jego biura.

Siedział za dużym pulpitem. Z uśmiechem na twarzy wyciągnął ku mnie silne ręce i posadził mnie sobie na kolanach. Przypominał sobie słowa mężczyzn, gdy zadawali nam rany – dyrektor miał pilnować nas w szkole. Czy oznaczało to, że mi teraz pomoże?

Ostrożnie pogłaskał mnie po nogach i próbował mnie uspokoić. Jego słowa były jak balsam dla mojej zranionej duszy. Przynajmniej jeden człowiek, który mnie rozumie, myślałam. Jednak chwilę później wsunął dłoń pod moją spódniczkę. Gdy mnie dotykał, rozpiął spodnie i zaczął się zaspokajać. Ze strachu, że znowu będzie tak bardzo bolało mnie między nogami, zeszywniałam na całym ciele i wbiłam wzrok w sufit.

– Tylko spokojnie, moja mała, po prostu trochę się ze sobą bawimy. To będzie nasza tajemnica, wiesz przecież?

Pokiwałam głową z nadzieją, że wszystko szybko się skończy. Cała skamieniałam. Słyszałam jego ciche pojękiwania i czułam tylko wstyd, olbrzymi wstyd. Byłam wydana na pastwę tego mężczyzny i nie odzywałam się, żeby nie zadał mi większego bólu. Musiało mu się to jednak spodobać, ponieważ wkrótce zaczął co miesiąc sprowadzać mnie do swojego biura albo sąsiedniego pomieszczenia. Wykorzystywał do tego szkolne przerwy lub przydybywał mnie przy innych okazjach.

Po tym przeżyciu nic mi się już nie udawało. Miałam mimo wszystko świadomość, że to, co uczynili mężczyźni i co dalej ze mną robili, było złe. W głębi ducha czułam, że jestem niewinna, choć nie opuszczały mnie wyrzuty sumienia. W szkółce niedzielnej uczono nas, że ludzie są z natury źli i dlatego potrzebują zbawienia przez Jezusa Chrystusa. Z jednej strony wiedziałam, że to mężczyźni postępują źle, a z drugiej strony codziennie zastanawiałam się, czy nie jestem dość dobra dla Boga. To, co czynili ze mną mężczyźni, nie mogło być przecież właściwe.

Moje życie stało się koszmarem. Prześladowcy robili ze mną, co chcieli. Bez uprzedzenia i wciąż na nowo, nie było dnia bez strachu ani tygodnia bez nowych cierpień.

Aby przetrwać, uciekałam do swojego świata.

Początkowo poruszałam językiem w zamkniętych ustach tam i z powrotem i prowadziłam w ten sposób rozmowy z samą sobą. Była to moja własna tajemna mowa. Dzięki temu czułam się

mniej samotna. Obawiałam się jednak ogromnie, że mimo wszystko ktoś mógłby mnie zrozumieć. Pewnego dnia usłyszałam, jak jacyś starsi uczniowie rozmawiają o wymyślonym sekretnym języku. Postanowiłam ich naśladować.

„Christina” stała się „Chribistinabą”, „krzywda” – „krzybywdabą”. Ćwiczyłam tę tajemną mowę, aż mogłam używać jej nawet przez sen – niezrozumiały język, którym ośmielałam się mówić tylko z zamkniętymi ustami lub bardzo cicho i jedynie wtedy, gdy byłam sama. Tak bardzo bałam się, że ktoś mógłby mnie usłyszeć i zrozumieć. Żyłam w swoim własnym, zamkniętym świecie. Nikt go nie znał. Nikt niczego nie podejrzewał. Dla mnie jednak ta możliwość ucieczki była niezbędna do życia. Bez niej nie przetrwałabym powtarzających się stale aktów przemocy.

Ostrzyżona – moja lalka

Czy pamiętasz jeszcze ten sekretny język? – spytała Gudrun, przywołując mnie do terażniejszości. Miałam już dość wspomnień, w mojej głowie zgromadziły się tysiące obrazów niczym sceny z filmu. Opisałam wiele szczegółów, pozwoliłam, by tamten czas ożył wraz ze wszystkimi dawnymi emocjami, i ponownie cierpiałam.

Odparłam:

– Mambam naba ibimiębie Chribistinaba ibi nabadalbal niebie robozubumiembem tebegobo wszybystkiebiegobo! Gudrun, co powinnam teraz zrobić, co mam z tym wszystkim począć?

– Pogodzić się. Z samą sobą i ze swoim losem. Powiedz mi jednak, kto właściwie za tym stał? Trudno mi uwierzyć, że nikt niczego nie zauważył. Jak zdołali to zataić?

– Jako dziecko rozumiałam tyle, że wszystko zaczęło się od dyrektora szkoły, technika i jeszcze jednego misjonarza. Wymyślili sobie te potajemne spotkania.

– Dlaczego? To był krąg pedofilów, satanistów czy jeszcze coś innego?

– Zastanawiałam się nad tym już setki razy. Nie wiem, na czym to polegało. Na pewno byli pedofilami i często mówili, że czczą diabła. Nigdy nie rozumiałam ich rytuałów. Do dziś ich nie rozumiem.

– To wszystko jest szokujące. Powiedz mi jeszcze, kim byli właściwie ten technik i pozostali sprawcy?

Zrobiło mi się niedobrze. Ostatkiem sił powiedziałam Gudrun, że był to misjonarz, który jako technik opiekował się bazą. To on zgwałcił mnie na cmentarzu w dziurze w ziemi. A mężczyzna, o którym sądziłam początkowo, że jest moim wybawcą, i który zawsze prawił mi komplementy, należał do personelu pomocniczego. Oni dwaj oraz dyrektor szkoły pociągali za sznurki w tej tajnej organizacji.

Po tej długiej rozmowie Gudrun pojechała do domu, a ja siedziałam dalej na kanapie, otulona grubym kocem. Niewiarygodnie dużo siły potrzebowałam, żeby wydać sprawców i kosztowało mnie to bardzo wiele nerwów. Było mi lodowato zimno. Ujawniłam tajemnicę. Ale stopniowo zaczęłam odczuwać ulgę, ciepło powoli wracało do mojego ciała.

Co teraz powinno nastąpić? Gudrun mówiła o pogodzeniu się z tym, co się stało i odważnym spojrzeniu w przyszłość.

Wciąż jednak nurtowało mnie pytanie: „Dlaczego ja?”. Czyżbym urodziła się ulicznicą? Czułam się opuszczona przez Boga. Boga nie było, nie chciałam, żeby istniał. Pojawiło się we mnie pragnienie zemsty. Gwałciciele odebrali mi wszystko – moją niewinność, dzieciństwo, rodziców i moją wiarę. Czy można pogodzić się z takim losem? Nie mogłam dłużej usiedzieć na sofie.

Chodziłam bez celu po domu i po pracowni, szukając tematu, czegokolwiek, co mogłabym namalować, by złagodzić ból i opanować nienawiść. W skrzyni odkryłam swoją starą, bezimienną lalkę. Miała na sobie o wiele za dużą czerwoną sukienkę w białe kropki. Na krótko obciętych brązowych włosach zgromadziła się szara warstwa kurzu. W wieku dziewięciu lat ostrzygłam włosy mojej jedynej lalce, mojemu dziecku. Ono także ucierpiało.

Ja sama również na żądanie jednego z prześladowców obcięłam moje piękne, długie loki. Znienawidziłam wówczas swoje odbicie w lustrze, krótkie, kędzierzawe, ciemne pukle. Nie mogłam już dłużej ukrywać twarzy za zasłoną włosów, gdy musiałam ustami zaspokajać tego obrzydliwca. Chciał widzieć mnie całą od góry, co jeszcze bardziej mnie upokarzało. Czułam do niego głęboki wstręt i obrzydzenie. Teraz znowu musiałam sobie o nim przypomnieć, a krótkie włosy lalki przywołały na powrót całą nienawiść.

Długo patrzyłam na zakurzoną twarzyczkę. Intuicyjnie przycisnęłam lalkę do piersi.

– Biedne dziecko, biedne maleństwo – wyszeptalam. – Biedne dziecko, ubrali cię w za dużą

sukienkę. – Rozebrałam lalkę ostrożnie i przytrzymałam pod kranem. Oczyszcziłam ją dokładnie mydłem i gąbką, zmyłam kurz z oczu, wysuszyłam i przycisnęłam nagą do serca. Obok umywalki stał prostokątny szklany wazon.

– Weźmiesz teraz kąpiel, a ja namaluję cię i tym obrazem przywrócę ci godność – wyszeptałam do niej. – Wszyscy powinni zobaczyć, jak się czułaś, moje biedne dziecko.

Od tej pory w każdej wolnej chwili malowałam moją lalkę-dziecko. Malowałam uparcie, aż tęsknota za pojednaniem, uzdrowieniem i złagodzeniem cierpienia przegnała gniew. Po kilku dniach, kiedy zadowolona popatrzyłam na swoje najnowsze dzieło, poczułam się znacznie lepiej. Tak wyglądała prawda, to była jej twarz. Widoczna na płótnie przede mną łagodziła ból wspomnień. Postanowiłam, że moją drogą będzie pojednanie.

W moim życiu pojawiły się ulga i kiełkująca radość. W kolejnych miesiącach lalka stała się najważniejszym towarzyszem na tej nowej drodze. Byłam zdecydowana odzyskać swoje dzieciństwo, odebrać to, czego zostałam pozbawiona. Lalka okazała się cierpliwą pocieszycielką zwłaszcza nocami. Bardzo powoli odnajdowałam w sobie na powrót ukryte dziecko. Pogodziłam się z nim. Pojednanie wspomogło proces leczenia, który toczył się już na dobre.

Nie tylko pogodziłam się ze sobą, ale także zaczęłam nadawać sens przeżyciom z przeszłości. Przebaczenie oznaczało zarazem, że nie zamiatałam ich już dłużej pod dywan.

Złamana

Dzięki nowemu nastawieniu do życia nabrałam odwagi. Coraz łatwiej przychodziło mi opowiadać Gudrun o licznych zajściach, kawałek po kawałku wypuszczać prawdę na wolność.

Pewnego dnia, we wrześniu 2002 roku, w mojej kuchni stanęli opaleni na brązowo rodzice i z zachwytem zaczęli opowiadać swoje wrażenia z długiego pobytu w Boliwii, skąd właśnie wrócili. Przekazywali pozdrowienia od mieszkańców Tumi Chucua i San Lorenzo. Właśnie teraz, kiedy ja mierzyłam się ze wspomnieniami, oni rozplýwali się nad tym, jak tam było pięknie. Rozpląkałam się i walczyłam sama ze sobą, by nic nie powiedzieć. Nie było już jednak odwrotu i tak rodzice po raz pierwszy usłyszeli ode mnie o wykorzystywaniu seksualnym.

– ...nie byłam jedyna, po mnie przyszła kolej na inne. Przekonacie się, że to prawda! – zakończyłam.

Matka stała jak skamieniała, ojciec patrzył na mnie przerażony. Nie powiedziałam już ani słowa i między nami zapanowała nieznośna cisza. Po pewnym czasie ojciec przerwał milczenie:

– To nie może być prawda! Zawsze dobrze was z mamą pilnowaliśmy. – Z troską dodał: – Robisz tym mężczyznom krzywdę! Może potrzebujesz pomocy? Niektóre kobiety wmawiają sobie takie rzeczy.

Kiedy byłam dzieckiem, moi prześladowcy często grozili, że rodzice mi nie uwierzą. Czyżby mieli rację?

Gdy rodzice wyszli i nieco się uspokoiłam, przemyślałam całą tę rozmowę. To, że mi nie uwierzyli, bardzo mnie zraniło, postanowiłam więc, że już nigdy się z nimi nie zobaczę. Przyszło mi to z wielkim trudem, byłam jednak konsekwentna i zerwałam kontakty z rodzicami.

Wkrótce nabrałam śmiałości również w codziennym życiu nauczyłam się mówić to, co naprawdę chciałam powiedzieć, i robić to, co naprawdę chciałam robić. Zmiany, które we mnie zachodziły, odbijały się na moich relacjach z mężem. Nasze stosunki coraz bardziej się pogarszały.

Nie mogło to dziwić. Nie byłam już tą samą osobą co wówczas, gdy się pobraliśmy. Postanowiłam wziąć swoje życie mocno we własne ręce i sama zdecydować, co z nim zrobić. Konfrontacja z prawdą, nadwerężone zaufanie i niepewność, jak powinniśmy postąpić w obliczu zmian – to wszystko zachwiało naszym związkiem. Również dzieci reagowały mocno na tę niestabilną sytuację.

Przez długi czas udawałam przed nimi, że w moim życiu wszystko układa się dobrze. Teraz nie było to dłużej możliwe. Synowie bez trudu potrafili mnie przejrzeć i zarzucali pytaniami.

– Jak się czujesz, mamó? – dopytywał się dwunastoletni Raphael.

– Mam pomasać ci stopy? – jedenastoletni Timon na swój sposób starał się zapewnić mi wsparcie.

Obaj wyczuwali mój ból i cierpienie, które przygniatały mnie każdego dnia, a nocą powracały w koszmarach. Nie miałam dość odwagi, żeby nawet oględnie opowiedzieć synom o mojej sytuacji. Długo zastanawiałam się, jak im wytłumaczyć moje rozdrażnienie i rozchwianie emocjonalne. Troska o dzieci towarzyszyła mi dzień i noc. Nocami często wstawałam i malowałam, przenosząc swoje zmartwienia na płótno.

Konflikt z mężem zaostriżył się, uzgodniliśmy jednak, że w miarę możliwości nie będziemy mieszać w to wszystko chłopców. W tym czasie wymagali oni naszej pełnej uwagi i oboje bardzo się staraliśmy, żeby ich nie stresować naszymi problemami.

Poświęcałam synom dużo czasu. Dobrze było mieć jakieś zadanie i pomagało mi to, że mogłam opiekować się dziećmi. Często spędzaliśmy całe godziny w pracowni, budując coś z gliny i drewna albo rozmontowując stare maszyny. Chłopcy odrabiali lekcje obok moich sztalug i bez ogródek oznajmiali mi, co sądzą o moich obrazach. Wyrażali otwarcie szczere opinie i okazali się

najprawdziwszymi krytykami sztuki.

Dzieci były dla mnie całym światem. Jednak także one domagały się prawdy i nie zadowolaly wymówkami.

Pewnego dnia zebrałam się na odwagę i przywołałam synów do siebie.

– Chłopcy, wiecie przecież, że kocham was nade wszystko i że jesteście dla mnie najważniejsi. Na świecie są jednak ludzie, którzy krzywdzą dzieci. Mówię wam to na podstawie własnych doświadczeń. Nie chcę was straszyć, ale musicie wiedzieć, dlaczego jest mi teraz tak źle – wyjąkałam.

Chłopcy objęli mnie.

– Mamo, my też cię mocno kochamy, z całego serca! Powiedz, co się stało!

Opowiedziałam im więc, że gdy byłam dzieckiem, źli ludzie zrobili mi krzywdę i zabronili mówić o tym moim rodzicom.

– Pamiętajcie, że zawsze macie prawo mówić, co wam leży na sercu! Nikomu nie wolno was zastraszać ani podnosić na was ręki. Nikt nie ma prawa za bardzo się do was zbliżyć, wasze ciało należy tylko do was!

Pociekły mi łzy, a chłopcy ponownie objęli mnie i trzymali mocno. Siedzieliśmy tak razem, przytuleni. Powróciły pociecha i spokój. Wspólnie damy radę, będziemy się nawzajem wspierać. Jakim szczęściem były dla mnie moje dzieci!

Mogłam jednak tylko je przestrzec, upomnieć, że na świecie są też niebezpieczeństwa. Nie dałabym przecież rady pilnować ich przez cały czas i chronić przed wszystkimi zagrożeniami. Timon jako mistrz Szwajcarii w tenisie stołowym często podróżował i musiałam pozwalać mu wyjeżdżać samemu na dalekie obozy szkoleniowe. Chciał tego i był dzięki temu szczęśliwy. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko zaufać mu, że będzie umiał się ustrzec i że nie przydarzy się mu to samo co mnie. Raphael chodził do gimnazjum, dojeżdżał do miasta pociągiem i nierzadko wracał dopiero wieczorem, po zmroku.

Choć nie przyszło mi to łatwo, chłopcy nauczyli mnie, że mogę dać im swobodę i wierzyć, że sobie poradzą. W dalszym ciągu zachowywałam jednak czujność i często przeprowadzałam rozmowy rodzinne. Każdy mógł wtedy powiedzieć, co mu przeszkadza, a także, co go cieszy, jak mu się powodzi i czego pragnie. Wysłuchiwaliśmy siebie nawzajem i uczyliśmy się rozmawiać o wszystkim otwarcie i bez obwiniania. Co tydzień rozwiązywaliśmy w ten sposób trudne sytuacje i konflikty.

Pozornie prowadziłam normalne życie. Jako malarka mogłam pozwolić sobie na to, by zamykać się w pracowni, i nikogo to nie dziwiło. Pamiętnik zapisałam gęsto aż po ostatnią stronę i zamalowywałam płótna tarantulami, chrząszczami i kobiecymi ciałami, które symbolizowały moją przeszłość i pomagały złagodzić ból. Nadal także nauczalam i prowadziłam kursy dla dorosłych. Dodawało mi siłę, gdy miałam jakieś zdanie i mogłam być przydatna. Nikt nie zauważał mojego wewnętrznego wzburzenia.

Wręcz przeciwnie, wiele osób uważało mnie za silną i szukało u mnie rady. Zwierzały się ze swoich trosk i przeżyć, a mnie udawało się czasem komuś pomóc. Towarzyszyłam tym ludziom w ich bólu. Zachęcałam, by się podnieśli, wybrali swoją przyszłość, opracowali plan, przyjęli strategię i wytrwali w staraniach. Gdy sama się potykałam, wstawałam i szłam dalej naprzód. To wzmacniało mnie wewnątrz i nadawało mojej drodze głębszy sens.

List

Pewnego słonecznego jesiennego dnia przy filiżance kawy przeglądałam pocztę. Przede mną leżał list od organizacji misyjnej Wycliffe. O co znowu im chodzi?, zastanowiłam się. Przyzwyczyłam się takie listy wyrzucać nieprzeczytane do kosza na śmieci.

Ten jednak jakoś intuicyjnie, choć z wielkim oporem, otworzyłam. Serce podeszło mi do gardła. W środku znalazłam wezwanie skierowane do wszystkich członków misji, którzy mieszkali kiedyś w Tumi Chucua. Do organizacji dotarły zawiadomienia donoszące o molestowaniu seksualnym, a według informacji należało się ich spodziewać znacznie więcej. Proszono zatem, aby zgłosili się wszyscy, którzy przeżyli coś podobnego lub mogli złożyć zeznania na ten temat. Dla organizacji ważne jest bowiem naprawienie krzywd.

Z niedowierzaniem pokręciłam głową i ponownie przeczytałam list. Jak to możliwe? My, ofiary molestowania, milczeliśmy wszyscy przez kilkadziesiąt lat, cierpieliśmy w milczeniu i pozwalaliśmy, by trawił nas ból. I oto teraz, w zasadzie w tym samym czasie, wielu z nas przełamało tę klątwę! Bez uzgodnienia między sobą, bo przecież nigdy nie miałam kontaktu z żadną z tych osób. Kim one były? Kto się na to odważył?

Ledwo dowierzałam własnemu szczęściu. Osłupiała wpatrywałam się w papier. Cud! Czy to możliwe? Niemożliwe. A jednak! Stoi tu czarno na białym. Zabębniłam pięściami w biały marmurowy stół i podskoczyłam.

– Tak! Tak! Teraz wszyscy muszą mi uwierzyć, oto dowód! – Czulałam się jak zwycięzca po nieskończenie długim, samotnym maratonie. Czyżby zatem istniała sprawiedliwość? Czy mogłam znowu mieć na nią nadzieję?

Tak, pojawiła się nadzieja. Wiedziałam, że moi rodzice również otrzymali to pismo. Teraz musieli mi wreszcie uwierzyć, nie mieli wyboru! Tęskniłam za pojednaniem z nimi. List dowodził, że mówiłam prawdę i nie byłam wcale zdezorientowana ani chora. Serce mi łomotało, usiadłam na powrót przy stole i odczytałam na głos dobrą nowinę. *Wreszcie, nareszcie mogę przemówić. Będą musieli mi uwierzyć.* Odetchnęłam głęboko.

Miałam nadzieję, że ponownie stanę się członkiem rodziny, mojej rodziny.

Kilka dni później rzeczywiście doszło do rozmowy z rodzicami. Matka objęła mnie i pytała raz po raz:

– Co oni z tobą zrobili? Tak bardzo mi przykro!

Ojciec chciał poznać nazwiska. Nie potrafiłam jednak wymienić nazwisk tych mężczyzn, nie przechodziły mi przez usta. Poczulałam wewnętrzny paraliż, ogarnął mnie chłód i lęk. Czy mogłam zaufać rodzicom? Utrzymywali kontakty z moimi prześladowcami, po powrocie z podróży przekazali mi przecież pozdrowienia. Piękniś dawniej przyjaźnił się z tatą. A teraz miałam podać jego imię? Desperacko wpatrywałam się w ziemię. Nie potrafiłam, nie mogłam przemówić.

Po długim milczeniu wyjąkałam, drżąc:

– Jeśli chcecie, możecie zgadywać, kto to był. Przykro mi, ale ja nie zdołam wypowiedzieć ich nazwisk, jeszcze nie teraz.

Ku mojemu ogromnemu zdumieniu matka wymieniła trzy osoby i od razu trafiła w dziesiątkę. Niewiarygodne! Potaknęłam. Ojciec nie chciał uwierzyć, bo przecież oskarżyłam jego ówczesnego najlepszego przyjaciela.

Wreszcie rozwiązał się mi język.

– Inne dzieci też w tym uczestniczyły. Nie byłam jedyną, którą wykorzystał. Inne też powiedzą teraz prawdę, zobaczysz, tato.

Ostatkiem sił opowiedziałam mu kilka szczegółów. Potem rozplakałam się i zamilkłam. To było takie bolesne. Czy spojrzą faktom w oczy? Czy będą potrafili stanąć po mojej stronie i

wreszcie mi uwierzą?

Matka zakryła twarz dłońmi.

– Nie, nie, to wszystko nie może być prawdą! To nie może być prawda, Christino! Niczego nie zauważyłam! Sądziłam, że twoje dzieciństwo było rajem na ziemi. A teraz to! Co oni mi zrobili! Odebrali mi ciebie!

Patrzyłam na nią oszołomiona. Co też ona opowiadała? Ci przestępcy odebrali mi dzieciństwo, niewinność, seksualność, całą moją tożsamość! MNIE! Nie jej przecież! Dlaczego to ona stała się nagle ofiarą? Czy przy całym moim bólu miałam jeszcze ją pocieszać?

Całkowicie wyczerpana i bezmiernie rozczarowana nie wiedziałam, co mogę zrobić innego. Po prostu położyłam się spać. Dwie godziny głębokiego, uzdrawiającego snu bez marzeń.

Tego wieczora przypomniałam sobie obchody National Day w Tumi Chucua. Owego dnia organizowano pochód przedstawiający różne narodowości, których przedstawiciele mieszkali w ośrodku. Miałam sześć lat i jako Miss Swiss reprezentowałam Szwajcarię, trzymając w dłoni szwajcarską flagę. Musiałam włożyć koszulę ojca, która ozdobiona była typowym szwajcarskim haftem i sięgała mi nad kolana. Z podwiniętymi rękawami i paskiem wyglądała jak sukienka. Na niej widniała biała szarfa z napisem Miss Swiss. Mama uważała, że wyglądam w tym stroju słodko, ja jednak byłam zagniewana. Po straszliwych przeżyciach podczas Halloween nie chciałam w żaden sposób zwracać na siebie uwagi. Wcale nie chciałam być Miss Swiss.

Teraz nie byłam już ich małą Miss Swiss. Nigdy nią zresztą nie byłam. W kolejnych dniach dręczyły mnie poczucie winy i strach. Musiałam wyjawić prawdę, ale towarzyszył mi przy tym ogromny wstyd, szczególnie wobec ojca. Był przecież mężczyzną.

Matka Ziemia

W następnych miesiącach rozpadło się całe moje życie. Wspomnienia z dzieciństwa pojawiały się nagie i wyraźne przed moimi oczami. Całymi tygodniami odczuwałam ból w podbrzuszu. Prawda zalała mnie niczym powódź. Fundamenty mojego istnienia, moja tożsamość, moje maski, moje małżeństwo, moja rodzina – wszystko legło w gruzach.

Było wielkim szczęściem, że mogłam zdać się na przyjaciółki i na moje dzieci, które wspierały mnie w tym okresie całkowitego załamania. W duchu czułam się sama sobie obca, przestałam się poznawać. Nie wiedziałam, czym jest miłość, nie mówiąc już o miłości do samej siebie. Nienawidziłam swojego ciała, wiłam się w bólach, brzydziłam się swojego odbicia w lustrze.

Zrzucałam skórę podobnie jak ptasznik, który sztywny i nieporuszony trwał godzinami na grzbiecie. Potem zaczął wyciągać się i obracać, jego odnóża nabrzmiewały, by powoli, po wielogodzinnej walce wyzwolić się ze starej skorupy. Obumarła skóra fascynowała mnie, w każdym szczególe stanowiła idealny obraz pajaka. Została tylko skorupa, cienka i krucha. Sam pająk był jeszcze miękki, a przez to bardzo wrażliwy. Ja czułam się podobnie – bezbronna i narażona na niebezpieczeństwa.

Byłam w trakcie zrzucania skóry, moje uczucia, emocje i nerwy zostały całkowicie odsłonięte. Na tym etapie wyjątkowej wrażliwości mówiłam bez przerwy, próbując w ten sposób zatuszować niepewność. Wiedziałam, że jeżeli się zdemaskuję i obnażę swoją słabość, stanę się łatwym łupem. Opowiadałam zatem o wszystkim, tylko nie o sobie.

Ponownie uciekłam do mojej przestronnej pracowni, nie zastanawiałam się, tylko przemierzałam ją i intuicyjnie rozglądałam w poszukiwaniu przedmiotów i obiektów, które rzuciłyby mi się w oczy. Miały symbolicznie przedstawiać mój ból i przynosić ulgę mojej duszy. Na okiennym parapecie odkryłam martwego chrząszcza. Obok leżała zasuszone jaszczurka, motyle i zebrane przez dzieci inne owady, na przykład pszczoły i szerszenie. Wzięłam chrząszcza do ręki i długo mu się ze smutkiem przyglądałam. Nawet gruby, czarny pancerz nie zdołał go ochronić. Leżał na mojej dłoni nieporuszony i zimny. Czułam, jak małe, ostre haczyki na drobnych odnóżach czepiają się moich palców.

To jest to! Przeciwnicy czepiają się mojej duszy niczym rzepy, przeszło mi przez głowę. Nawet po tylu latach nie zostawili mnie w spokoju. Wciąż musiałam się z nimi zmagać.

Żadne płótno nie było dostatecznie duże. Szkic wykonałam z łatwością. Delikatnymi kreskami narysowałam owady. Między nimi umieściłam kobiece ciało, a na nim kolejne ogromne, martwe owady. Byłam bardzo zadowolona z tego projektu. Wreszcie znalazłam środek wyrazu, którego szukałam. Obraz odpowiadał moim uczuciom, poszukiwaniu przede mną mojego prawdziwego „ja”.

Cienkim pędzlem malowałam kreskę za kreską farbami olejnymi. Rytm pociągnięć pędzla działał na mnie uspokajająco. Rozluźniłam się. Medytując, zamalowywałam centymetr po centymetrze. Postanowiłam nakładać tylko jedną warstwę farby, kolejna zniszczyłaby lekkość barw. Nie mogłam w związku z tym pozwolić sobie na żadne błędy, ale wytrwale szłam obraną drogą. W takich chwilach byłam wobec siebie bezlitosna, jedno błędne pociągnięcie pędzla wystarczyłoby, żebym pocięła obraz nożem.

Gudrun przejrzała mnie i cierpliwie pomagała mi „zrzucić skórę”. Moje dzieci dowiedziały się już, przez co przechodzę. Na swój sposób wyznaczyły mi zadanie opiekowania się nimi, do czego musiałam zbierać siły. W ten sposób przywoływały mnie często na powrót do życia i ratowały przed całkowitym upadkiem.

Z wielkim trudem przełamalam się i odważyłam skorzystać z pomocy psychologa. Oczekiwałam propozycji rozwiązań, takie jednak nie padły. Po kilku sesjach zrozumiałam, że

muszę przejść cały ten proces samodzielnie.

Często doganiały mnie stare nawyki myślowe i zaczynałam bagatelizować zdarzenia z dzieciństwa. Rodzice, misja, Bóg – usprawiedliwiałam wszystkich, poza samą sobą. Pytanie o winę powodowało, że stale wpadałam w pułapkę. *Sama jestem temu wszystkiemu winna*. Groźby i obwinianie ze strony prześladowców zapadły mi głęboko w pamięć. Bardzo powoli udawało mi się od nich wyzwolić i obciążyć sprawców pełną odpowiedzialnością za popełnione czyny.

Również Gudrun wyciągała mnie z pułapki winy. Gdy nieświadomie zaczynałam się obwiniać, od razu to zauważała. Kiedy byłyśmy razem, nie pozwalała, bym poczuła się w ten sposób przytłoczona. Zrozumiałam, że zastanawianie się nad własną winą nie ma sensu. Powoli pękały dogmaty mojego chrześcijańskiego wychowania, w którym obarczania winą doświadczyłam tak intensywnie.

Stopniowo pozbyłam się lęku, że przez swoje decyzje mogę ponownie obciążyć się winą. Mimo to kosztowało mnie bardzo dużo siły, by rozstać się z mężem. Dla niego był to szok, podobnie jak dla wszystkich znajomych, a szczególnie dla moich rodziców, w których obecności czułam się jak cudzołożnica. Nawet oni nie potrafili mnie już jednak powstrzymać przed robieniem tego, co uważałam za właściwe dla mnie i dla moich dzieci. Rozstanie było bowiem nieuniknione.

Mąż właśnie studiował, a moje wyznania całkowicie go zaskoczyły. Wcześniej nigdy nie zajmował się kwestią wykorzystywania seksualnego, teraz zaś oczekiwano od niego zrozumienia i delikatności. Widziałam, że się stara, lecz jego reakcje odbierałam jako raniące mnie. Ja mogłam wyrażać swoje przeżycia przez sztukę oraz rozmawiać z Gudrun, on jednak znalazł się w tej sytuacji zupełnie sam. Ostatecznie wybraliśmy się nawet do terapeutki, ale i to nie pomogło. Usłyszeliśmy standardową formułkę, że w takich okolicznościach szczęśliwy związek nie jest możliwy.

Byłam zupełnie zszokowana – czyżby moje dzieciństwo miało odpowiadać również za rozpad naszego małżeństwa? Jak w każdym związku pojawiały się między nami różnice zdań i konflikty, ale teraz wszystko to zostało nagle powiązane z moją przeszłością.

Stopniowo poczucie winy przeszło w gniew. Byłam wściekła na brak zrozumienia, z którym stykałam się każdego dnia. Irytowała mnie każda reakcja, we wszystkim doszukiwałam się drugiego dna. Nie został kamień na kamieniu. Czym w ogóle była miłość? Na czym polegał związek dwojga ludzi? Co było mi wolno, a czego nie? Przez wiele lat postępowałam tak, jak zostałam wychowana – z założeniem, że kobieta jest podległa mężczyźnie. Teraz pragnęłam decydować o sobie.

Od tej pory coraz częściej odważałam się iść własną drogą i w ten sposób, krok po kroku, zbliżałam się do wolności. Czułam, jak opada ze mnie ciężar, stawałam się coraz lżejsza i swobodniejsza. Tak swobodna, jak nigdy wcześniej. Żadnych wyrzutów sumienia, żadnych ograniczeń, nikogo, kto nakazywałby mi, co mam robić.

Opiekowałam się dziećmi i uczyłam rysunku w szkole. W weekendy chodziłam na tańce z Gudrun, moją ukochaną siostrą Stefanie lub sama. Mogłam wracać do domu, kiedy chciałam. Nie musiałam odpowiadać przed nikim, tylko przed samą sobą. W wieku trzydziestu paru lat po raz pierwszy w życiu poznałam i pokochałam wolność.

Rozwiedliśmy się za porozumieniem stron. Pomimo zranienia udało się nam pozostać przyjaciółmi. Wiedzieliśmy, że przez całe życie będziemy rodzicami naszych dzieci i będziemy wspólnie ponosić za nie odpowiedzialność. Regularnie odbywaliśmy narady rodzinne z synami i troszczyliśmy się o ich potrzeby.

Na skutek rozwodu mogłam nagle zdecydować, jakie będę nosić nazwisko. Nie zdołałam pogodzić się z rodzicami, mimo to moje panięskie nazwisko, Krüsi, było świadectwem moich korzeni, zatem z pełną świadomością przyjąłam je ponownie. Chciałam także odzyskać „h” w imieniu, zgodnie z danymi w moim paszporcie.

W tym czasie zakochiwali się we mnie kilkakrotnie cudowni mężczyźni, którzy wspomagali mnie radą i czynem. Tak często o tym marzyłam – i właśnie teraz się to ziszczało! Przyciągałam mężczyzn, którzy okazywali mi głęboką troskę, byli inteligentni i szczodrzy. Tych mających złe zamiary potrafiłam wyczuć z daleka i schodziłam im z drogi. Wzmacniało to moją pewność

siebie. W ciągu kilku miesięcy zyskałam zupełnie nowy obraz mężczyzn. Nie byłam jednak gotowa na stały związek. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, bym kiedykolwiek miała doświadczyć głębokiej miłości.

Jeszcze przed moim rozwodem, zimą 2002 roku ponownie skontaktowali się ze mną przedstawiciele organizacji Wycliffe ze Stanów Zjednoczonych, ponieważ chcieli odnotować i ocenić poszczególne zajścia. Z największą dokładnością sprawdzałam wszystkie moje wypowiedzi pod kątem tego, czy mam co do nich całkowitą pewność. Pomijałam wszelkie wspomnienia, których okoliczności nie potrafiłam w stu procentach przyporządkować. Godzinami udzielałam informacji przez telefon, a przedstawiciele przyjeżdżali również do Szwajcarii i odwiedzali mnie w celu przeprowadzenia wywiadów.

W trakcie wszystkich tych rozmów, które ciągnęły się miesiącami, musiałam bardzo się koncentrować, aby nie zapanowały nade mną emocje, ponieważ chciałam przedstawić wszystko jasno i rzeczowo. Z całą surowością stosowałam się do zasady stuprocentowej pewności – jeżeli jej nie miałam, milczałam. Wielokrotnie musiałam podać do protokołu, że w tym lub tamtym przypadku nie jestem całkowicie pewna i dlatego nie chcę złożyć zeznań. Niektórych zajęć nie potrafiłam opisać w szczegółach, ponieważ nie ufałam rozmówcom. Bałam się, że mi nie uwierzą, będą mnie osądzać albo uznają za szaloną.

W tym czasie wielokrotnie dochodziłam do granic wytrzymałości. Mogłam opowiadać o gwałtach tylko w niewielkich fragmentach, wszystko inne wykraczało poza moje siły. Często potrzebowałam przerw, odpoczywałam przy joggingu, tańcu, a zwłaszcza w pracowni, malując. Gudrun nadal wysłuchiwała mnie całymi godzinami we dnie i w nocy. Mogłam opowiedzieć jej wszystko bez lęku. Przy niej moje emocje bez przeszkód wpływały na powierzchnię, a Gudrun przyjmowała je i zbierała. Tego właśnie potrzebowałam: kogoś, kto wysłuchałby mnie cierpliwie, bezwarunkowo i bezkrytycznie.

Choć pozornie radziłam sobie całkiem dobrze, był to czas całkowitego załamania. Konsekwentnie stawiałam jednak czoło przeszłości oraz oddałam się lekturze książek na temat molestowania seksualnego i jego skutków.

Wychodek

Pewnego dnia piękniś nakazał mi wejść do jednej z publicznych toalet i czekać tam na niego. Zesztywniałam, nie odważyłam się jednak odmówić ani uciec. Zbliżyłam się powoli do wychodka, otworzyłam drzwi i stanęłam obok klozetu. Po kilku sekundach błyskawicznie wszedł za mną i zamknął za sobą drzwi.

W drewnianej wygodce było nam we dwoje bardzo ciasno. Intensywny, wstrętny smród drażnił nos. Czego chciał ode mnie ten mężczyzna? Odsunął na bok pokrywę klozetu. Zastanawiałam się, dlaczego, ale w zasadzie nie musiałam. Ogarnął mnie straszliwy lęk, że może mnie wepchnąć do dziury. Nieporuszenie wpatrywałam się w ciemną głębię. Byłam śmiertelnie przerażona i miałam ochotę zwymiotować.

Musiał wyczuć mój strach, ponieważ zapewnił mnie, że nie wrzuci mnie do środka. Przycisnął się do mnie i wyszeptał, że jestem taka słodka z moimi błyszczącymi oczami. Mógł to mi powiedzieć także na zewnątrz, dlaczego więc zamknął mnie tutaj?

Przemawiał dalej cicho i obiecał, że będzie mnie ochraniać, jeśli okażę się posłuszna. Nie wiedziałam, czego ode mnie chce, więc po prostu skinęłam głową.

Potem wszystko odbyło się błyskawicznie. Zanim się obejrzałam, przycisnął mi do nosa małą ciemnobrązową fiolkę. Momentalnie zrobiło mi się czarno przed oczami. Nie umiem powiedzieć, co się działo potem, ponieważ byłam nieprzytomna.

Gdy powoli doszłam do siebie, uśmiechał się zadowolony. Otwór klozetu był na powrót zakryty, buteleczka znikła. Wypuścił mnie na wolność odurzona i z tętniącym bólem głowy. Nie miałam pojęcia, co się stało i jak długo byłam uwięziona w wychodku.

Od tamtej pory zaczął się na mnie coraz częściej. Miał wiele okazji, by mnie dopaść. Za każdym razem zmuszał mnie do wdychania substancji z brązowej buteleczki. Gdy odzyskiwałam przytomność, zawsze wyglądał na zadowolonego. Jak tylko zdołałam stanąć na nogi, wypuszczał mnie z gorącego, cuchnącego więzienia. Wkrótce zrozumiałam, co ze mną robił, kiedy byłam nieprzytomna, ponieważ później często krwawiłam, tak jak po gwałtach dokonywanych przez innych mężczyzn.

Coraz częściej miałam wrażenie, że jestem już tylko przezroczystą skorupą i błąkam się po okolicy. Moje nogi ledwo się przy tym poruszały, a oczy patrzyły uparcie na wprost. Wszystko wokół zacierało się i kręciło. Nie wiedziałam, co znajduje się w górze, co w dole, co po prawej, a co po lewej. Wiatr mógłby mnie unieść, tak lekka i pusta się czułam. Niewidoczna i nic niewarta. W tym stanie traciłam wszelką orientację i z ledwością trafiałam do domu.

Niezależnie od tego, dokąd szłam w Tumi Chucua, w drodze do kąpieliska, do kościoła lub szkoły czy obok hangaru, zawsze musiałam mijać znieawidzone publiczne wychodki – były po prostu wszędzie! Ów misjonarz molestował mnie przy każdej okazji, choć stopniowo zaczęłam mieć wrażenie, że naprawdę mnie lubi. Prawił mi komplementy i próbował się przypodobać, byłam jego dziewczynką, dziewczynką o błyszczących oczach.

Z dorosłymi kobietami flirtował otwarcie. Również z moją matką, czym bardzo się przejmowałam. Rodzice całymi nocami grali z nim i jego żoną w monopol i bardzo dobrze się z nimi rozumieli. Dla mnie jednak obecność jego żony zawsze była wyjątkowo niemiła. Żywiłam wobec niej duży szacunek, a jednocześnie odczuwałam paniczny strach, że może coś zauważyć i mnie oskarżyć. Dreńczona wyrzutami sumienia miałam wrażenie, że wyczuwam jej pogardę.

Życie w Tumi Chucua stawało się dla mnie coraz cięższe. W pierwszych miesiącach molestował mnie tylko dyrektor szkoły. Z powodu nacięć na kolanach czułam się jednak naznaczona jako łatwy łup. Wkrótce do dyrektora dołączyli także inni misjonarze. Byłam bezbronna i nie potrafiłam przed nimi uciec. Przede wszystkim piękniś dopadał mnie coraz

częściej.

Łącznie gwałciło mnie pięciu mężczyzn. Czasami nie mijał tydzień bez przemocy, kiedy indziej zdarzały się dwa, trzy tygodnie spokoju. Pod wpływem pedofilów znajdowała się grupa około siedmiu chłopców. Choć nie stanowili jeszcze dużego zagrożenia, musiałam coraz częściej uciekać przed ich zaczepkami.

Mimo że moi rodzice pilnowali nas znacznie czujniej niż inne rodziny swoich dzieci, mężczyźni znajdowali dość okazji do folgowania swoim podłym zachciankom – podczas szkółki niedzielnej, po zajęciach sportowych, w bibliotece albo kiedy rodzice wyjeżdżali pracować nad tłumaczeniem. Byłam molestowana również na chrześcijańskich obozach organizowanych dla dzieci.

Najbardziej dręczyły mnie odbywające się w tajemnicy spotkania, na które bez ostrzeżenia zabierano nas, „wybrańców”. Bardzo dobrze pamiętam te zgromadzenia, choć do dziś nie rozumiem, jaki był ich cel i jakie znaczenie miały te rytuały. Zawsze ogromnie się bałam, ponieważ technik wymuszał na nas posłuszeństwo przy użyciu brutalnej siły. Żadne z nas nie odważało się bronić, bo wciąż nam grożono i czuliśmy śmiertelny strach.

Musiałam jakoś odnaleźć się w tej sytuacji, zaczęłam więc świadomie stosować swojego rodzaju strategię przetrwania. Były to pewne wybiegi, które stopniowo coraz bardziej udoskonalałam. Jeżeli musiałam przejść przez wioskę, czekałam zawsze, żeby jakaś kobieta zmierzała w tę samą stronę, po czym podążałam tuż za nią.

Pewnego dnia ojciec zaskoczył mnie i podarował mi przepiękny rower. Był jeszcze całkiem nowy, pomalowany na biało-różowo, z charakterystycznym wydłużonym siodełkiem – wówczas ostatni krzyk mody, a dla mnie najwyższy luksus! Co najlepsze, mogłam dzięki niemu szybko przemykać obok niebezpiecznych stref. Pędziłam jak rakietka po wąskich ścieżkach, a wiatr rozwiewał mi włosy. Rower stał się moim wybawieniem, moją świętością, dbałam o niego i strzegłam niczym oka w głowie.

Gdy byłam sama w domu, często wyobrażałam sobie, że jestem już kilka lat starsza. Udawałam, że odgrywam ważną rolę w ośrodku misyjnym. Dzięki mojej pracy wszyscy trafiają do nieba i Bóg jest ze mnie bardzo zadowolony. Ta zabawa zawsze wprawiała mnie w dobry nastrój, mimo że wiedziałam, iż w rzeczywistości wszystko jest fałszywe i złe. Przez tę dwulicowość byłam wewnętrznie rozdarta. Komu miałam wierzyć? Sobie czy moim gnębiicielom? Byłam ich seksualną niewolnicą. „Seksualna niewolnica”, to określenie wychwyciłam podczas jednego z tajemnych rytuałów i od razu poczułam, że trafia w samo sedno. Nie było to coś, z czego mogłabym być dumna. Chciałam być dumna z wolności, a nie z niewoli w małej wiosce, w której przyszło mi żyć.

Miss Lilly

Mała wioska Tumi Chucua była zawsze nazywana przez misjonarzy oraz licznych gości z całego świata „rajem”. Dla mnie okazała się piekłem, istniał w nim jednak promyk światła: Miss Lilly, która z anielską cierpliwością walczyła z moimi trudnościami w czytaniu. Ponieważ w szkole miałam coraz gorsze wyniki, rodzice poprosili ją o pomoc.

Pewnego dnia z radością spakowałam więc do tornistra książkę do angielskiego i pobiegłam przez łąkę, a potem ścieżką wydeptaną w bambusowym zagajniku do domu Miss Lilly. Przypominał domek Baby Jagi, stojący samotnie w lesie. Gdy delikatnie zapukałam do drzwi, nie podejrzewałam nawet, co przygotowała dla mnie nauczycielka.

– Wejdz, Christino – zawołał przenikliwy głos.

Otworzyłam drzwi i weszłam. Miss Lilly stała w aneksie kuchennym, w różowo-czerwonym fartuszk i z wałkami na głowie. Zastanowiłam się, w jaki sposób te rzeczy trzymają się na jej włosach. Położyłam tornister na stole.

– Zamknij oczy! – poleciła mi ze śmiechem. – Niespodzianka, niespodzianka!

Doszedł mnie słodki zapach świeżego ciasta. Podskoczyłam i rzuciłam się jej na szyję, ponieważ w domu rzadko dostawaliśmy słodycze. Czule pogładziła mnie po włosach.

Usiadłyśmy na ławce, wzięłam do ręki książkę, a Miss Lilly łagodnie i cierpliwie pomagała mi odszyfrować słowo po słowie. W jej obecności język mi się rozwiązywał i szybko czyniłam postępy w czytaniu. Gdy była pora wracać, nauczycielka spytała, czy chciałabym przenocować u niej na piętrze.

– Upiekę ci na śniadanie takie same naleśniki, jakie właśnie zjadłyśmy – obiecała.

Chciałam – i było mi wolno! Niedługo potem zupełnie sama, bez rodzeństwa, pobiegłam w japonkach do domku Baby Jagi z pizamą i szczoteczką do zębów. Z Miss Lilly dobrze się bawiłyśmy. Ułożyła mnie na miękkich poduszkach niczym księżniczkę na ziarnku grochu i czytała mi książeczkę o Bambi, którą tak lubiłam.

Gdy doszłyśmy do fragmentu, w którym zwierzęta się parzyły, poczułam się nieswojo. Nauczycielka musiała to zauważyć, ponieważ spytała, czy wiem, co one robią. Patrzyłam zawstydzona w ziemię. W tej chwili tak bardzo chciałam otworzyć serce przed Miss Lilly i wszystko jej wyznać. Na pewno by mi uwierzyła. Ona tak – ale inni? Nie, nie mogłam, choć już otwierałam usta. Gardło miałam zaciśnięte. Czy zauważyła, że coś jest ze mną nie w porządku? Groźby prześladowców i myśl o tym, że z mojej winy Indianie trafią do piekła, za bardzo mnie przygniatały. Milczałam.

Pokochałam ciocię Lilly. Powoli i nieśmiało zakiełkowało we mnie zaufanie do niej. Ona sama nie miała dzieci, byłam jednak pewna, że kochała mnie jak własną córkę. W ciągu tych lat jej dom był jedynym miejscem ucieczki, jakie znalazłam w Tumi Chucua. Odwiedzałam ją często, nocowałam u niej i cieszyłam się okazywaną mi wielką serdecznością. Spokój, którym promieniowała Miss Lilly, oraz zaufanie, jakie do niej czułam, miały na mnie dobry wpływ. Nigdy jednak nie odważyłam się opowiedzieć jej o mężczyznach, którzy mnie gwałcili.

Parasol

Pedofile prześladowali mnie, gdy tylko mieli ku temu okazję, coraz częściej jednak musiałam uciekać również przed starszymi chłopcami. Trudno było przewidzieć, komu bardziej powinnam schodzić z drogi.

Przemoc zapoczątkowana przez kilku mężczyzn rozprzestrzeniała się niczym rak po całym ośrodku misyjnym. Niektórzy chłopcy zaczęli czyhać na mnie i innych „wybrańców” również za dnia. To z kolei nie uszło uwagi młodych tubylców z sąsiedniej wioski, którzy pracowali w bazie jako ogrodnicy lub pomocnicy. Stali się bardziej bezczelni i również ośmielali się na nas napadać. Gdy przechodziłam koło nich, bezwstydnie wykonywali dwuznaczne gesty i wskazywali na najbliższy wychodek. Za każdym razem zawstydzona patrzyłam w ziemię i próbowałam omijać ich dużym łukiem. Nie zawsze mi się to udawało, były jednak wyjątki.

Nadeszła pora deszczowa. Olbrzymie krople deszczu bębniły o blaszany dach naszego domu.
– Gdzie twoja peleryna? – krzyknęła mama przez głośny szum deszczu.

Wzruszyłam ramionami i rozejrzałam się bezradnie. Mój płaszcz przeciwdeszczowy zniknął i znowu spóźniałam się do szkoły. Mama pożyczyła mi parasol i przykazała surowo, żebym przyniosła go z powrotem do domu.

Z wdzięcznością rozłożyłam parasol, wzięłam tornister i ruszyłam w drogę. Koło wieży wodnej schowałam się, jak tylko mogłam, pod wielkim parasolem i przyspieszyłam kroku. Gdy bez przeszkód dotarłam do szkoły, dla pewności włożyłam parasol mamy pod drewniany pulpit.

Zawsze cieszyłam się, idąc do szkoły, ponieważ bardzo lubiłam nową nauczycielkę. Tego dnia na lekcji rysunku pokazała nam, jak stawiając kredkami drobne kreski, możemy namalować sierść kota. Cierpliwie, kreska po kresce, rysowałam mojego prążkowanego, czarno-brązowo-białego kocura. Zapomniałam przy tym o wszystkim wokół. Moje ciało przejęło rytm regularnych pociągnięć i rozluźniło się, a mnie ogarnęło głębokie poczucie spokoju. Byłam niezmiernie dumna z rezultatu. Nauczycielka pochwaliła mnie przed całą klasą i poleciła, żebym zawiesiła rysunek na tablicy.

W tym momencie coś się we mnie zmieniło. Gdy popatrzyłam na rysunek, ogarnęło mnie niewiarygodne poczucie szczęścia. Czy rzeczywiście zupełnie sama i bez niczyjej pomocy stworzyłam ten obrazek? Czy to naprawdę moje dzieło, czy udało mi się zrobić coś dobrego? Ledwo mogłam w to uwierzyć. Tak, to prawda. To ja, ja powołałam do życia tego małego kotka na papierze. Cóż za wspaniałe i niewiarygodnie dobre uczucie! Od razu zrozumiałam, że rysowanie jest kołem ratunkowym, którego mogę się uchwycić. Wspomnienie tego wrażenia i rytmu, przy którym tak dobrze się czułam, było czymś, czego nikt nigdy nie mógł mi odebrać. Nikt. W tamtej chwili byłam tego zupełnie pewna.

Uczucie szczęścia utrzymywało się przez cały dzień. Deszcz ustał, słońce przegnało grube deszczowe chmury. Radosna i podekscytowana pobiegłam do domu i zachwycona opowiedziałam mamie, co narysowałam. Cieszyła się razem ze mną, ponieważ sama była utalentowana plastycznie. Całe popołudnie spędziłam, malując.

Było już zupełnie ciemno, kiedy mama spytała mnie o parasol. Z tej radości zostawiłam go w szkole pod pulpitem. Zdenerwowała się i kazała mi pobiec do szkoły, by go przynieść. Popatrzyłam na nią przerażona.

– Ale jest już ciemno, mamo!

Upierała się, musiała natychmiast dostać parasol z powrotem. Mój brat Philip nie chciał mi towarzyszyć, więc sama wybrałam się po ciemku w drogę do szkoły.

Na zewnątrz powitała mnie chmara moskitów. Wymachiwałam desperacko rękami, by je przegonić, ale natychmiast pogryzły mnie w gołe nogi. Pobiegłam. Na szczęście w niektórych

domach paliło się jeszcze światło. Dzięki temu mogłam omijać duże kamienie i dziury na bitej drodze. Olbrzymi krwistoczerwony księżyc odbijał się w kałużach. Biegłam tak szybko, jak tylko mogłam, w nadziei, że nie natrafie na żadnego ze złych mężczyzn. Tuż przed budynkiem szkoły przystanąłam jak rażona gromem. Po małej ścieżce, która prowadziła obok szkoły do dżungli, poruszało się w moją stronę słabe światło. Instynktownie wiedziałam, że jestem w niebezpieczeństwie. Może uda mi się jeszcze zabrać parasol, zanim światło dotrze do szkoły. Drżąc, pobiegłam do otwartych drzwi i w ciemności poszukałam pod pulpitem parasola. Wciąż tam leżał. Na szczęście.

Z parasolem w dłoni wyszłam niepewnie z powrotem przed drzwi i czujnie wpatrzyłam się w ciemność. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego światła. Zerknęłam w górę na księżyc, by go powitać. Wydawał się mi starym przyjacielem. Z nim nad głową nie czułam się już taka samotna. Wreszcie odważyłam się zejść po małych schodkach. Nadal nigdzie nie widziałam światła. Być może niebezpieczeństwo minęło. Dobrze, że nie miałam latarki, dzięki temu nikt mnie nie zauważył. Poczułam ulgę. Wciągnęłam głęboko powietrze i ruszyłam w drogę do domu.

Wszystko w porządku, już jest bezpiecznie, dodawałam sobie odwagi.

Na wysokości boiska do piłki nożnej usłyszałam jednak nagle za sobą szelest. Wstrzymałam oddech. Kroki! Zbliżały się szybko. Nadal nie widziałam światła, tylko było słychać coraz bliższe kroki! Czyżby wyłączyli latarkę i zaczęli się tu na mnie? Kto to był? Ze strachu otworzyłam parasol i przytrzymałam go przed sobą niczym tarczę. Postanowiłam, że tak zostanę. Nadchodziła ku mnie jakaś postać, która zawołała moje imię.

Był to Manolo, chłopiec z boliwijskiej wioski. Znałam jego głos. Kiedy jakiś czas temu mój ojciec budował płot wokół naszego ogrodu, Manolo pomagał mu w zamian za drobne kieszonkowe. Już wówczas mnie sobie upatrzył. Był próżny i zawsze nosił podkoszulek podciągnięty wysoko albo zawiązany nad brzuchem. Stale zaglądał przez okno do mojego pokoju i czynił dwuznaczne gesty – takie same jak pozostali chłopcy z wioski – i gwizdał za mną.

Teraz oto stał kilka metrów ode mnie. Światło księżyca potwierdziło, że to on i jestem zdana na jego łaskę. Manolo był nieco wyższy i silniejszy ode mnie, byłam jednak gotowa się bronić. Cichymi, drobnymi kroczkami zaczęłam się cofać, wciąż z parasolem w dłoni. Chłopak przystanął i przemówił do mnie szeleszcząco po hiszpańsku, śmiejąc się. Powiedział, żebym poszła z nim do jego wioski, gdzie właśnie odbywa się święto. Popatrzyłam na niego zza parasola przestraszona i pokręciłam głową.

Gdy zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę, złożyłam parasol i zaczęłam wymachiwać nim dziko, po czym obróciłam się błyskawicznie i odbiegłam. Zebrałam w sobie wszystkie siły i popędziłam ku najbliższemu domowi, w którym nadal paliło się światło. Zbawczy blask z okien był coraz bliżej – ale mój prześladowca także. Jeszcze tylko kilka metrów i będę bezpieczna! Naraz kroki za mną ucichły. Chłopak zawołał coś w moją stronę i zawrócił. Byłam ocalona.

Z ulgą przycisnęłam parasol do serca. Tak szybko, jak tylko potrafiłam, pobiegłam w ciemności do domu. Tam chciałam opowiedzieć mamie, co się zdarzyło, nie miała jednak dla mnie czasu, a taty nie było. Gdy zgasiliśmy światło w dziecięcym pokoju, zwierzyłam się bratu Philipowi. Zaśmiał się tylko i powiedział, że jestem tchórzem. Tej nocy jeszcze długo nie mogłam zasnąć.

Tylko zabawa

Po letnich wakacjach po raz pierwszy zaprowadziłam moją młodszą siostrę do szkoły. Byłam dumna, że sama jestem już w trzeciej klasie, i postanowiłam dobrze pilnować Evy. Droga do szkoły prowadziła obok wieży wodnej. Na górze, jak to często bywało, stał na drabinie technik i patrzył na nas. Zmierzył mnie przeszywającym spojrzeniem i zaśmiał się krótko. Jego muskularne, owłosione ciało budziło we mnie nieopisany wstręt. Czułam głęboki lęk przed tym nieobliczalnym mężczyzną.

Znałam go aż nazbyt dobrze z potajemnych spotkań zwoływanych przez naszych prześladowców. Był jednym z najbrutalniejszych oprawców. Jeżeli jakieś dziecko nie wykonywało poleceń, wciskał mu głowę do beczki z wodą, aż niemal się dusiło. Groził nam także nożem, żeby wymusić posłuszeństwo. To on tak brutalnie i bezwzględnie zaatakował mnie w ziemnej jamie podczas Halloween. Tamto przeżycie nadal kładło się cieniem na mojej duszy. Nigdy nie wiedziałam, czy znowu mnie nie napadnie. Niepewność sprawiała, że codzienna droga do szkoły była męką. Zawsze miałam wrażenie, że tylko czeka, by rzucić się na mnie z zasadzki w pobliżu wieży wodnej. Codziennie musiałam czterokrotnie przechodzić obok jego miejsca pracy.

Zawsze można było także usłyszeć z daleka jego napady wściekłości podczas pracy. Tym razem jednak ogarnął mnie gniew, w obecności Evy obudził się we mnie instynkt opiekuńczy. Nie – pomyślałam. – Jej nie dostaniesz. Pospiesznym krokiem minęłam z nią wieżę wodną. Chciałam się tylko jak najszybciej oddalić.

Z czasem nauczyłam się schodzić mu z drogi, rozwinęłam rodzaj siódmego zmysłu, jakbym miała oczy z tyłu głowy – małe i czarne, ukryte we włosach. Widziały wszystko, co działo się za mną, i ostrzegały, gdy tylko groziło mi niebezpieczeństwo. To wyobrażenie dodawało mi otuchy w drodze do szkoły, czyniło odważniejszą i pewniejszą siebie. Moja umiejętność chronienia samej siebie wciąż rosła, a wraz z nią poczucie własnej wartości. Każdy dzień, gdy zdołałam wymknąć się technikowi i innym, sprawiał, że czułam się dumna i silna. Coraz częściej wygrywałam w tej zabawie w chowanego. Stawałam się sprytniejsza i szybsza od moich dręczycieli – ten już dawno nie zdołał mnie dopaść.

To był kolejny dobry dzień, udało mi się bezpiecznie odprowadzić siostrę do szkoły.

Na rozpoczęcie szkoły uczniowie ze wszystkich klas zebrali się na otwartej werandzie, by po modlitwie wspólnie śpiewać pieśni. Śpiewaliśmy żarliwie jedną pobożną pieśń za drugą. Dyrektor szkoły co jakiś czas mrugał do mnie. Wiedziałam, czego chce ode mnie, udawałam jednak, że niczego nie zauważam.

Uwielbiałam wspólne śpiewanie. Wypełniało mnie wtedy poczucie wspólnoty ze wszystkimi uczniami. Odczuwałam także intensywną więź z pozostałymi wykorzystywanymi dziećmi, z którymi nie wolno mi było rozmawiać. Często podczas śpiewu zapominałam o wszystkich zmartwieniach. W takich chwilach byłam w pełni sobą, podobnie jak podczas rysowania. Oddziaływały na mnie zwłaszcza smutne, melancholijne utwory. Dodawały mi sił. Najbardziej lubiłam *Pharao, let my people go – Faraonie, wypuść mój lud*. Pieśń opowiadała o wyjściu Izraelitów z Egiptu. Jakże chętnie wyruszyłabym razem z nimi, by uciec od cierpienia.

Moja siostra została odebrana i odprowadzona przez swoją nową nauczycielkę. Gdy chciałam udać się z kolegami do mojej klasy, prosto do mnie podszedł dyrektor. Pozostali uczniowie szybko odeszli. Choć próbowałam się wymknąć, zapędził mnie do rogu. Spokojnie i cicho spytał, czy pobawię się z jego synem, który podobno bardzo się mną interesuje i chce zaprosić mnie na obiad – ale nie miał śmiałości poprosić sam. Syn dyrektora był kilka lat starszy ode mnie i ani trochę go nie lubiłam. Zgodziłam się jednak ze strachu.

Dyrektor kazał mi przyjść na obiad dwa dni później. Gdy w środę po szkole stanęłam przed

jego drzwiami, miałam złe przeczucie. Czy pomogą mi moje „oczy” z tyłu głowy? Dyrektor spytał, czy chcę pobawić się w pokoju z jego synem. Potaknęłam z ulgą.

Chłopiec siedział w kącie i czytał książkę. Wcale nie wydawał się mną zainteresowany. Zerknął krótko i skinął mi głową. Usiadłam nieśmiało na krześle. Potem usłyszałam, jak drzwi zamykają się i zostaje przekreślony klucz. Dyrektor zamknął nas oboje w dziecięcym pokoju! W najlepszym humorze zawołał do nas, że będzie podglądał przez dziurkę, jak robimy razem dzieci. Dopiero potem dostaniemy coś do jedzenia.

Usiadłam z książką w naprzeciwległym rogu i obserwowałam starszego chłopca. Co zrobi? Onieśmielona spoglądałam ponad kartkami w jego stronę. Nie ruszał się z miejsca. Cała sytuacja była dla niego najwyraźniej równie upokarzająca jak dla mnie, więc zawstydzeni siedzieliśmy tak, każde w swoim kącie, i czytaliśmy dalej. Czułam niewiarygodną ulgę, że nic się nie wydarzyło. Mimo to nie rozumiałam jego braku zainteresowania, pozostali starsi chłopcy nie zawahaliby się przy takiej okazji. Ten jednak nie próbował nawet się do mnie zbliżyć. Czyżby rzeczywiście niczego ode mnie nie chciał?

Gdy obiad był gotowy, ojciec chłopca ze śmiechem otworzył drzwi. Żartował o naszej pierwszej nocy poślubnej, której chciał się przyglądać, i nie przestawał opowiadać sprośności. Stale mówił o „seksie”! Byłam zszokowana, ponieważ w mojej rodzinie nie używało się tak grubiańskiego języka. Ku mojemu zdumieniu podczas obiadu żona dyrektora wcale się nie odzywała, a on śmiało gadał dalej. Atmosfera była nieznośna. Ucieszyłam się ogromnie, gdy wolno mi było wreszcie pójść do domu.

Dyrektor jednak nadal nie dawał mi spokoju. Próbował przydybać mnie podczas skoków z trampoliny albo zwabić do swojego biura. Umiałam już jednak sprytnie mu się wymykać. Zawsze, gdy wołał mnie do siebie, mówiłam, że muszę iść do toalety albo wrócić po tornister. Nauczyłam się wymyślać dobre wymówki, które najwyraźniej wydawały się mu wiarygodne. Starłam się też być wobec niego tak miła i uprzejma, jak tylko potrafiłam.

Komunia I

Kilka miesięcy po moich dziesiątych urodzinach poszłam z rodziną na wieczorne nabożeństwo. Było już ciemno, jednak w kościele zebrał się wielki tłum na mszę dziękczynną. Po wspólnym śpiewie podzielono nas, dzieci, na poszczególne grupki ze szkoły niedzielnej. Zajęcia odbywały się w różnych pomieszczeniach przy budynku kościoła, a także w pobliskim dawnym domu dziecka.

W drodze do domu dziecka usłyszałam, jak ktoś woła mnie po imieniu. Przystanęłam przestraszona, pozostałe dzieci minęły mnie pospiesznie. Od razu wiedziałam, że znowu coś się wydarzy, nie miałam jednak możliwości uciec. Poprowadzono mnie krótką ścieżką w głąb lasu, a potem prosto na cmentarz.

Świerszcze cykały głośno, wokół mnie latały komary, a ćmy gromadziły się wokół migoczącego nerwowo, słabego światła kilku świec. Usłyszałam pomrukujące, monotonne głosy i cichy szept. Postaci nie było wiele. Nie odważyłam się spojrzeć pod ich naciągnięte głęboko na twarz kaptury. Napięta, tajemnicza atmosfera sprawiła, że zaczęłam niekontrolowanie drżeć. Nie ośmielałam się nawet odgonić od mojej skóry głodnych komarów.

Intuicyjnie poczułam obecność śmierci. Moje ciało znajdowało się w stanie najwyższego alarmu. W powietrzu wisiało śmiertelne niebezpieczeństwo i sprawiało, że odbierałam całą scenę skrajnie wyostrozonymi zmysłami. Na cmentarzu pośród gęstej roślinności poruszały się cicho w przytłumionym świetle ciemne postacie.

To musi być coś bardzo ważnego, pomyślałam. Stałam w odległości kilku metrów od grupy i obserwowałam wydarzenie. W ciemności zdołałam rozpoznać jakiegoś chłopca. Był to Finn. Zachwiał się, ale pochwycił go jeden z mężczyzn. Najchętniej podbiegłabym do Finna, by mu pomóc. Ledwo trzymał się na nogach. Parę metrów od niego rozpoznałam Gabriele. Nieco dalej z przodu, na lewo pojawiła się nieco mniejsza, choć dorosła postać, również w wielkim kapturze. Ciągnęła za sobą za ramię Melissę. Ta miała nisko pochyloną głowę i nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Dreptała chwiejnie za zakapturzoną postacią. Nagle potknęła się o korzeń, odzyskała jednak równowagę i przystanęła przed dużym pniakiem, na którym migotały świece. Postać prowadząca Melissę jedną ręką nadal trzymała ją za ramię, a drugą dała znak w ciemności. Kolejna osoba podeszła cichym krokiem z jakimś zawiniątkiem, położyła je na pniaku i ponownie zniknęła w mroku. Towarzysz Melissy pochylił się i wyszeptał jej coś na ucho. Ta popatrzyła zmieszana prosto w twarz postaci.

Och, Melisso – pomyślałam przerażona. – Nie wolno ci tego robić! Nigdy nie możesz patrzeć zakapturzonym mężczyznom w twarz! Mężczyzna pociągnął Melissę za ramię. Powoli i niezgrabnie zaczęła rozwijać zawiniątko.

Co jest w środku?, zastanawiałam się. Mój strażnik przesunął się o krok i zasłonił mi widok. Panowała teraz upiorna cisza, tylko nocne zwierzęta komentowały niezwykle wydarzenia. Słyszałam ich ćwierkanie i posykiwanie oraz łagodny szum wiatru powiewającego cicho w gęstwinie. Było mi zimno. Odgoniłam komara, który zaczął kąsać mnie w ramię.

Wreszcie postać przede mną poruszyła się. Nie odważyłam się spojrzeć i wbijałam wzrok w ziemię. Mężczyzna pochylił się do mnie i wyszeptał cicho:

– Patrz dobrze, to bardzo ważne. Zostałaś wybrana i pozostaniesz wybraną!

Nie miałam pojęcia, co ma na myśli, zrobiłam jednak, jak mi nakazał. Gdy Melissa odchyliła płótno, ukazało się maleńkie dziecko. Wyglądało, jakby spało. Nóżki zakrywała mu błękitna sukienka. Musi być bardzo małe – pomyślałam. – Z takimi drobnymi rączkami i nóżkami.

Odważyłam się zrobić dwa małe kroki w stronę potężnego pniaka. Dziecko leżało na płótnie z rozciągniętymi rączkami i nóżkami. Potem Melissa zaczęła powoli zdejmować mu sukienkę.

Zupełnie tego nie rozumiałam. O co chodziło? Sama miałam młodsze rodzeństwo i znałam się na niemowlętach. Dziecko powinno się przecież obudzić! Pozostało jednak ciche, nie wydało żadnego dźwięku, żadnego krzyku. Czułam ogromną potrzebę ochrony niemowlęcia. Na pewno marzło i gryzły je komary. To musi być mieszaniec, przyszło mi do głowy.

W wioskach, w których kościół katolicki prowadził działalność misyjną, od czasu do czasu rodziły się takie dzieci. Ojciec często wskazywał nam to indiańskie potomstwo o jasnej skórze i mówił, że prawdy nie da się ukryć. Dobrze wiedziałam, co ma na myśli.

Mogłam teraz zajrzeć nagiemu niemowlęciu między nóżki. Tak, z pewnością była to dziewczynka. Co to miało znaczyć, co chcieli z nią zrobić? Czułam się zupełnie zmieszana. Coraz bardziej chciałam pomóc dziecku, ale nie odważałam się poruszyć.

Mężczyzna obok Melissy podniósł nagie niemowlę razem z płótnem i podszedł do Finna, Gabriele i ich towarzyszy. W blasku świecy błysnął nóż, potem utworzyli krąg wokół dziecka. Oszołomiona spojrzałam ku Melissie, która stała bez ruchu obok pniaka. Usłyszałam pomruki i szepty. Po krótkiej chwili jeden z mężczyzn podszedł do Melissy i wcisnął jej w dłonie małą, ciemną miseczkę. Zmusił Melissę do wypicia z niej.

Czekałam w milczeniu, co się teraz stanie. Nagle zrozumiałam, że teraz kolej na mnie. Mężczyzna podszedł, by podać mi miseczkę.

– Pij! – nakazał.

Wzięłam miseczkę w obie dłonie. Była ciepła. Przeszył mnie dreszcz i musiałam powstrzymać odruch wymiotny, bo spostrzegłam, że w środku jest krew. Nie, nie chciałam tego wypić, przenigdy!

– Pij! Dalej! – Mężczyzna zaczął się niecierpliwić, chwycił mnie za ramię i ponownie nakazał, żebym natychmiast napiła się z miseczki.

Wstrzymałam oddech i przyłożyłam usta do ciepłego jeszcze płynu.

– Weź porządny łyk!

Mimo oporu posłuchałam. Trzęsłam się na całym ciele i przyciskałam dłoń do ust, aż połknęłam wszystko. Jednocześnie uświadomiłam sobie, że zabili dziecko. Ogarnął mnie paniczny strach. Czy mnie też zabiją? Nie chciałam umrzeć! Biedne dzieciątko – myślałam. – Nie mogłam nic dla ciebie zrobić. Biedne dziecko, biedne, biedne dzieciątko.

Potem pogrozili nam jak zawsze.

– Jako wybrańcy spożyliście prawdziwą komunię. Nikomu nie wolno się o tym dowiedzieć, w przeciwnym razie stanie się z wami to samo, co z tą małą, a pozostali będą pić *waszą* krew!

Później jeden z mężczyzn zaprowadził mnie z powrotem do szkoły niedzielnej. Myślałam o krowie, którą widziałam kiedyś na placu ubojni między szkołą a kościołem. Tubylcy zaszlachtowali zwierzę i zebrali ciepłą jeszcze krew do misek, by zrobić z niej kaszanke. Nie, nie skończę tak jak ta krowa. Nigdy.

Po tym zdarzeniu żyłam jak w transie. Całkowicie zawładnął mną strach. W miarę możliwości chowałam się w domu i nie wychodziłam już, by się pobawić. Nocą prześladowały mnie najstraszniejsze koszmary, przestałam czuć własne ciało, nie zauważałam, czy jestem głodna lub spragniona, zmęczona czy pobudzona, czy jest mi zimno czy ciepło. Coś otepiło moje zmysły i całkowicie sparaliżowało uczucia. Funkcjonowałam według planu niczym maszyna, robiłam wszystko, co mi nakazano, byle tylko nie zwracać na siebie uwagi. Wewnętrznie czułam się jednak coraz bardziej pusta. Niczym chodząca skorupa, pozbawiona sensu i celu.

Komunia II

Po owym zajściu pewnej niedzieli matka spytała mojego brata i mnie przed mszą świętą, czy jesteśmy gotowi przyjąć komunię. Miała nadzieję, że jesteśmy już dość duzi, by zrozumieć znaczenie tej czynności.

Philip wzbraniał się i odmawiał uparcie. Wiedziałam, jak ważne jest to dla matki, bałam się jednak bardzo, że zgrzeszę, ponieważ nie ocalałam niemowlęcia. Strach, że przez odmowę zwróce na siebie uwagę, narzucił mi jednak decyzję. Musiałam się zgodzić i znieść wszystko cierpliwie.

Wcześniej kazano mi wypić krew niewinnego dziecka, a teraz zmuszano mnie, bym przyjęła komunię. Czy ta komunia była prawdziwa? Zmieszana siedziałam obok matki i czekałam grzecznie na swoją kolej.

Nagle ktoś mnie szturchnął. Przede mną stał jeden z pomocników. Mrugnął do mnie i przytrzymał mi przed nosem tacę z małymi kieliszkami. Wzięłam jeden, wypiałam i odstawiłam z powrotem.

Zamknęłam oczy, by odzyskać spokój, zalewały mnie jednak wspomnienia krwi i martwej dziewczynki w błękitnej sukience, w mojej głowie pojawiał się obraz za obrazem. Zrobiło mi się niedobrze i poczułam zawroty głowy. Dopiero gdy wspólnota zaczęła śpiewać, wróciłam do rzeczywistości. Matka zauważyła to i objęła mnie. Bez słowa siedziałyśmy ramię w ramię w kościelnej ławce.

Skinęłam mamie głowę, a potem szybko otarłam łzy. W domu rozmawialiśmy długo o komunii. Rodzice spytali, jakie to było dla mnie przeżycie, i popatrzyli na mnie wyczekująco. Wiedziałam, co powinnam odpowiedzieć.

My, dzieci, milczeliśmy potulnie na temat mordu i ze strachu unikaliśmy kontaktu ze sobą. Rytuał pozostawił na mojej duszy głębokie, otwarte rany. Ciężko na mnie olbrzymie poczucie winy. *Jestem winna śmierci dziecka, nie uratowałam go!* Raz po raz nachodziły mnie takie myśli. Chciałam pochować dziewczynkę i ustawić dla niej krzyż. Wielokrotnie przypominałam sobie cmentarz i duży pniak. Mała dziewczynka była zawsze obecna w mojej duszy.

Zmęczenie życiem

Pewnego wyjątkowo parnego, gorącego dnia wlokłam się zmęczona pylistą drogą ze szkoły do domu. W mojej głowie wszystko wirowało, ledwo byłam w stanie myśleć.

Gdy otworzyłam drzwi domu, od razu zauważyłam, że coś jest nie w porządku. Rodzice siedzieli w milczeniu przy stole naprzeciwko mojego starszego brata i wpatrywali się w niego. Matka poprosiła, żebym poszła do swojego pokoju. Zrobiłam to, nasłuchiwałam jednak rozmowy. Brat potajemnie wystarał się w boliwijskiej wiosce o papierosy i przyłapano go na paleniu. Przez lata bywałam świadkiem gwałtownych sporów między nim a rodzicami, którzy najwyraźniej tracili kontrolę nad synem.

Ponieważ kochałam brata nade wszystko, nie mogłam po prostu znieść, że znowu wpadł w poważne tarapaty. Ogarnęła mnie fala wątplenia – nie, byle nie to jeszcze!

Nie skończyło się na kazaniu. Ojciec posłał brata na zewnątrz, żeby przyniósł różgę do bicia. Brat bezczelnie, jak to miał w zwyczaju, podetknął ojcu pod nos zbutwiałą gałązkę. Nie chciałam już nic więcej słyszeć i przycisnęłam poduszkę do uszu. Docierały do mnie tylko przytłumione głosy, mimo to dotarło do mnie, jak Philip złorzecząc, wybiega z domu.

Dokąd pobiegł?, zastanawiałam się spanikowana. Matka płakała histerycznie, ojciec krzyczał.

Teraz straciłam i brata! Zrezygnowana próbowałam zebrać myśli, ale to wszystko po prostu mnie przerastało. Chciałam uciec, gdziekolwiek, gdzie mogłabym wreszcie znaleźć spokój i ciszę. Z dala od prześladowców, którzy wciąż zadawali mi ból. Z dala od tego przeraźliwego strachu, który nie opuszczał mnie na każdym kroku. W moim cierpieniu widziałam już tylko jedno wyjście.

Zrozpaczona nałożyłam kostium kąpielowy i wykradłam się tylnymi drzwiami z domu. Mechanicznie i obojętnie ruszyłam drogą nad jezioro. Znalazłam się tam prawie sama. Tylko kilku chłopców bawiło się nieco dalej przy tratwie. W drugą stronę płynęła Miss Lilly, która pomachała mi z dala przyjaźnie. W czepku kąpielowym wyglądała dziwnie.

Wskoczyłam do wody na główkę. Otoczyła mnie ciemność, nikt nie widział moich łez, mojej bezradności i mojego zmęczenia życiem. Przypomniałam sobie boliwijskiego chłopca, którego niedawno wyciągnięto martwego z wody. Utonął. Czy nie mogłam po prostu zostać tu, w głębinie, w nieważkości i ciemności?

Instynktownie wypłynęłam na powrót do pomostu. Zdecydowanie przytrzymałam się drabinki. Uchwyciłam się szczebelków wszystkimi siłami. Potem zanurkowałam ponownie, dziewięć razy. Był to rytuał, który już wcześniej często odprawiałam w wodzie. Miałam dziesięć lat, a zatem zanurkowałam jeszcze dziesiąty raz. Tym razem jednak aż do dna jeziora, po szczeblach drabinki w dół. Na ostatnim szczebelku zatrzymałam się – z największą siłą woli, jaką kiedykolwiek w sobie zebrałam. Postanowiłam nie wracać na górę, tylko trzymać się tak długo, aż będę martwa. Zamknęłam oczy i nie puszczałam.

Boże, idę teraz do Ciebie. Nigdy nie byłeś przy mnie, dlatego sama przychodzę do Ciebie. Teraz będziesz musiał się o mnie zatroszczyć. Otoczyła mnie cisza. Jeśli przeżyję, to znaczy, że uratował mnie anioł, przyszło mi jeszcze do głowy. Poczuałam, jak się uspokajam. Ciemność i spokój, nareszcie spokój.

Z bardzo daleka usłyszałam cichy głos:

– Obudź się, powiedz coś, Christino! – Ktoś uderzył mnie mocno w policzki i przemawiał do mnie energicznie. – Prawie utonęłaś! Masz zupełnie sine usta, *sweetheart*. Co takiego wyprawiasz? Co się stało? Uderzyłaś się w głowę? Dzięki Bogu zauważyłam, że nie wypłynęłaś z powrotem. Proszę, Christino, powiedz coś!

Głos przybierał na sile. Czy trafiłam do nieba? Czy uratował mnie anioł? Dlaczego jeszcze żyłam? Jak wydostałam się z wody? Czuałam, że ktoś trzyma mnie za ramię i głaszcze po głowie.

Oszołomiona otworzyłam oczy.

Miss Lilly pochylała się nade mną i patrzyła na mnie z ulgą.

– *Thank God you're back, darling* – wyjąkała. – Co takiego zrobiłaś, mała? – Przycisnęła mnie do swojego mokrego ciała i długo nie puszczała.

W tej chwili czułam się bezpieczna, kochana i otoczona opieką. Miłość wypełniła moją duszę i dodała mi sił. Miss Lilly była moim aniołem, uratowała mnie.

– Proszę, uważaj bardziej na siebie, potrzebujemy cię jeszcze tutaj – wyszeptała cicho.

– Dziękuję, ciociu Lilly, dziękuję, że mnie uratowałaś. Proszę, nie mów nic moim rodzicom, bo przestraszą się i zabronią mi kąpieli. Nie wolno mi samej chodzić się kąpać, więc proszę, proszę, nie mów nic mojej mamie! Nigdy już tego nie zrobię, obiecuję!

Zgodziła się i uściśnieła mnie mocno ostatni raz.

– *Take care, my dear!* – zawołała za mną. Czy mogła podejrzewać, że wszystko było zupełnie inaczej i w jakiej sytuacji się znalazłam?

W duchu pragnęłam gorąco, by rozpoznała sygnały, które już wielokrotnie jej wysyłałam. Była jedyną osobą, której ufałam, że mi uwierzy. Mimo to nie potrafiłam otwarcie wyznać prawdy. Oszołomiona, wzięłam ręcznik, by ruszyć w drogę powrotną. Byłam wyczerpana, a zarazem zdumiona, że wciąż żyję. Cóż miałam jednak począć z tym życiem? Uratował mnie anioł. Czy taki był mój los? Cicho wróciłam do swojego pokoju. Nikt nie zauważył mojej nieobecności.

Położyłam się do łóżka i od razu zasnęłam. Matka obudziła mnie na kolację, a mnie kamień spadł z serca, gdy zobaczyłam siedzącego przy stole Philipa. Usiadłam obok niego i podałam mu z wdzięcznością dłoń, jak zawsze podczas modlitwy przed posiłkiem.

– Dobry Panie Jezus! Dziękujemy Ci za ten dzień, choć był bardzo trudny. Dziękuję, że pogodziliśmy się ze sobą. Dziękujemy Ci, że zawsze o nas dbasz i że zawsze mamy co jeść. Amen – modlił się ojciec.

Jednym głosem zabrzmiało:

– *En guete mitenand!*

Może tata miał rację i Jezus wreszcie zatroszczył się o mnie i uratował z ciemnego jeziora? Siedziałam bez słowa przy stole i niewiele zdołałam przełknąć. Po całym zamieszaniu z moim bratem nikt nie zwracał jednak na to uwagi i nie pytał, co się stało.

Następnego ranka obudziłam się wcześniej i w dobrym nastroju. Byłam jak nowo narodzona. Co się ze mną stało? Nigdy wcześniej nie czułam w sobie tak silnej woli życia jak teraz. Chciałam żyć, za wszelką cenę chciałam żyć!

Uda mi się, tak jak biblijnemu Danielowi, który tłumaczył sny, obiecałam sobie. Podobnie jak on zostałam przecież uratowana przez anioła. Byłam jak przywrócona do życia.

To zdarzenie znacząco odmieniło moje życie. Od tej pory nigdy już nie zastanawiałam się, czy chcę żyć, czy nie. Chciałam żyć i to żyć dobrze. W moim sercu, w mojej duszy zakiełkowało malutkie ziarenko wiary, które rosło i wzmacniało we mnie pewność siebie. Czułam, że to początek nowego etapu.

Nie miałam wpływu na zewnętrzne okoliczności w moim życiu, nadal byłam wykorzystywana. Wiedziałam jednak, że zostałam ocalona i musi istnieć ku temu jakiś powód. W przeciwnym razie Miss Lilly nie powiedziałaby, że jestem jeszcze potrzebna. Nie rozumiałam, do czego mogę być potrzebna, żywiłam jednak głębokie przekonanie, że to prawda.

Ponownie zaczęłam opracowywać strategię przetrwania. Przede wszystkim uciekałam we własny wewnętrzny świat, w którym uskrzydlała mnie fantazja, przynosząc ulgę i poczucie bezpieczeństwa.

Burzliwy lot

Lot do San Lorenzo nie był przyjemny. Wpadliśmy w jedną z burz często przechodzących nad puszcza. Miałam dziesięć lat, mój dwa lata starszy brat Philip i ciocia Gertrude siedzieli ściśnięci obok mnie w cessnie. Ciocia Hannelore zajęła miejsce z przodu obok pilota, którego nie znałam. Obie ciotki zgodziły się spędzić z nami letnie wakacje w indiańskiej wiosce. Cieszyłam się ogromnie na pobyt w San Lorenzo. Wreszcie będę miała spokój od mężczyzn i będę mogła przez kilka tygodni beztrudnie bawić się z przyjaciółką. W wiosce nie będę musiała stale mieć się na baczności i może nawet zdołam tam odpędzić wspomnienia o strasznej komunii.

Nie dotarliśmy jeszcze jednak na miejsce. Pilot kazał nam się modlić, ponieważ burza przybierała na sile. Zamknęłam oczy. Zaczął ogarniać mnie strach, lecz w głębi duszy byłam przekonana, że już nic nie może mi się stać. Opanowałam lęk, choć lot okazał się tak uciążliwy, że stale wymiotowałam.

Pilot nie stracił kontroli nad maszyną i wreszcie cessna wylądowała z warkotem na nierównym pasie do lądowania. Uwielbiałam to uczucie podniecenia i dreszczyk, który podczas lądowania przeszywał całe moje ciało. Również tym razem odniosłam zwycięstwo. Przez wszystkie te lata zdołałam przywyknąć do lęku. Był moim stałym towarzyszem. Przypominało to grę, w której starałam się zwyciężyć. Gdy tylko strach pojawiał się na nowo, chcąc ścisnąć mnie i zdusić niczym gruby wąż boa, próbowałam go zwalczyć. Opracowałam w tym celu specjalne taktyki, a owo lądowanie było taką właśnie sytuacją, z której wyszłam zwycięsko wobec lęku.

Mimo to wytoczyłam się z małej klatki mocno oszołomiona i na drżących nogach, próbując jednocześnie przywitać uśmiechem tubylców, którzy zgromadzili się na lądowisku.

– *Xaume, untuwo nassioriqui* – odezwałam się w mowie kobiet, tak jak mnie nauczono. U ludu Chiquitano występowały wyraźne różnice między językiem mężczyzn a językiem kobiet. Wiedziałam, co powinnam powiedzieć jako kobieta, brat zaś przywitał się, mówiąc:

– Xamu – Xa. – Wszyscy podbiegli do nas, by pomóc nam zanieść bagaże do domu.

Moje troski i obawy natychmiast się rozwiały. Indianie pytali, jak miewa się mój ojciec, którego nazywali Don Miguel. Był dla nich dobroczyńcą i opiekunem. Cała wioska głęboko poważała tego brodatego mężczyznę z jasnoblond lokami. Dał im pismo, a przez to nową tożsamość, i przybliżył im w ten sposób Biblię. Zbudował szkołę, wyszkolił nauczycieli, ustanowił prosty system opieki zdrowotnej i nauczył Indian podstaw higieny. Ojciec zrewolucjonizował ich życie. Niesienie tubylcom Biblii było jego wizją, jego chrześcijańskim powołaniem.

„Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Jeśli chodzi o Indian z San Lorenzo, najwyraźniej mu się to udawało. Ale czy ja, jego własna córka, także nie byłam jego bliźnim? Tak, byłam, jak jednak ojciec miał mi pomóc, skoro nie mogłam mu o niczym powiedzieć?

Na czas wakacji rodzice zostali w Tumi Chucua, by dalej pracować nad przekładem Biblii, podczas gdy Philip i ja mieliśmy z ciotkami spędzić kilka tygodni u plemienia. Obie nasze ciotki współpracowały blisko z rodzicami i nauczyły się języka ludu Chiquitano. Cieszyłam się ogromnie, że zobaczę przyjaciół. Jakże często tęskniłam za małą indiańską wioską, którą ze względu na zajęcia w szkole mogliśmy odwiedzać tylko podczas trzymiesięcznych letnich wakacji. Podobało mi się całe to zamieszanie wokół mnie i brata, choć musiałam dopiero przyzwyczaić się na powrót do języka Indian. Juanita także przyszła. Nadal była moją najlepszą przyjaciółką i cieszyła się, że będziemy razem nosić na głowie wodę do wioski, kąpać się i robić pranie w płytkiej rzece.

Nasz dom leżał o kilka minut drogi od osady, w pobliżu małej rzeczki. Dotknęłam czule ściany przy drzwiach. Wzniesiono ją z mieszaniny odchodów, gliny i słomy, wciśniętej pomiędzy konstrukcję splecioną z bambusa. Małe brązowe grudki odkruszyły się i spadły mi na sandały.

Nade mną coś zaskrzeczało – z góry spoglądała na mnie młoda papuga. Przechadzała się po długich pękach suchej trawy, którymi pokryto dach, jakby była panią domu. Weszłam na patio. Przez małe otwory w dachu padały na podłogę drobne promienie słońca. Ojej, w czasie deszczu znowu będziemy musieli podstawić wiadra pod nieszczelne miejsca. Koniecznie trzeba na nowo pokryć dach, przyszło mi do głowy. Na klepisku ubitym z czerwonej ziemi wił się pochód mrówek. Mrówkom z pewnością nie spodoba się, że znowu będziemy codziennie zamiatać podłogę własnoręcznie wykonanymi miotłami oraz od czasu do czasu zraszać ją wodą i ponownie ubijać.

Pełna radości biegałam po domu. Wszystko było dokładnie takie, jak znałam od dziecka. W salonie przywitałam prosty stół z sześcioma stołkami, hamak oraz regał z książkami na lewo od drzwi. Na drewnianej desce służącej jako półka nadal leżał plastikowy samolot Philipa. Był przedmiotem pożądania wszystkich indiańskich dzieci, które się z nami bawiły. Obok stała mała radiostacja, jedyne źródło kontaktu ze światem zewnętrznym.

Urządzenie to stanowiło w naszym domu świętość i nam, dzieciom, surowo zabroniono go dotykać. Uwielbiałam, gdy rodzice trzymali w dłoni owalny, srebrno połyskujący mikrofon, a czarny kręcony kabel zwisał w powietrzu. Nawiazywali łączność z bazą, przy czym każde zdanie kończyli słowem *over*. Brzmiało to tak dumnie, jakby kontaktowali się ze wszechświatem. Bardzo chciałam również mieć kiedyś takie urządzenie.

W pokoju dziecięcym stanęły tymczasem pod hamakami trzy łóżka. Zignorowałam je i od razu wskoczyłam na kolorowe płótno. Chiquitanie byli mistrzami w tkaniu tych cudownie kołyszących się posłań. Potem pobiegłam za dom, do małej ogrodowej kuchni. Ojciec zbudował tam z kamieni i gliny otwarte palenisko. Obok ustawił drewniany blat do pracy. Otworzyłam okienko w domku, podnosząc drewnianą okiennicę i podpierając ją kijkiem. Na samym końcu podwórza dojrzałam mały wychodek.

Ręcznie ulepione z gliny dzbany czekały już, żebyśmy my, kobiety, zaniosły je na głowach nad rzekę i napełnione wodą przyniosły z powrotem. Chwyciłam dzban i pobiegłam przez dżunglę nad rzekę. Towarzyszyła mi Juanita. Przypomniała mi o tym, jak pewnego razu upuściłam dzban pełen wody. Ile było wtedy śmiechu!

– W ten sposób nigdy nie zostaniesz dobrą żoną! – żartowały wówczas głośno moje przyjaciółki.

Teraz musiałyśmy najpierw porządnie podokazywać. Uwielbiałyśmy ochlapywać się wodą, aby odpocząć od tropikalnego skwaru. Choć dopiero niedawno przeszła burza, nie chciałam dłużej czekać na tę przyjemność.

Po kąpeli wróciłyśmy do domu z pełnymi dzbanami. Nie miałam żadnych problemów, od razu wszystko mi się udało.

Pierwsze dni minęły jak z bicza strzelił. Rozkwitłam i zapomniałam o wszystkich zmartwieniach. Bawiłam się radośnie z innymi dziećmi, co nie uszło uwagi cioci Hannelore.

– Wyraźnie lepiej się czuje! *Over!* Rzadko widywałam ją tak ożywioną i zadowoloną, *over!* – zapewniała moją mamę przez radio.

Wraz z obiema ciotkami dużo podróżowaliśmy. Odwiedzaliśmy dorosłych Indian w wiosce, by uczyć ich czytać. Rozumiałam, że jeśli nie opanują tej sztuki, przekład Biblii nie będzie miał sensu. Pewnego dnia poszłam z Juanitą do szkoły, którą zbudował mój ojciec. Lekcje zaczynały się od porannego rytuału. Uczniowie ustawiali się przed budynkiem w szeregu według wzrostu. Potem śpiewali boliwijski hymn państwowy. Najstarszy uczeń z czcią i dumą wciągał flagę.

– *Morir antes que esclavos vivir* – śpiewaliśmy na całe gardło. – Lepiej umrzeć, niż żyć jako niewolnicy – rozległo się trzykrotnie w refrenie hymnu.

Pieśń pobrzmiwała mi w duszy i zapadła głęboko w głowę.

Jestem seksualną niewolnicą – przyszło mi nagle na myśl. – Nie, tak nie może być, to gorsze niż bycie niewolnikiem!

Morir antes que esclavos vivir, morir antes que esclavos vivir, morir antes que esclavos vivir... rozlegało się nieustannie w moich myślach, gdy tego wieczora smutna i zmęczona położyłam się w hamaku. Tak, wolę umrzeć, niż wrócić do Tumi Chucua. Chcę zostać tu, z plemieniem, gdzie czuję się bezpiecznie, pomyślałam.

– Obudź się, Chrigi, zabiłem w ogrodzie olbrzymiego boa! – podekscytowany brat szarpał mój hamak. – Zabiłem go z Hernandem. Teraz zdejmę mu skórę i zjemy go – żartował. – To będzie uczta! Chodź i pomóż mi!

Od razu się rozbudziłam. Wskoczyłam z hamaka i pospieszyłam boso za bratem. W ogrodzie leżał wąż bez głowy. Dzięki Bogu! Co by się mogło stać, gdyby wpełzł do domu albo nawet do naszego pokoju? Było mi go trochę szkoda, lubiłam te gibkie, tajemniczo połyskujące zwierzęta. Wpajano mi, że symbolizują zło, diabła, winę, całą tę historię Adama i Ewy. Mimo to lubiłam je. Czyż nie stworzył ich Bóg? Czy same postanowiły być złe, czy też naprawdę opanował je diabeł? Takie myśli były jednak bezbożne. Wiedziałam o tym, trzymałam więc buzię na kłódkę.

Głowa węża leżała zakrwawiona około metra od ciała. Zasmucona przyjrzałam się jej z bliska. Czy wąż trafił do piekła? Czy wszystkie węże musiały iść do piekła z powodu Adama i Ewy? Patrzyłam, jak Philip zręcznie ostrzy nóż. Pełen zapachu i z rozpromienioną twarzą przyłożył ostrze, po czym gładko i ostrożnie przeciął węzową skórę i obdarł z niej zwierzę, które nie mogło już się bronić, było martwe, bezradne i sztywne. Wypełniło mnie współczucie – dla węża, a także dla siebie samej. Ze mną było przecież podobnie. Czułam się tak jak wąż – obnażona, przemocą obdarta ze skóry, pozbawiona godności, niewinności. Nadzy i martwi, leżeliśmy oboje bezbronni w pyle tego świata.

Nie przypuszczałam wtedy, że węzowa skóra jeszcze latami będzie przywoływać we mnie to uczucie litości dla samej siebie, trofeum łowieckie Philipa miało bowiem zająć zaszczytne miejsce na ścianie w naszym domu.

– Przynies z kuchni sól, Chrigi! – nakazał Philip.

– Mógłbyś poprosić – odparłam przekornie, ale posłuchałam. Natarł skórę od wewnątrz solą i przyczepił do długiego kawałka drewna. Słońce miało ją wysuszyć i usunąć brzydki zapach.

– Philip i Christina, czas iść do wioski! – zawołała nas ciocia Hannelore. Ucieszyłam się, jednak potem na myśl o chicha włosy stanęły mi dęba.

Jak to często bywało, Indianie zaprosili nas na posiłek. Na ogół przygotowywali to samo danie – ryż z kurczakiem w sosie z orzeszków ziemnych oraz pieczone banany. Pośrodku każdego domu znajdowało się palenisko, na którym godzinami dochodziła ta jednogarnkowa potrawa. Banany trzymano w ogniu, aż skórka szerniała, a wewnątrz zmiękło – uwielbiałam je! Jako przekąskę podawano ananasy, papaje, pomarańcze, mandarynki, miniaturowe banany, gujawy i całe masy orzechów.

Na ważne lub uroczyste okazje Indianie przyrządzali z jukki specjalny napój, który nazywali chicha. Dla uczczenia naszego przybycia zawsze nas nim częstowali. W ten sposób okazywali nam gościnność i korzystali z okazji do zabawy. Chicha była jedynym miejscowym specjałem, który nie przechodził mi przez gardło, ale jako goście musieliśmy pić ją dla okazania uprzejmości.

Gospodarze poświęcali dużo czasu na przygotowanie napoju. Najpierw kroili bulwy jukki na kawałki i długo je gotowali. Potem cała rodzina zbierała się i siadała na ziemi wokół napełnionego wodą glinianego garnka. W spokoju przeżuwali kawałki jukki, by następnie wypluć je do naczynia. W ten sposób powstawała gęsta papka, którą słodzono cukrem trzcinowym i rozcieńczano wodą. Jako goście mieliśmy zaszczyt skosztować osadu, czyli przeżutych, włóknistych kawałków pływających w gorzko-słodkim napoju. Jakże chętnie zrezygnowałabym z tego zaszczytu!

Przy szczególnych okazjach mężczyźni wystawiali napój na słońce. Pod działaniem śliny papka zaczynała fermentować i tak powstawała alkoholowa chicha. Od ojca wiedziałam, że Indianie coraz częściej popijali ten napój, by zapomnieć o troskach i nie czuć głodu. Zdarzało się, że szalejące burze niszczyły całe plony, a wiele dzieci umierało z niedożywienia i chorób. Śmierć wydawała się tubylcom bliższa niż życie.

Dorastałam z tą świadomością, śmierć zaś była stałym towarzyszem życia, lecz pomimo wszystkich zagrożeń, które na nas czyhały, czułam się w San Lorenzo bezpiecznie i swojsko. Jednak i tutaj nie potrafiłam uciec od najgorszych koszmarów. Budziłam się zrana potem i nie mogłam zapomnieć o doznanej przemocy. Gdyby tylko wolno mi było tu zostać!

W tamtym czasie zajmowała mnie bardzo i fascynowała biblijna historia o Danielu w jaskini lwów. Daniel został uprowadzony do obcego królestwa, a ponieważ był bardzo mądry i umiał

tłumaczyć sny, stał się najważniejszym człowiekiem w całym kraju, zaraz po królu i jego synu. Kochał Boga i był Mu wdzięczny, lecz źli ludzie zastawili na niego pułapkę i Daniel został wrzucony do jaskini lwów. Daniel pozostał dzielny i zaufał Bogu. Głodne lwy nie zrobiły mu krzywdy, ponieważ Bóg posłał mu na pomoc anioła. Daniel, tłumacz snów, mógł zatem znowu zasiąść u boku króla, a złych ludzi wrzucono do jaskini, gdzie natychmiast pożarły ich lwy.

Podobała mi się ta historia wyzwolenia. Pragnęłam również umieć tłumaczyć sny i mieć pewność, że zostanę uratowana od wszelkiego zła. Byłam uwięziona zupełnie jak Daniel, bez wyjścia. Wybrano mnie, bym służyła, i naznaczono. Zostałam współczesną niewolnicą moich prześladowców i dręczycieli w imię ich boga i musiałam wykonywać ich rozkazy. A Daniel w jaskini lwów? Jemu się udało. Zdołał wydostać się z jaskini i z niewoli. Chciałam być taka jak Daniel.

Znak we śnie

Leżąc w hamaku, próbowałam to osiągnąć. Otulona ciemnością nocy pozwoliłam myślom biec swobodnie. Chciałam tłumaczyć sny jak Daniel, lecz od jakiego snu powinnam zacząć? Najlepiej od tego najbardziej upartego, który wciąż mnie dręczył. Skupiłam się na owym śnie. Zobaczyłam w duszy ten sam wyraźny obraz, te same wydarzenia, to samo zakończenie i poczułam ten sam strach, który wielokrotnie sprawiał, że budziłam się nocą zlaną potem. Całą swoją istotą pragnęłam uciec przed tym strachem, potem jednak postanowiłam wytrwać. Nie miałam pojęcia, jak tłumaczyć się sny, ale chciałam się tego nauczyć. Kim był ten karzeł, który nieustannie mnie prześladował? Jego biała broda długości łokcia dotykała ziemi. Nosił czapkę lub raczej kaptur. Przykurczone ciało o krótkich nogach poruszało się zdumiewająco szybko. Byłam z karłem sama. W dłoni zawsze trzymałam rysunek, który koniecznie musiałam przed nim uratować. Zły karzeł raz po raz próbował odebrać mi obrazek.

W panice drżały mi nogi, jakbym właśnie naprawdę uciekała. Pomyślałam, że rysunek oznacza coś, co mogę stracić. Co to jednak było?

Po dłuższym zastanowieniu doszłam do wniosku, że nie pozwolę odebrać sobie obrazka. Tej nocy podjęłam życiową decyzję. Byłam przekonana, że właściwie odczytałam ów sen – było to wezwanie wobec mnie samej, żebym stworzyła coś, czego nikt nie będzie mógł mi odebrać. Postanowiłam więc od tej pory malować i rysować. To będzie mój język, mój nowy, sekretny język. Nikt nie zabroni mi tego robić, a dzięki temu zachowam wewnętrzną wolność.

Zadowolona, zasnęłam tej nocy z poczuciem ulgi. Następnego dnia poprosiłam ciocię o kartkę papieru i kredki. Chciałam narysować sen, rezultat był jednak przygnębiający. Rozczarowana zmiażdżyłam kartkę. Bez pomocy nie zdołałam sprostać wysokim wymaganiom, jakie stawiałam sobie samej. Wiedziałam jednak, że mama umie bardzo ładnie rysować, i miałam nadzieję, że mnie tego nauczy. Musiałam zatem zaczekać cierpliwie aż do końca ferii.

Tymczasem wpadłam na pomysł, by opracować własne tajne pismo. W ten sposób mogłam spisywać wszystko bez obawy, że ktoś to przeczyta. Musiałam jednak mieć się na baczności przed Philipem, który zawsze chciał wszystko wiedzieć. W następnych dniach przesiadywałam w ciszy i skupieniu w kącie i pracowałam nad moją tajemnicą.

Pismo miało wyglądać na chińskie, obce znaki zawsze mnie fascynowały. Dla każdej litery wymyśliłam określone połączenie kresek. Szybko nauczyłam się samodzielnie opracowanego alfabetu na pamięć i spaliłam oryginalny zapis z obawy, że ktoś go znajdzie. To tajemne pismo stało się moim nieodłącznym towarzyszem i na trwałe zapadło w moją pamięć. Sen doprowadził mnie zatem do nowej strategii przetrwania.

Czas upływał nazbyt szybko. Pozostało zaledwie kilka dni do powrotu do Tumi Chucua. Stawałam się coraz bardziej milcząca. Do mojej duszy zakradły się strach i panika. Co mnie teraz czeka? Co się ze mną stanie? Czy do ośrodka przybył kolejny misjonarz? Jak mogę uciec przed prześladowcami, jak się przed nimi wybronić?

Nade wszystko nienawidziłam ich rytuałów. Bałam się ich i nie rozumiałam sensu. Czy Bóg naprawdę chciał, by ludzie robili takie rzeczy? Czy naprawdę wymagał, żebym dla niego cierpiała i żyła jak niewolnica? Dlaczego właśnie ja zostałam wybrana? Jeżeli to był mój krzyż, który musiałam nieść, stał się dla mnie zbyt ciężki. Danielowi, tłumaczowi snów, udało się wyzwolić i ja także chciałam przeżyć i być wolna. Zaczęłam buntować się w duchu. Tak, chciałam być wolna, a gdyby mi się to nie udało, musiałam znaleźć inny sposób.

Morir antes que esclavos vivir, morir antes que esclavos vivir, pobrzmiwało w mojej głowie, gdy w dniu wyjazdu obudziłam się w hamaku. Wstałam cicho i zapisałam to zdanie tajemnym pismem na kartce, którą włożyłam w Biblię. Nikt jej nie ruszy. Biblia była moim jedynym stałym

towarzyszem; razem z papierem, kredkami i kilkoma ubraniami spakowałam ją do małej walizeczki.

Nie będę już niewolnikiem, powtarzałam sobie w duchu raz po raz. Przemoc musiała się skończyć. Musiałam odzyskać wolność, spokój i możliwość decydowania o sobie! Już nigdy nie chciałam żyć jak niewolnica. Podjęłam decyzję. Postanowiłam konsekwentnie walczyć o wolność, nie mówiąc o tym nikomu ani słowa.

Proszę, uratuj mnie, dobry Boże. Proszę, uratuj mnie od prześladowców! I od bólu. Nie mogę tak dłużej żyć. Nie chcę tak dłużej żyć!, modliłam się żarliwie, ze łzami w oczach, gdy cessa wznosiła się, by zabrać nas do Tumi Chucua. Kurczowo chwytalam się ostatniej nadziei, jaka mi pozostała: Bóg wysłucha mojej modlitwy. Pragnęłam tego z całej siły i każdą cząstką ciała. Po prostu musiał mi pomóc. Był przecież dobrym Bogiem, a to, co robili ze mną mężczyźni, nie było dobre, co do tego nie miałam wątpliwości. Bóg mi pomoże, na pewno.

Tłuste pierniczki

Choć z ciężkim sercem opuszczałam San Lorenzo, cieszyłam się, że ponownie zobaczę młodsze rodzeństwo. Gdy weszliśmy do domu, dobiegł mnie zapach świeżego sosu pomidorowego.

– Spaghetti! – zawołałam uszczęśliwiona. – Dawno tego nie jedliśmy. Dziękuję, mamó. – Objęłam ją i pocałowałam mocno w policzek.

Tata jak zwykle odmówił modlitwę i podziękował Bogu, że wszyscy możemy znowu zasiąść zdrowi i szczęśliwi przy jednym stole. Mama opowiedziała nam, co wydarzyło się w tym czasie w bazie. Przyjechało kilku nowych misjonarzy z Ameryki.

Wstrzymałam oddech – czy będą dla mnie zagrożeniem? Próbowałam wewnętrznie się uspokoić. *Będzie dobrze, Bóg mnie ochroni.*

Nie trwało długo, nim ponownie spotkałam się z prześladowcami. Tym razem pewien nauczyciel zaczął się na mnie po lekcji gry na pianinie i mrugając okiem, wcisnął mi w dłoń karteczkę.

Gdy zaskoczona spoglądałam na kawałek papieru, pochylił się i wyszeptał mi na ucho:

– W przyszłym tygodniu będę czekać na ciebie po lekcji. Zrobię lemoniadę i upiekę ciastka, tylko dla ciebie. Ale to tajemnica. Nikt nie może się dowiedzieć, co napisano na karteczce! Zrozumiałaś, słodka?

Jego długa, kosmata broda drapała mnie w policzek. To było wstrętne. Próbował przytrzymać mnie za ramię, ale wykręciłam się i odsunęłam o krok. Zawstydzona wbiłam wzrok w ziemię i schowałam karteczkę do kieszeni. Potem zbiegłam po schodach.

Byle nie kolejny taki typ, pomyślałam. Cóż zostało mi jednak innego, niż posłuchać jego rozkazu? Widywałam tego nauczyciela codziennie w szkole, on i pozostali nadal mnie pilnowali.

Następnym razem niechętnie udałam się na lekcję gry na pianinie, choć wcześniej uwielbiałam te zajęcia. Godzina minęła o wiele za szybko i musiałam opuścić salę. Prześladowca już na mnie czekał. Nie miałam szansy się wymknąć. Z uśmiechem zaprowadził mnie do swojego pobliskiego mieszkania. Nie pozostawił żadnych wątpliwości co do tego, czego ode mnie oczekiwał. Długo to trwało i rozboleła mnie szczęka, nim wreszcie się zadowolił.

Za tym pierwszym razem musiałam zwymiotować, za co ostro mnie zrugął. Potem zmusił mnie, żebym zjadła ciastka. Ostatkiem sił przełknęłam tłuste pierniczki. Działo się tak co tydzień. Czułam obrzydzenie na myśl, że mogę znaleźć w ciastku włos z brody lub włos łonowy. Za każdym razem robiło mi się niedobrze.

Czułam ogromny wstręt przed tym zaniedbanym mężczyzną, który często śmierdział starym potem. Jego długie, kędzierzawe włosy były zawsze przetłuszczone. Miał swoje seksualne upodobania i musiałam je zaspokajać. Był inny niż pozostali prześladowcy. Czasami musiałam się bardzo namęczyć, żeby go zadowolić i żeby mnie wypuścił. W duchu nazywałam go „obłudnikiem”, ponieważ zapach jego świeżo upieczonych pierniczek rozchodził się często aż do kościoła, podczas gdy on sam oddawał się swoim perwersjom.

Inni myśleli sobie zapewne: jak to miło, że nauczyciel potrafi upiec takie dobre ciastka. On jednak jęczał głośno w swoim domu, czkał i puszczał bez skrępowania bąki, kiedy mnie molestował. Tymi samymi dłońmi, którymi wcześniej ugniatał ciasto, przyciskał moją głowę, gdy klęczałam między jego rozkraczonymi nogami na drewnianym taborecie i musiałam zaspokajać go ustami. Raz po raz odgarniał mi przy tym włosy z twarzy, aby lepiej mnie widzieć. To on kazał mi obciąć na krótko moje piękne, długie włosy, ponieważ zaczęły mu przeszkadzać. Byłam zszokowana. Zawsze pragnęłam mieć długie włosy, podobnie jak starsze dziewczęta, i wreszcie tak pięknie mi urosły. Nic jednak nie pomagało, dręczył mnie o to za każdym razem.

Ponieważ przywykłam słuchać moich prześladowców, z ciężkim sercem poprosiłam matkę, by

obcięła mi włosy. Była bardzo zaskoczona taką zmianą mojego nastawienia, wiedziała przecież, jak dumna z nich jestem.

– Mamo, przez te gęste loki jest mi ciągle gorąco, proszę, zetnij je! – błagałam, aż wreszcie się zgodziła.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam moje odbicie w lustrze, chciałam się głośno rozplakać. Obłudnik ucieszył się jednak bardzo i jeszcze częściej zaczął mnie wykorzystywać.

Nie miałam szansy uciec przed nim po lekcjach gry na pianinie. On jednak chciał więcej. W szkole i wszędzie, gdzie mnie akurat napotkał, podsuwał mi małe karteczki. Na nich podane były miejsce i czas. Wiedziałam, że muszę stawić się o wskazanej porze. Raz po raz nakazywał mi udać się do biblioteki. Był to dla mnie czysty horror. Czasami przyciskał mnie swoim masywnym ciałem do ściany i pocierał o mnie mocno obwisłym penisem. Rozpościerał przy tym moje ramiona, tak że czułam się uwięziona i zarazem ukrzyżowana. Co to miało znaczyć, czemu taka poza? Mogłam tylko zamknąć oczy i w milczeniu znosić tę formę przemocy.

On jednak szeptał mi świszcząco do ucha:

– Wyglądasz jak Jezus, który bierze na siebie krzyż. Bóg nagrodzi cię za twoją służbę. Dzięki tobie uratowanych zostanie wielu ludzi.

Aby poprawić mi humor, obiecał, że wstawi się za mną podczas dnia sportu. Postara się, żebym dostała puchar dla najlepszego sportowca w mojej klasie. Dotrzymał słowa. Choć i tak byłam najlepsza w swojej kategorii, myślałam, że to on pomógł mi zwyciężyć. Radość z wygranej nie trwała długo.

Coraz częściej odzywała się we mnie złożona samej sobie przysięga, że uwolnię się z mojego więzienia niczym Daniel z jaskini lwów.

Morir antes que esclavos vivir, morir antes que esclavos vivir, pobrzmiwało mi w głowie, podczas gdy ów typ znowu mnie wykorzystywał. Słowa zapadały coraz głębiej w moją podświadomość.

Nie, nie tak, dobry Boże. Zdradziłeś mnie, nie wysłuchałeś mojego błagania, nie będę dłużej posłuszną, miarka się przebrała!, obiecałam sobie po kilku miesiącach cierpienia i upokorzeń. Pojawią się kolejni mężczyźni, którym będę musiała służyć, a gdy się im znudzę, pozbędą się mnie i przekażą innym.

Wypełniała mnie bezmierna rozpacz, ale pojawiło się także pragnienie zemsty. Musiałam zrobić coś, by uciec przed tym wstrętnym typem. Lekcje gry na pianinie! Jeśli z nich zrezygnuję, nie będzie mógł ciągle się na mnie zaczynać. Byłam pojętną uczennicą, kochałam muzykę, instrument i moją nauczycielkę gry. Musiałam jednak pozbawić go okazji do cotygodniowego nękania.

Bunt przeciw prześladowcy uskrzydlił mnie i dał mi poczucie siły. Zaczęłam się bronić. Z ciężkim sercem zrezygnowałam z dalszych lekcji gry. Matka nie chciała mi uwierzyć, ale konsekwentnie obstawałam przy swojej decyzji, choć sama byłam z tego powodu niepocieszona i rozczarowana. Zadziałało. Ku mojemu zdumieniu przestałam otrzymywać karteczki. Zdołałam uciec przed tym misjonarzem i było to prawdziwe zwycięstwo. Teraz jednak musiałam zrobić coś, nim dopadnie mnie kolejny mężczyzna.

Wypadek na motorze

Duchowe rany, które nosiłam w sobie jako niemy świadek krwawej komunii, bolały mnie razem z wszystkimi kolejnymi, zadawanymi dzień po dniu. Mimo to żywiłam w duchu przekonanie, że życie zmieni się na lepsze.

Moje zmysły stały się bardziej wyczulone, świadomie obserwowałam innych ludzi i otoczenie, otwierałam szeroko oczy i nastawiałam uszu. Po cichu i niezauważenie dbałam o to, by nie znaleźć się w złym czasie w złym miejscu. Ponieważ często z daleka potrafiłam wyczuć niebezpieczeństwo, coraz skuteczniej mu się wymykałam. W dodatku opracowałam nowe strategie zwodzenia mężczyzn i natarczywych starszych chłopców.

W drodze do szkoły dołączałam do innych dziewcząt i pilnowałam, by w miarę możliwości nie chodzić nigdzie sama. W szkółce niedzielnej trzymałam się blisko brata. Dawało mi to poczucie bezpieczeństwa, ponieważ zwróciłby uwagę, gdybym na jego oczach została odciągnięta gdzieś na stronę. Wielkim szczęściem był dla mnie rower, mogłam na nim uciec przede wszystkim przed wyrostkami, którzy codziennie zachodzili mi drogę. Wobec dorosłych prześladowców byłam wyjątkowo grzeczna, zachowywałam się jednak cicho i nie zwracałam na siebie uwagi. Z wielką satysfakcją zauważyłam, że przestają się mną interesować. Moje metody zadziałały! Był to mój wielki sukces. Czułam się coraz silniejsza, z dnia na dzień rosła we mnie nadzieja. Zyskiwałam pewność siebie. Dzięki temu mogłam godzinami nie niepokojona zajmować się rysowaniem i być szczęśliwa w swoim własnym świecie.

Miałam również inne rozrywki – częściej wychodziłam z domu, lubiłam bawić się i dokazywać z innymi dziewczynkami. Zaczęłam się więcej ruszać, ćwiczyłam po sto razy przewroty i gwiazdy i podczas tych licznych zajęć sportowych uczyłam się zapominać o strachu. Wielokrotnie wdrapywałam się na najwyższą trampolinę, by skoczyć na główkę do jeziora, trenowałam salto w tył z wysokości trzech metrów i w ten sposób udowadniałam sobie, że potrafię pokonać strach. Im dłużej ćwiczyłam, tym odważniejsza się stawałam.

Najbardziej lubiłam tańczyć po kryjomu w moim pokoju. Najlepiej wychodziło mi to, gdy rodzice słuchali w salonie piosenek z magnetofonu. Matka często śpiewała do nich, krzątając się w domu. W swoim pokoju zaczynałam wtedy obracać się z otwartymi oczami w takt muzyki i w płynnych ruchach wypełniać przestrzeń tylko samą sobą. Czułam się wtedy swobodna, wyzwolona od wszystkiego. Bardzo pilnowałam, by nikt nie przyłapał mnie na tej rzadkiej przyjemności, nawet rodzeństwo.

Pewnego dnia tata zawołał nas do stołu. Uroczyście oświadczył, że na wakacje pojedziemy na trzy miesiące do Stanów Zjednoczonych i Kanady. My, dzieci, byliśmy uradowane. Szkoda, że nie odwiedzę San Lorenzo, przyszło mi do głowy. To jednak trzy miesiące spokoju od prześladowców!

Ojciec i matka przedstawili nam wstępny plan podróży.

– Najpierw polecimy cessną do Santa Cruz, a stamtąd udamy się dalej. Odwiedzimy naszych przyjaciół i spędzimy u nich trzy noce. Nie widzieliśmy się z nimi, odkąd wyjechali z ośrodka. Christina, będziesz mogła pobawić się z ich córką. To wspaniale, że będą tam właśnie w tym czasie i że będziemy mogli u nich zanoćować!

Wstrzymałam oddech. Nie! Nie znowu, to nie może być prawda! Sądziłam, że wreszcie odzyskałam spokój, a oto mieliśmy odwiedzić właśnie jednego z moich pierwszych prześladowców, piękniejsia od brązowych buteleczek. Radość zastąpił strach. Wezbrał we mnie gniew. Nienawidziłam tego mężczyzny nade wszystko, choć kiedyś uważałam go za swojego wybawcę, lepszego od pozostałych. Wyjechał z rodziną z ośrodka, więc wreszcie miałam od niego spokój i nie bolała mnie już głowa po jego brązowych buteleczkach. A teraz miałam przenocować w jego domu! Dobrze wiedziałam, co mnie czeka. Nie słuchałam już dłużej ojca. Siedziałam ze

spuszczoną głową, zmęczona i oszołomiona.

– Co się z tobą dzieje, Christino, nie cieszysz się na podróż? Odwiedzimy Disney World i naszych najlepszych przyjaciół!

Disney World był mi obojętny. Chciałam tylko, by zostawiono mnie w spokoju.

Dzień wyjazdu zbliżał się szybko. Zgodnie z zasadami amerykańskiej szkoły od pierwszej klasy przydzielono mnie pod opiekę ucznia pełniącego funkcję mojego „starszego brata”. Daren był kilka lat starszy ode mnie i obecnie uczył się w odległej miejscowości, odwiedzał jednak rodziców w ośrodku misyjnym. Ogromnie się cieszyłam, że mogę go znowu zobaczyć.

Wraz z przyjaciółmi śmigał na motorze po dżungli, po piaszczystych łąkach i błocie. Była to paczka chłopców, którzy chcieli w pełni cieszyć się życiem pośród dzikiej przyrody. Czasami wolno mi było przejechać się na maszynie Darena. Z przodu na baku miałam dość miejsca i najlepszy widok. Czułam się wolna i dzika, gdy wiatr rozwiewał mi włosy podczas jazdy. Mogłam zaufać mojemu starszemu bratu ze szkoły, ponieważ nigdy nie widziałam go w towarzystwie mężczyzn z tajnego kręgu.

Wieczorem przed zaśnięciem słyszałam warkot silników, gdy paczka śmigała w ciemności przez puszcę i po mieliznach nad rzeką. Długo prosiłam Darena, by przewiózł mnie kiedyś po zmroku. Bardzo chciałam odważyć się na tę przygodę, choć matka ostro się temu sprzeciwiała. Nie odpuszczałam jednak, dopóki nie wyraziła zgody.

– No dobrze, Christino. Daren może zabrać cię na przejażdżkę, ale tylko pół godziny, potem musi cię odwieźć – upomniała mnie. Byłam przeszczęśliwa.

Moja rodzina została zaproszona do Miss Lilly na kolację. Ustaliłam z rodzicami i moim szkolnym bratem, że po kolacji odbierze mnie z domku Miss Lilly i za pół godziny odwiezie z powrotem. Zapukał do drzwi, jeszcze zanim podano deser. Podskoczyłam i pobiegłam mu otworzyć. Stał tam, pewnie dziesięć lat starszy ode mnie, i nie wstydził się, że przyjechał po małą dziewczynkę, aby zabrać ją na przejażdżkę. Nie dla każdego by to zrobił!, pomyślałam dumnie.

– Cześć, mamó i tato, wróć niedługo i dziękuję, że pozwoliliście mi jechać! – zawołałam do rodziców. Mój kierowca obiecał im uroczyście, że odwiezie mnie całą i zdrową, i wyjaśnił, że niebo jest czyste, a księżyc dość jasny, by jeździć bezpiecznie.

Szczęśliwa wyprzedziłam go i przyłożyłam rękę do ciepłego jeszcze baku wielkiej maszyny. Drżałam z podekscytowania. Zachwycona i zafascynowana oglądałam przewody i różne drążki pojazdu lśniącego w blasku księżyca. Gdy będę duża, też kupię sobie motor, postanowiłam w tej chwili stanowczo. Kochałam prędkość, napięcie i niebezpieczeństwo, jakimi promieniowała ta maszyna.

Daren bez trudu posadził mnie na baku.

– Trzymaj się mocno! Nocą jest inaczej niż za dnia. Jeżeli się boisz, powiedz to teraz – upomniał mnie.

Pokręciłam głową. Za nic w świecie nie przyznałabym się do strachu.

Ruszyliśmy gwałtownie, z szarpnięciem. Zaciśnęłam powieki. Wiatr, komary i świeży zapach jeziora uderzyły mnie w twarz. Odetchnęłam głęboko i krzyknęłam nieśmiało.

– Na lądowisku naprawdę się rozpędzimy! – zawołał.

– Och, tak! Świetnie! Proszę, jedź jak najszybciej! – odkrzyknęłam.

Dodał gazu, otuliła nas noc, potężny księżyc w pełni świecił na usianym gwiazdami nocnym niebie. Miałam wrażenie nieważkości, czułam wibracje silnika i trzymałam się mocno kierownicy. Moją duszę wypełniało poczucie wolności, wolności, za którą tak bardzo tęskniłam. Dla niej zrobiłabym wszystko! Zdawało mi się, że ulatuję w pędzie. W nocy rozbrzmiał niepohamowany okrzyk radości, do którego przyłączył się mój kierowca. Ogarnęła mnie euforia. Dzięki zaufaniu do Darena wyzwoliłam w sobie emocje. Wolna, po prostu wolna! Jeszcze jeden okrzyk. Upojeni jazdą pędziliśmy po wyboistym pasie do lądowania. Nic i nikt nie mógł mnie zatrzymać.

Znowu krzyk! Tym razem jednak nie mój. Strzępy słów przelatywały obok moich uszu, nie chciały dotrzeć do głowy, z radości serce biło mi jak szalone, nic więcej się nie liczyło.

– Musisz zeskoczyć z motoru! Skacz, kiedy ci powiem! Zrozumiałaś mnie, Christino?! Tam jest drut kolczasty!

Byłam oszołomiona i zdezorientowana. Wolność, drut kolczasty, napięcie, radość? Czyżbym śniła?

– Skacz teraz, Christino! Skacz, zaufaj mi!

Jego okrzyki dobiegały mnie niczym z oddali. Intuicyjnie zaufałam mu i skoczyłam. Otoczyła mnie ciemność. Ból. Otworzyłam oczy, zobaczyłam, jak Daren stara się podnieść maszynę. Najwyraźniej leżałam pod nią. Zdezorientowana wstałam z trudem, po czym zaczęłam uciekać. Szok. Daren pobiegł za mną.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, tak! Ale połknęłam mój aparat dentystyczny. Był taki drogi! – odparłam zmieszana.

Daren wziął mnie za rękę i razem pomaszerowaliśmy przez lądowisko. Moje lewe ramię zwisało krzywo i nieruchomo z barku. Ból przybierał na sile.

– Jednak mnie boli. – Drżałam, było mi zimno i wstydziłam się. Co się stało, czy to była moja wina? Czy wykonałam jakiś zły ruch?

– Proszę, powiedz mi, Christino, czy nie powinienem cię ponieść? Czy nic ci się nie stało w głowę? Nie krwawisz? Naprawdę możesz iść sama? Wybacz mi, Christino, trawa była mokra, a światła motoru za słabe, nagle pojawił się ten drut kolczasty i musiałem zahamować na mokrym lądowisku. Dziękuję, że zeskoczyłaś, byłaś bardzo odważna! W przeciwnym razie wjechalibyśmy w ten drut. – Ostrożnie objął mnie za prawe ramię i podtrzymał. Nie potrafiłam dłużej powstrzymać łez. Spływały cicho po mojej brudnej twarzy. Po nieskończeniu długim czasie dotarliśmy do pierwszego domu, a niedługo potem Daren zapukał ze spuszczoną głową do chatki Baby Jagi.

– Mamo, to nie jego wina, naprawdę. Trawa była mokra, tak mi przykro. I nie mam już aparatu – łkałam cicho. – Czy mimo to mogę pojechać na wakacje? Proszę, nie zostawiaj mnie tu samej, mamo, nie chcę do domu dziecka!

Zapanowało wielkie poruszenie. Rodzeństwo tłoczyło się wokół. Rodzice wsadzili mnie zaraz na swój motorower i zabrali do szpitala.

Lekarz już na nas czekał.

– Zobaczmy, Christino, gdzie cię boli? – spytał serdecznie.

Po krótkim badaniu było jasne, że trzeba mi nastawić bark. Zagryzłam zęby i chwyciłam mamę mocno za rękę. Poczułam szarpnięcie, przeszywający ból, a potem zrobiło mi się ciemno przed oczami. Na czole położono mi zimny okład i przymocowano ramię do tułowia taśmą.

– Dobrze, Christino, teraz połkniesz tabletkę przeciwbólową, a potem będziesz mogła mimo wszystko udać się z rodzicami w podróż.

Zasnęłam z ulgą, choć zupełnie wyczerpana. Daren odwiedził mnie później. Przepraszał po stokroć i prosił, bym mu wybaczyła. Chętnie to uczyniłam. Stał się dla mnie jak starszy brat i byłam z niego dumna. Spytał mnie potem nieśmiało, czy wsiądę jeszcze na motocykl.

Skinęłam głową i odparłam zatroskana:

– Ale nie będę mogła teraz tak mocno się trzymać, tylko jedną ręką.

Daren roześmiał się i odparł, że naprawdę nie zamierza nigdzie jechać. Chciał tylko sprawdzić, czy odważę się znowu usiąść na motorze. A ja się odważyłam, co najwyraźniej wiele dla niego znaczyło.

Miałaś szczęście

Podróż była męcząca, a w dodatku bardzo bolała mnie ręka. Czułam się skrepowana i ograniczona. Brakowało mi tańczenia, skakania i biegania, tego wszystkiego, co tak dobrze na mnie wpływało i pozwalało mi czuć własne ciało. Poza tym czekała mnie wizyta u przyjaciół rodziców. Miałam nadzieję, że piękniś zostawi mnie w spokoju, skoro byłam ranna. Ale może będzie raczej chciał wykorzystać moją słabość?

W duchu z dnia na dzień narastało we mnie przekonanie, że teraz wszystko się ułoży. Przeżyłam przecież, przeżyłam tak wiele. Przetrwiałam też wypadek i wyszłam z niego bez większych obrażeń. W dodatku znalazł się mój aparat dentystyczny, bo gdy minął szok, przypomniałam sobie, że wyjęłam go przed jazdą – szczęście w nieszczęściu. Anioły czuwały nade mną i dziękowałam za to Bogu. Jak jednak miałam tym razem uciec przed mężczyzną z brązowymi buteleczkami, przyjacielem moich rodziców? Nie wiedziałam, miałam jednak nadzieję.

Pierwszego wieczora po naszym przybyciu do ich domu padał deszcz. Z kuchni dobiegł przyjemny zapach, gdy dwoje dzieci otworzyło drzwi i powitało nas serdecznie. Ich ojciec puścił do mnie oko, uśmiechając się przyjaźnie.

– Nadal masz takie błyszczące oczy – zagadnął mnie.

Zesztywniałam spanikowana. Czy ośmieli się napastować mnie nocą? Czy nadal trzymał gdzieś brązowe buteleczki z eterem? Co zamierzał? Zbyt dobrze wiedziałam, co kryje się za pozorami serdeczności. Jednak tu, w tym pełnym domu, przecież się na to nie poważy? Co by było, gdyby ktoś się czegoś domyślił?

Modliłam się gorąco o cud. Nadzieja mnie nie zawiodła. Wraz z pozostałymi dziećmi bawiliśmy się przed posiłkiem w chowanego koło domu. Deszcz jeszcze nie ustał. Gdzie miałam się schować? Pobiegłam po kamiennych płytach do ogrodu w nadziei, że znajdę tam kryjówkę, może za ogrodowym domkiem. Nie przywykłam biegać w sztywnych, sznurowanych butach i z zabandażowanym ramieniem. Przez całe życie nosiłam klapki. Po krótkiej chwili pośliznęłam się, straciłam równowagę i z impetem uderzyłam zranionym barkiem w kamienne płyty. Zostałam tak, leżąc i jęcząc, aż znalazła mnie siostra. Od razu zaniesiono mnie do pokoju rodziców i zajęto się mną troskliwie. Matka przyniosła mi tabletkę przeciwbólową.

– Znowu miałaś szczęście, nawet jeśli cię boli. – Byłam uratowana, nadzieja mnie nie zawiodła. Po raz pierwszy uciekłam również przed tym prześladowcą. Ból mogłam zaakceptować, zasnęłam więc pewnie i spokojnie. Nie będzie mógł mi nic zrobić, nic.

Duch Święty

Dalej udaliśmy się do Kanady, gdzie chcieliśmy spędzić tydzień w ośrodku chrześcijańskim. Ojciec jako misjonarz był wszędzie zapraszany, prowadził wykłady i opowiadał o swoich doświadczeniach wśród Indian w boliwijskim interiorze.

Nienawidziłam tych obozów, w których często już musiałam uczestniczyć. Czułam, że jako dzieci misjonarzy jesteśmy stawiani na niewidzialnym piedestale i że wszyscy mają wobec nas odpowiednio wysokie oczekiwania.

Na obozie nie znałam nikogo oprócz rodzeństwa. Nikomu też nie ufałam, zwłaszcza dorosłym. Kierowników obozu obserwowałam dokładnie. Zauważałam każdy podejrzany ruch, każde dwuznaczne słowo, i oceniałam, czy może oznaczać dla mnie zagrożenie. Musiałam bowiem pilnować także młodszego rodzeństwa. Czułam się zobowiązana je chronić.

Wszystkie dzieci spały razem w wąskim pomieszczeniu. Kuliłam się w najdalszym kącie obozowiska. Rodzice z moim najmłodszym rodzeństwem przebywali w innym skrzydle.

Ten tydzień był dla mnie udręką. W ramach programu dla dzieci mieliśmy zajęcia od rana do nocy. Bawiliśmy się, śpiewaliśmy, majsterkowaliśmy i modliliśmy się. Co rano odbywało się nabożeństwo, podczas którego wszystkie dzieci siedziały w dużym kręgu. Wszyscy musieli po kolei modlić się głośno. Każdy dzień poświęcony był innemu cytatowi z Biblii. Czytano nam odpowiednie historie biblijne, uczyliśmy się na pamięć wierszy i nowych pieśni. Z niesprawnym ramieniem nie mogłam korzystać z zajęć sportowych w przerwach między studiowaniem Biblii, byłam jednak wdzięczna, że mam wtedy przynajmniej odrobinę spokoju.

Odbывały się też większe imprezy, podczas których czułam na sobie ogromną presję. Poświęcone były zawsze takim tematom jak nawrócenie na wiarę chrześcijańską i napełnienie Duchem Świętym. Przy jednej z takich okazji kierownicy grupy młodzieży spytali mnie, czy otrzymałam już Ducha Świętego i czy umiem przemawiać językami. Zawstydzona pokręciłam głową. Jako córka misjonarza wstydziłam się, że jeszcze tego nie doświadczyłam. Zaraz też posyłałi mnie razem z wieloma innymi dziećmi na scenę.

Tam czekali już na nas prowadzący. Mężczyźni ci kładli nam dłonie na głowę i ramiona i modlili się nad nami głośno w obcych dla mnie językach, jeden przez drugiego. Po kilku minutach dzieci zaczęły osuwać się na ziemię jak w transie. Potem wstawiały, wychwalały Boga i przekrzykiwały się w niezrozumiałych słowach. Wszyscy widzowie na sali klaskali i dziękowali Bogu za napełnienie Duchem Świętym. Wreszcie przyszła kolej i na mnie. Tak bardzo pragnęłam, by mnie oszczędzono! Nie chciałam znowu stracić kontroli nad swoim ciałem.

Nie mogą mi tego zrobić! Całą swoją istotą buntowałam się przeciwko temu rytuałowi. Stałam tak i nie chciałam zamknąć oczu. Wszyscy na sali czekali w napięciu, aż również moja grupa otrzyma Ducha Świętego. Dzieci obok mnie zataczały się jedno po drugim i upadały na ziemię.

Stałam dalej, sztywno i w milczeniu. Dłonie mężczyzn spoczywały ciężkie jak ołów na moich ramionach i głowie. Bolała mnie już szyja. Zwiększyli nacisk. Oddałabym wszystko, byle tylko móc uciec ze sceny. Nie było jednak ucieczki, podchodziło do mnie coraz więcej mężczyzn, naciskali na moją głowę i modlili się nade mną. Opierałam się i czekałam, co się stanie. Pozostałe dzieci odesłano z powrotem na miejsca. Wreszcie zostałam sama. Nadal modlili się, jeszcze intensywniej niż wcześniej.

Oczy wszystkich obecnych skierowane były na mnie. Zaciśnęłam powieki i próbowałam się skoncentrować. Nic się jednak nie działo. Nie upadłam. Stawiłam im opór. Nigdy nie zawładną moim ciałem, nigdy.

Coś musi się wreszcie stać, nie mogę przecież stać tu wiecznie. Ogarnęła mnie panika. Nieśmiało zaczęłam mamrotać niezrozumiałe słowa. Najpierw cicho, ze strachu, że wszyscy

zauważa, że celowo wymyślam i wyrzucam z siebie dźwięki. Nie było żadnego omdlenia i napełnienia Duchem Świętym. Po kilku sekundach poczułam się pewniej i śmiało paplałam dalej. Publiczność klaskała z ulgą. Nacisk dłoni na głowę i ramiona ustał, byłam wolna. Jakiś mężczyzna wyszeptał mi do ucha, że teraz także należę do wybranych. Znowu jestem wybraną – pomyślałam w panice. – Do czego tym razem?

Czerwona jak burak wróciłam na swoje miejsce. To wszystko było dla mnie wyjątkowo upokarzające. Jako córka misjonarza niemal straciłam twarz. Będąc w centrum uwagi takiego zgromadzenia, nie można zawieść. Czego naprawdę żądał ode mnie Bóg? Czy chciał właśnie czegoś takiego, a jeśli tak, czemu miało to służyć? Dlaczego Duch Święty nie znał angielskiego? Ta paplanina nie mogła przecież nikogo uratować i nikomu nie pomagała. W moich oczach był bezsensowny rytuał, tak jak wiele innych, w których musiałam uczestniczyć. Jeżeli Bóg chciał do mnie przemówić, nie potrzebował tego całego zamieszania. Byłam o tym przekonana.

Bardzo powoli rozluźniłam się i wyrzuciłam z siebie emocje. Rozpłakałam się, a pewna starsza kobieta usiadła obok mnie i wyjaśniła, że napełnienie Duchem Świętym jest bardzo przejmującym przeżyciem.

– Możesz śmiało płakać z radości, moja mała, wszyscy to robią – pocieszyła mnie. Po uroczystości wróciłam cicho i niezauważenie do dużego obozowiska, ukryłam się pod kołdrą i płakałam gorzko – na pewno nie z radości.

Dalsza część letnich wakacji minęła jak z bicza strzelił. Zaznałam tygodni spokoju i relaksu, po których czułam się wypoczęta i zadowolona. Wewnętrznie byłam silniejsza i odważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Wiedziałam, że na końcu tunelu czeka światelko, i przypuszczałam, że wkrótce skończy się najgorszy okres w moim życiu. Byłam jednak również świadoma, że nadal muszę mieć się na baczności. Otwarte oczy, otwarte uszy i milczenie – w ten sposób przetrwam. Pod koniec lata wróciła do dżungli dojrzalsza Christina, bądź co bądź miałam już przecież jedenaście lat. Nosiłam w sobie niewzruszone przekonanie i jasną wizję tego, co naprawdę jest dla mnie dobre, a co złe. Codziennie rozmyślałam intensywnie nad twierdzeniami i dogmatami, które ukształtowały moje życie.

Pomimo wewnętrznej pewności, że wolno jest wątpić, walczyłam sama ze sobą. Czy byłam heretykiem, judaszem, zdrajcą? Czy Bóg wiedział, jakie rzeczy musiałam wymyślać, żeby tylko przetrwać? Czy byłam dla Niego dość dobra? Czy trafię do nieba? Nawet jako wykorzystywane, sponiewierane, zhańbione dziecko? Kim naprawdę byłam: wybranką, napełnioną Duchem Świętym, nierządnicą czy medium?

Jestem sobą – zdecydowałam pewnej nocy. – Tak, jestem sobą i pozostanę sobą. Chciałam być zupełnie zwyczajną dziewczynką. Żyć wolna i pozbawiona trosk. Było to możliwe w moim własnym świecie, dzięki tajemnemu pismu, podczas rysowania oraz w moich myślach, marzeniach i fantazjach.

Torebka miodu

Przez pewien czas udawało mi się schodzić brutalnym mężczyznom z drogi i nie byłam już zabierana na potajemne rytuały czy inne spotkania. Cieszyło mnie to, ale zarazem czułam się niepewnie. Co się działo? Czyżbym się im znudziła? Czy zastąpili mnie nowymi dziećmi? A może rzeczywiście zdołałam wyzwolić się od nieustannego wykorzystywania? Pozostało we mnie wstrętne, lepkie uczucie pustki i samotności.

Niedługo jednak pozostawałam tak bezpieczna, za jaką się uważałam. Niektórzy mężczyźni opuszczali ośrodek ze swoimi rodzinami, a na ich miejsce pojawiali się nowi członkowie. Przed kim musiałam mieć się na baczności? Dla tych, którzy zwracali na to uwagę, blizny na moich kolanach były dobrze widoczne. Zostałam naznaczona. Z otwartymi oczami i uszami obserwowałam uważnie otoczenie. Wkrótce stwierdziłam, że krąg prześladowców musiał się zmniejszyć.

W tym czasie mój ojciec został mianowany wicedyrektorem organizacji. Byłam z niego tak dumna, stał się przecież drugim najważniejszym człowiekiem w bazie misyjnej. Biura zarządu znajdowały się na końcu ośrodka, tylko kilka minut drogi od boliwijskiej wioski. Obok stało kilka małych lepianek pokrytych słomą, służących jako miejsce noclegu dla indiańskich gości.

Wioska Boliwijczyków stanowiła dla mnie tabu, a ze strachu przed młodymi natarczywymi mężczyznami unikałam do tej pory wizyt w górnej części Tumi Chucua. Ogarnęła mnie jednak ciekawość i zapragnęłam poznać i tę część misji. Czułam się pewniej, ponieważ pracował tam ojciec. Mama pozwoliła mi odwiedzić tatę w jego nowym biurze, więc pewnego dnia pomaszerowałam dzielnie w tamtą stronę. Gdy biegłam ścieżką, między kępami trawy wznosił się czerwony pył.

Przed budynkiem administracji zatrzymałam się i rozejrzałam po okolicy. Żadnych grup nastolatków, żadnych chłopców, którzy by za mną gonili, żadnych prześladowców – byłam sama, droga wolna. Serce biło mi, kiedy pukałam do drzwi. Cisza. Uchyliłam lekko drzwi i zajrzałam do środka.

Na stole leżały stosy dokumentów. Ojciec musiał pracować nad niezwykle ważnymi rzeczami. Gdzie się jednak podziewał? W pomieszczeniu były jeszcze jedne drzwi, podeszłam do nich i w tej samej chwili usłyszałam męski głos, wołający:

– Wejdz, mała!

Zesztywniałam.

– Szukasz taty? Widziałem, jak nadchodzisz, wejdz, nie gryzę – zawołał głos przyjaźnie.

Zaciekawiona otworzyłam drzwi. Za dużym biurkiem siedział mężczyzna w białej koszulce, był to jeden z tłumaczy Biblii. Wstał i podał mi rękę.

– Twojego taty nie ma dziś w biurze, ale cieszę się z każdych odwiedzin, zwłaszcza takiej miłej i uroczej młodej kobiety. – Podsunął mi krzesło. – Usiądź, możemy chwilę porozmawiać.

Posłuchałam i rozejrzałam się wokół. Mężczyzna spytał, czy byłam kiedyś w małym sklepie w boliwijskiej wiosce. Pokręciłam głową.

– Nie, to zabronione.

– Ja mogę ci na to pozwolić. Chciałabyś pójść tam i kupić sobie coś słodkiego? – Podsunął mi pod nos dużą monetę.

Pięć peso! Dla mnie był to majątek. Zawahałam się chwilę, po czym z podziękowaniem wzięłam monetę. Objaśnił mi drogę i poprosił, żebym przyniosła resztę.

Pobiegłam do drzwi, rozejrzałam się na lewo i prawo. Czysto. Jeśli ojciec mnie przyłapie, koniec ze słodyczami, pomyślałam.

Po kilku minutach dotarłam do sklepu. Obejrzałam z podziwem kolorowe towary i kupiłam

kilka małych torebek miodu. Potem pobiegłam tak szybko, jak pozwalały mi nogi, z powrotem do biura. Nikt mnie nie widział. Miałam szczęście – tak przynajmniej sądziłam.

Misjonarz czekał już na mnie i poprosił, żebym usiadła na krześle przed biurkiem. Uśmiechnął się, gdy położyłam mu monety na dłoni.

– Jesteś porządnym dzieckiem – wyszeptał.

Chciałam się pożegnać, ale kazał mi od razu spróbować miodu. Ostrożnie zrobiłam zębami mały otwór w plastikowej torebce i wycisnęłam na język gęsty, słodki płyn. Mężczyzna przyglądał się mi i nie mówił ani słowa. Przeoczyłam pierwsze sygnały niebezpieczeństwa. Kiedy chciałam wstać, nieoczekiwanie stanął za mną i zacisnął mi ramię na szyi.

– Moje dziecko, chcę dla ciebie tylko dobrze. Bądź grzeczna i siedź spokojnie! – Dusił mnie, zobaczyłam jeszcze jego owłosione, muskularne ramiona z grubymi żyłami, a potem zaboląła mnie szyja i zaczęłam kaszleć. Mężczyzna przycisnął coś białego do mojego nosa i ust. Myślałam, że umrę, ponieważ nie mogłam złapać powietrza. Nie trwało to długo. Zrobiło mi się czarno przed oczami.

Po przebudzeniu poczułam, że staję się lekka i zaczynam się unosić. To dziwne, widziałam swoje ciało z góry i choć było raczej ciemno, bardzo wyraźnie dostrzegałam leżącą na podłodze małą Christinę, skuloną i złamaną. Nagle poczułam ból, otworzyłam oczy i zobaczyłam słomiany dach; do mrocznego, nieznanego pomieszczenia wpadały przez szpary pojedyncze promienie słońca. Gdzie się znalazłam? Instynktownie zaczęłam szukać wyjścia. Co się stało? Zauważyłam okno z zamkniętymi okiennicami. Potem drzwi, również zamknięte. Dlaczego wszystko mnie bolało? Pod sobą czułam nagą ziemię. Czy byłam sama?

– Wstawaj, mały bękarcie! Dalej, ruszaj się! – Obróciłam się przerażona i spojrzałam w oczy krzyczącemu na mnie mężczyźnie. – Znikaj! Nie chcę cię nigdy więcej widzieć!

Boi się!, przyszło mi do głowy. Wściekły, lżył dalej mnie i wszystkie kobiety, wszystkie miałyśmy uwodzić mężczyzn i byłyśmy winne jego niedoli.

– Wy, baby, utrudniacie mężczyznom życie, wy węzowe nasienie! – Drżącymi dłońmi wskazał mi drzwi.

Powstałam gwałtownie, przeszył mnie ból i jęknęłam cicho.

Mężczyzna stał w rogu i patrzył na mnie nienawistnie.

– Znikaj i nie waz się nikomu o tym opowiedzieć! A już na pewno nie swojemu ojcu!

Uchylił nieco drzwi. Wymknęłam się szybko z lepianki na wolność. Znowu przestałam czuć swoje obolałe ciało, miałam wrażenie, że lecę bezgłośnie w stronę domu. Głowę odczuwałam jako pustą, ciało lekkie i jasne. Szok tkwił we mnie głęboko. Wybrałam drogę na tyłach wioski. Gdy zauważyłam spływającą po nodze krew, ogarnęła mnie panika i szybko schroniłam się w najbliższej toalecie. Ucieszyłam się, że znalazłam w niej papier toaletowy. Często go brakowało, bo był kradziony. Siedziałam długo w ciszy i patrzyłam przed siebie. Wreszcie wytarłam nogi i powstrzymałam krwawienie zwiniętym papierem, tak jak robiłam to już często. Wstydziłam się, ponieważ nie miałam na sobie majtek, liczyłam jednak, że nikt nie zwróci na to uwagi. Dopiero po dłuższym czasie zdołałam dotrzeć do domu. Im bardziej się do niego zbliżałam, tym czułam się cięższa. Gdy stanęłam przed drzwiami, ból zdążył powrócić.

– Cześć, mamó. Jestem już z powrotem, muszę tylko szybko do toalety! – Było to jedyne pomieszczenie, w którym mogłam być sama, nie niepokojona, ponieważ w drzwiach znajdował się klucz. Wyczerpana opadłam na deskę klozetową i chwyciłam się za bolący brzuch.

Matka zawołała za mną, chciała wiedzieć, gdzie się podziewałam tyle czasu; najwyraźniej wiedziała już, że ojca wcale nie było w biurze.

Ostatkiem sił odparłam:

– Czekałam na niego długo, myślałam, że zaraz przyjdzie. – Odpowiedź zadowolila matkę.

Łzy spływały mi po brudnej twarzy. Sama jestem sobie winna – myślałam zrozpaczona. – Powinnam była wiedzieć, że nie wolno mi przyjąć pieniędzy. Oszukał mnie, nigdy więcej nie wezmę pieniędzy, nigdy więcej!

Byłam niezmiernie zła na samą siebie. Tak długo potrafiłam unikać ataków, a teraz wpadłam w najgłupszą pułapkę. Za swoją beztroskę zapłaciłam wielodniowym bólem i silnymi atakami

migreny. Zwłaszcza nocą drapało mnie w gardle, a ataki kaszlu denerwowały całą rodzinę.

Pewnej nocy kaszel męczył mnie tak bardzo, że zrobiło mi się niedobrze. Pobiegłam do toalety i zwymiotowałam. Zrozpaczona myłam twarz, gdy usłyszałam, jak matka biega po salonie, krzycząc głośno.

– Nie możemy przez ciebie spać, mam tego dość! Idź i śpij w domku w ogrodzie!

Drżąc, wzięłam poduszkę i pobiegłam przez ciemny ogród do domku. Matka poszła za mną, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je z zewnątrz na zasuwę.

Naprawdę mnie zamknęła! – pomyślałam zszokowana. – Dlaczego? Mogłam przecież sama zamknąć drzwi. To podłe! Nie pozwolę się zamykać! Nigdy więcej nie pozwolę się uwięzić!

W środku panowały egipskie ciemności. Przewróciłam się o ogrodowe narzędzia i uderzyłam głową o coś twardego. Leżałam na podłodze, płacząc, czułam się odrzucona i pozbawiona nadziei. Koło moich uszu przelatywały nietoperze, te nocne zwierzęta napawały mnie strachem. Wściekłość i rozpacz walczyły w mojej duszy ze smutkiem i rezygnacją. Znowu siedziałam sama w ciemnym domku, wykluczona z grona rodziny.

W bezwzględny sposób pokazano mi, że muszę iść przez życie sama. Kaszel męczył mnie uparcie, aż zasnęłam z wyczerpania. Obudziłam się w ramionach ojca, który zabrał mnie z powrotem do łóżka – zlitował się nade mną.

Trzymając dwie poduszki przy twarzy i często śpiąc na siedząco, wyczerpana kaszlem, zdołałam uniknąć ponownego zamknięcia w domku ogrodnika. Zrozpaczona rozmyślałam, jak mogę się lepiej chronić. Czy za mało się modliłam? *Dobry Boże, pomóż mi, proszę, żeby już nigdy mnie to nie spotkało i żeby zostawili mnie w spokoju!* Raz po raz, w dzień i w nocy, powtarzałam tę modlitwę. Odmawiałam ją w milczeniu, poruszając tylko językiem, a nocą szeptałam ją w poduszkę. Byłam pewna, że jeśli będę powtarzać modlitwę dostatecznie często, Bóg wreszcie mnie wysłucha. Po prostu musiał mnie wysłuchać! Postanowiłam modlić się dalej tak długo, aż odzyskam wolność. I odzyskałam ją, w dodatku szybciej, niż sądziłam. Czy zatem Bóg wysłuchał moich modlitw? Czy zlitował się nade mną? Nie byłam pewna, ale z całego serca miałam taką nadzieję.

Pewnej nocy, gdy znowu nie mogłam zasnąć, usłyszałam, jak rodzice dyskutują intensywnie w salonie. Nie rozumiałam wszystkiego, ale chodziło o jakąś podróż, do której chcieli się przygotować. Szwajcaria, Zurych, pakowanie, przygotować dzieci do drogi. Wiedziałam, że w moim życiu znowu coś się zmieni, ale co tym razem?

Boliwia–Szwajcaria

W 1979 roku, tuż przed moimi jedenastymi urodzinami, rodzice postanowili wrócić do Szwajcarii. Udało im się wykonać większość przekładu, pozostałą część mogli dokończyć w Szwajcarii.

Podczas jednej z codziennych modlitw mama opowiedziała nam, co planują:

– Dzieci, wrócimy teraz na zawsze do Szwajcarii. Szwajcaria jest naszą ojczyzną, a tata skończył już prawie tłumaczenie. Philip będzie mógł iść do szkoły średniej.

Philip zapytał, czym jest szkoła średnia i dlaczego nie możemy zostać tutaj.

Nade wszystko nienawidziłam zmian, ale nie odzywałam się ani słowem. Dla mnie ta wiadomość oznaczała życiową szansę! Czy będę wreszcie wolna? Czy ucieknę przed prześladowcami? Czy to była odpowiedź na moje modlitwy? Czy oznaczało to wreszcie koniec piekła, przez które przeszłam w tym rzekomym raju? Czy wreszcie odnajdę prawdziwy raj i uwolnię się od piekła?

Nie słuchałam już, co opowiadała dalej mama. Wolność – czy będzie to mój ratunek? Moja wolność? Tak, tak będzie, prześladowcy nie będą mogli mnie już dłużej napastować, a w Szwajcarii na pewno wszystko okaże się lepsze i piękniejsze. Byłam o tym przekonana, choć prawie nie znałam tego kraju. Jako małe dziecko pojechałam tam w czasie wakacji, bardzo słabo pamiętałam jednak tylko twarze różnych krewnych. Dostawaliśmy też słodycze i wszyscy byli dla nas mili. Tak odmalowywałam sobie przyszłość, śniłam na jawie o ślicznych sukienkach, wspaniałych butach, nowych przyjaciółkach.

Pomimo radości i nadziei do mego serca zakradł się smutek. Dżungla, zwierzęta, rośliny i kwiaty, moje przyjaciółki i nasze jezioro – nie mogłam zabrać ze sobą tego wszystkiego! A San Lorenzo? Indianie? To była przecież moja ojczyzna, a teraz miałam ją opuścić, zostawić wszystko, co było mi drogie. Ów raj jednak stał się także moim piekłem. Czułam się rozdarta, ale ostatecznie zwyciężyła radość, radość, że zobaczę odległy kraj i ucieknę od prześladowców. Daleko, daleko stąd.

Przeprowadzka okazała się prawdziwym koszmarem. Matka już kilka miesięcy wcześniej zaczęła pozbywać się wszystkiego, czego nie mogliśmy zabrać ze sobą. W tym okresie czułam się wyjątkowo niepewnie. Moje życie wypełniały jednocześnie strach i radość. Przyjaciółki płakały, gdy usłyszały, że wyjeżdżam. Wiedziałam, że nie mogę zabrać ze sobą wielu rzeczy. Żadnych rysunków, zabawek, tylko małą walizeczkę. Moja lalka, puchar sportowy, parę sukienek – na więcej nie było miejsca.

– W Szwajcarii kupimy nowe rzeczy, kochani, proszę, nie martwcie się, że możemy zabrać tak mało – uspokajała nas mama. Brat wykorzystał fakt, że jest najstarszy, i udało mu się wyprosić dodatkową walizkę na swoją kolekcję węży i noży.

Ku mojemu przerażeniu uświadomiłam sobie, że wyruszymy w podróż bez ojca, który miał wyjechać dwa tygodnie wcześniej na kurs przygotowujący go do przyszłych zadań. Później planował dołączyć do nas w podróży. Jak matka miała poradzić sobie sama z przeprowadzką i z nami, czworgiem dzieci? I bez tego obciążenia nierzadko znajdowała się na skraju załamania nerwowego, a po ostatnim poronieniu często była smutna i bardzo poirytowana.

Teraz znowu była w ciąży, ja zaś bałam się, że z powodu przeprowadzki straci dziecko. Byłam wściekła na ojca. Nie tak wyobrażałam sobie wyprawę do ziemi obiecanej.

W jakiś sposób matce udało się zorganizować samej całą przeprowadzkę i z czworgiem dzieci, walizkami i pakunkami wsiąść w Tumi Chucua do samolotu. Po trzech uciążliwych dniach w coraz większych samolotach i na nieznanymi lotniskach wylądowaliśmy wreszcie w Zurychu. Powitało nas i otoczyło duże grono osób. Dziadkowie przytulali nas i nie chcieli wypuścić z

objęć. Ludzie, których nie znałam, ściskali mnie, całowali i głaskali po włosach, jakbym była jakimś przybyszem z kosmosu, który właśnie wylądował na Ziemi. Szukałam schronienia za plecami matki. Od pierwszej chwili wstydziłam się naszego wyglądu, ponieważ Szwajcarzy byli ubrani zupełnie inaczej niż my. *Mój Boże, co też muszą sobie o nas myśleć ci nowocześni ludzie?*

– Tak dobrze jest być znowu w domu – usłyszałam popłakującą matkę.

W domu?, pomyślałam. To mógł być jej dom, ale na pewno nie mój. Nie, to nie był mój dom, to był obcy kraj z obcymi ludźmi. Wszystkie te rzeczy, które znajdowały się na lotnisku! Sklepy, asfaltowane ulice i lśniące auta. Nie, na Boga, to nie była moja ojczyzna!

Mimo to otoczenie mnie fascynowało. Wszystko było inne, nie mogłam się napatrzeć, a przecież nie wyszliśmy jeszcze nawet z lotniska. Żadna wiedza, chłonełam wszystko, aż niemal zakreśliło mi się w głowie. Pewien sympatyczny pan pomógł nam zapakować liczne walizki do swojego samochodu. Potem ruszyliśmy w drogę do naszego nowego domu.

Zrobiło mi się niedobrze, nie przywykłam do jazdy samochodem. Philip krzyknął i oboje zdążyliśmy jeszcze wydostać się z auta, nim zwymiotowaliśmy. Dwójka młodszego rodzeństwa zaczęła płakać. Wszyscy byliśmy wykończeni nerwowo i u kresu sił po długiej, uciążliwej podróży. Mężczyzna wysiadł i podał nam papierową chusteczkę.

Chustka z papieru! Musi być bardzo bogaty, pomyślałam. Wreszcie dotarliśmy do małej wioski na wzgórzu. Mężczyzna uroczyście otworzył drzwi do wielorodzinnego budynku. Nie mogłam tego pojąć. Nie mieliśmy nawet własnego domu! Musieliśmy mieszkać z wieloma innymi ludźmi.

Jesteśmy biedni – pomyślałam. – W tym kraju wszyscy ludzie są bogaci, tylko my jesteśmy biedni. Było to dla mnie nowe doświadczenie, ponieważ w Boliwii to my byliśmy bogaci i zamożni. Dorastałam w tym przekonaniu i tak też się czułam.

Mimo to pierwsze dni okazały się dla nas, dzieci, przepiękne. Byliśmy zapraszani w gości, dostawaliśmy w prezencie czekoladę, słodycze, ciastka i ubrania. W naszym domu tętniło życiem jak w ulu. Dla innych ludzi musieliśmy być wyjątkowi, egzotyczni i ekscytujący, a także nieco szaleni, jak mi się zdawało. Oglądano nas i oceniano ze wszystkich stron. Początkowo ta sytuacja bardzo mi się podobała.

Razem z babcią, która pomagała naszej rodzinie finansowo, wybraliśmy się po nowe ubrania. Ku mojej radości matka przeciwstawiła się surowym zasadom babci i kupiła również dla mnie spodnie. Dzięki temu nie musiałam rzucać się w oczy w nowej szkole.

Wszyscy ludzie, których poznaliśmy w pierwszych dniach pobytu w Szwajcarii, byli chrześcijanami tak jak my. Wkrótce jednak rodzice zaczęli przygotowywać nas do kontaktów z niewierzącymi. Pewnego wieczora jak zwykle siedzieliśmy razem w salonie i śpiewaliśmy. Philip zażyczył sobie pieśni o Mojżeszu i faraonie, którą i ja bardzo lubiłam. Podczas śpiewu ogarnęła mnie melancholia: *Pharao, let my people go...* Jakże często tęskniłam w Boliwii za wolnością, a teraz moje marzenia się spełniły. Ukradkiem otarłam łzy. Bóg naprawdę mnie wyzwolił. Wreszcie byłam wolna, prześladowcy zostali daleko stąd.

Pogrążyłam się w rozmyślaniach i początkowo nie słuchałam fragmentu z Biblii czytanego przez ojca. Głos matki przywołał mnie jednak do rzeczywistości:

– Słuchajcie, proszę, bardzo uważnie! Musicie uważać, ponieważ tu, w Szwajcarii, nie wszyscy ludzie są chrześcijanami, tak jak w Tumi Chucua. Miejcie się na baczności, jest wiele wilków w owczej skórze. To ludzie, którzy nie mają bojaźni przed Bogiem i mogą wyrządzić wam krzywdę!

Przeraziłam się. Sądziłam, że trafiłam do raj, a oto matka ostrzegała mnie przed tutejszymi mieszkańcami. Niechrześcijanie najwyraźniej byli znacznie bardziej niebezpieczni niż chrześcijanie! To nie mogła być prawda, nie mogło tu być jeszcze gorzej niż w mojej ojczyźnie Boliwii. Nie, to niemożliwe! Tego wieczora postanowiłam za wszelką cenę bronić mojej wolności.

Podczas końcowej modlitwy prosiłam głośno o to, by Bóg ochronił mnie przed złymi niewierzącymi. Na to matka objęła mnie i uspokoiła.

– Wśród niewierzących zdarzają się też bardzo mili ludzie, musisz po prostu być zawsze czujna.

Nieco uspokojona położyłam się spać, jednak moje stałe koszmary były tej nocy straszniejsze

niż zwykle. Na szczęście odkad przybyliśmy do Szwajcarii, nie miałam już prawie ataków kaszlu i nikt nie zauważał moich nocnych zmaganiań.

Nadszedł pierwszy dzień szkoły, a ja wzięłam sobie ostrzeżenia matki bardzo do serca. Obserwowałam nauczycieli nieufnie i pilnowałam, by nigdy nie znaleźć się z żadnym z nich sam na sam. Wobec innych uczniów czułam się jednak pewnie. Wszyscy dziwili się naszemu pochodzeniu. Z moją opaloną twarzą i ciemnymi, brązowymi włosami, które zdążyły już odrosnąć, wiele dzieci uważało mnie za Indiankę. Mówiły wprost, że muszę być adoptowana, skoro całe moje rodzeństwo ma blond loki. Bardzo mnie to raniło, ponieważ czułam się dumnym członkiem rodziny Krüsi. Straciłam wszystko oprócz rodziny – tylko ona mi została i dawała poczucie pewności i bezpieczeństwa.

Mówiliśmy całkiem dobrze po niemiecku i mieliśmy wiele ciekawych historii do opowiedzenia. Szwajcarskie dzieci otaczały nas kręgiem i słuchały uważnie każdego słowa. W wielu sytuacjach zachowywaliśmy się jednak inaczej, niż tego oczekiwano. Przywykłam zwracać się do nauczycieli „you” i nie widziałam sensu w mówieniu do nich „pan” lub „pani”. Gdy po raz kolejny zdarzało mi się zwrócić do dorosłego na „ty”, wszyscy śmiali się rozbawieni. Wstydziłam się wtedy ogromnie. Ze smutkiem stwierdziłam, że najwyraźniej jestem inna niż pozostałe dzieci, zupełnie inna. Stopniowo zaczęłam się wycofywać. Ponownie szukałam ucieczki w rysowaniu. Niedługo potem nauczyciel ogłosił konkurs rysunkowy na temat „Lekkie jak bańki mydlane”. Głębokie wewnętrzne pragnienie sukcesu i uznania pobudziło moją ambicję. Na całe dni zamykałam się w swoim pokoju i rysowałam. Z zapałem szukałam rozwiązań pozwalających oddać lekkość szybujących baniek mydlanych. Znałam tę lekkość, jak również tęsknotę za nią i za wolnością, a zarazem strach, że mogą pęknąć przy najmniejszym poruszeniu – to wszystko nie było mi obce. Wręcz przeciwnie, to byłam ja! Sama byłam bańką mydlaną i nie unosiłam się samotnie. Było wiele baniek, które przywierały do siebie.

Tak, bańki mydlane sklejały się, ale nie tylko ze sobą. Przywierały też ciężko do papieru. Cierpliwie rysowałam je raz za razem, ale za żadnym razem nie były dość dobre. Zbyt niedokładne, za mało realistyczne – zaczęła ogarniać mnie rozpacz.

– Mamo, proszę, czy możesz pokazać mi, jak narysować te bańki mydlane, żeby były przezroczyste, ale kolorowe? – błagałam ją. Ku mojemu zaskoczeniu usiadła obok mnie. Wzięła kredki i pokazała mi, jak warstwa po warstwie, lekkimi pociągnięciami zaciemniać bańki. Byłam zachwycona. Rzuciłam się mamie na szyję i podziękowałam gorąco. Z pewnością nie wiedziała, jak ważna była dla mnie jej pomoc.

Schowałam się w swoim pokoju, gdzie rysowałam godzinami. Zbliżał się termin oddania prac konkursowych i korzystałam z każdej wolnej chwili, by udoskonalać rysunek. Grupa baniek naprawdę unosiła się teraz na papierze. Dumnie przekazałam swoje dzieło nauczycielowi. Kilka tygodni później ogłosił przed całą klasą, że zdobyłam pierwszą nagrodę w kantonie Zurych. Ogarnęło mnie szczęście i głęboka wdzięczność. Rozkoszowałam się uznaniem, jakie mi okazywano.

Dokonałam tego, zupełnie sama! Ten sukces dodał mi sił, sprawił, że otworzył się przede mną nowy świat.

Na zimnie

Babcia Elsa spełniła moje najgorętsze pragnienie – kupiła mi posrebrzany flet poprzeczny i opłaciła lekcje gry, na które jeździłam do pobliskiego miasteczka. Nowy flet kochałam nade wszystko. Codziennie czyściłam go i polerowałam. Była to najcenniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek posiadałam. Z zachwytem uczyłam się gry na instrumencie, chciałam być coraz lepsza i cieszyłam się z każdego sukcesu. Grałam po kolei melodie, aż nauczyłam się ich na pamięć. Fascynowała mnie i napędzała do działania myśl, że będę mogła tak grać jeszcze po wielu latach.

Co tydzień jeździłam autobusem do miasta do szkoły muzycznej. Wysoki, otyły nauczyciel z piwnym brzuchem i tłustymi, kudłatymi włosami od początku sprawiał na mnie odpychające wrażenie. Zazwyczaj był zaniedbany i pachniał tak intensywnie potem i tanimi perfumami, że niemal robiło mi się niedobrze. Nie lubiłam go, okazał się jednak surowym i wymagającym nauczycielem, co mnie motywowało.

Po pewnym czasie zaczął wypytywać mnie o moją rodzinę. Fascynował go fakt, że dorastałam w dżungli.

– Gdy pierwszy raz zobaczyłem cię tu, jak podchodzisz do drzwi, zaraz pomyślałem sobie, że wyglądasz jak Indianka.

Nie zdziwiła mnie jego uwaga, ponieważ słyszałam to samo od niemal każdego nauczyciela, który poznawał moją historię. Ten jednak nie odpuszczał tematu. Drażył bez końca, chciał wszystko wiedzieć dokładnie. Gdy spytał mnie o indiańskich szamanów, nie rozumiałam, o co mu chodzi. U ludu Chiquitano spotykało się tylko uzdrowicieli. Ale to nie byli dobrzy ludzie, po prostu nabierali innych.

Ojciec zawsze pilnował, żebyśmy nie mieli z nimi do czynienia. Często przestrzegał nas przed ich oszustwami. Nauczyciel gry na flecie był jednak zupełnie innego zdania i chwalał szamanów pod niebiosa. Mieli pomagać i leczyć. Powoli zaczął ogarniać mnie gniew, ten człowiek nie miał przecież pojęcia o tamtej rzeczywistości. Ojciec ostrzegał nas przed bezbożnymi praktykami uzdrowicieli. Wiedziałam od niego, że uzależniają od siebie ludzi i ich wykorzystują. Kazali im oddawać w ramach zapłaty plony i zwierzęta hodowlane. Co mogło być w tym dobrego? Nie rozumiałam. Nauczyciel jednak chciał dowiedzieć się wszystko dokładnie, opowiedziałam mu więc, co usłyszałam od ojca.

Pewien ranny Indianin poszedł do takiego uzdrowiciela szamana. Ten potajemnie włożył do ust zardzewiały gwóźdź i udał, że wysysa ranę. Potem pokazał owemu biedakowi gwóźdź i wyjaśnił, że to właśnie była przyczyna zapalenia. Poza tym uzdrowiciele wmawiali ludziom najróżniejsze głupoty. Czasami posuwali się tak daleko, że Indianie zostawiali swoje uprawy odłogiem tylko dlatego, że na niebie pojawiła się tęcza, co interpretowano jako zły znak z niebios. Potem ludzie nie mieli co jeść i wielu umierało z głodu.

– A to jest przecież bardzo złe i dlatego mój ojciec przetłumaczył dla nich Biblię! – Zauważyłam jednak, że nauczyciel nie traktuje mnie poważnie, uśmiecha się tylko współczująco.

– Najwyraźniej nie wiesz wszystkiego o szamanizmie, ale to oczywiste. Twój ojciec jako misjonarz zwalczał wiarę tych pierwotnych ludów i na pewno nie opowiedział ci o prastarej wiedzy i metodach leczenia prawdziwych szamanów. Szkoda, ponieważ w ten sposób ginie tysiącletnia wiedza.

Byłam oburzona, uznałam jednak, że nie ma sensu dłużej dyskutować. Rozmowa zaczynała mnie powoli męczyć i spróbowałam zmienić temat. Na próżno.

– Wiesz, Christino, mogę pokazać ci, co mam na myśli i jak korzystać z tej prastarej wiedzy. Jeżeli będziesz miała jakiś problem, z którym nie będziesz umiała sobie poradzić, powiem ci, jak nawiązać kontakt z duchami zmarłych.

Ogarnął mnie strach, pokręciłam więc tylko głową i nie słuchałam dłużej. Tego rodzaju rzeczy były zakazane, właśnie przed takimi ludźmi ostrzegali nas zawsze rodzice. Kręciło mi się w głowie, nie wiedziałam zupełnie, jak powinnam się zachować. Rozglądałam się podenerwowana, aż mój wzrok padł na zegar na ścianie. Dzięki Bogu, najwyższy czas spakować się i pójść do autobusu.

– To była wspaniała lekcja, Christino. Następnym razem będziemy mogli porozmawiać o tym dłużej.

W drodze do domu zastanawiałam się gorączkowo, co powinnam zrobić. Byłam przekonana, że rodzice zabroniliby mi dalszych lekcji gry na flecie, gdybym opowiedziała im o tej rozmowie. Po długich wahaniach postanowiłam nie przyznawać się do niczego w domu, a na kolejnej lekcji odmówić poruszania tego tematu.

Następnym razem wyjaśniłam więc nauczycielowi, że rodzice zabronili mi rozmawiać o tych sprawach. Ku mojemu zdumieniu przeprosił i powiedział bardziej do siebie, niż do mnie:

– Tak, twoi rodzice mają rację, nie powinienem rozmawiać o takich rzeczach z uczniami.

Rozmowy o szamanizmie ustały, zaczął jednak natarczywie wypytywać mnie o moje prywatne sprawy. Powoli badał moje granice. Czułam się coraz bardziej nieswojo.

Pewnego zimnego grudniowego wieczora otworzyłam ciężkie drewniane drzwi szkoły muzycznej i weszłam do klasy. Nauczyciel wyszedł mi z uśmiechem naprzeciw i pomógł zdjąć kurtkę.

Nigdy tego wcześniej nie robił, przeszło mi natychmiast do głowy. Odezwał się mój uśpiony instynkt – uwaga niebezpieczeństwo! Matka miała rację, również w Szwajcarii byli ludzie, którzy nie mieli wobec dzieci dobrych zamiarów. Zrobiło mi się niedobrze, ręce zaczęły mi się pocić. Złożyłam flet i pilnowałam, by zachowywać odpowiedni dystans wobec nauczyciela.

– Dobrze ćwicyłaś, jesteś pracowitą dziewczynką i w dodatku piękną – zauważył. – Popatrz, dłoń musi wyginać się bardziej w lewo, a ten palec przesunąć się nieco w górę. – Stanął za mną w całej swojej okazałości. Potem pochylił się, wziął moje palce w swoją dłoń i pokazał mi, jak powinnam trzymać flet. Czułam przy tym, jak przyciska się do mnie ciałem.

Nie, byle znowu nie to, byle nie kolejny taki typ. Ten mnie nie dostanie, nigdy! Jest taki gruby i wstrętny, nie, proszę, nie! Wszystko się we mnie zacisnęło. Zaczęłam drzeć, co nauczyciel najwyraźniej zauważył.

– Nie musisz się mnie obawiać, moja droga, rozluźnij się i odłóż na chwilę flet. Pokażę ci, jak możesz się zrelaksować. – Drżałam dalej. Ostrożnie odłożyłam instrument na krzesło. Nauczyciel chciał, żebym robiła z nim ćwiczenia. Podskakiwał w górę i w dół. Jego gruby brzuch trząsał się, spod koszuli ukazywały się raz po raz wałki tłuszczu. Odwróciłam wzrok. – Ćwicz, mała, dobrze ci to zrobi – nakazał mi natarczywie.

Posłuchałam. Moje piersi, które ku mojemu zmartwieniu zrobił się już okrągłe, podskakiwały, co wyraźnie cieszyło nauczyciela. Rozejrzałam się wokół, musiałam znaleźć ratunek!

– Przepraszam, muszę pilnie pójść do toalety – wyjąkałam i pospieszyłam do drzwi, a potem do łazienki. Nareszcie sama. Przez chwilę przyglądałam się sobie w lustrze. *Nie, ten gruby, wstrętny wieprz mnie nie dostanie.* Moje odbicie dodało mi sił. Powtórzyłam głośno to zdanie i ponownie umocniłam się w postanowieniu. Już nikt nigdy mnie nie zgwałci! Nie spieszyłam się. Raz po raz spoglądałam na zegarek. Po dłuższej chwili wróciłam do klasy. Nauczyciel zaczął się już niecierpliwić.

– Czy masz okres, że tak długo siedziałaś w toalecie?

Nie odpowiedziałam, popatrzyłam tylko na zegarek i stwierdziłam, że za pięć minut odjeżdża mój autobus. Pozwolił mi spakować rzeczy, pomógł nałożyć kurtkę i odprowadził do drzwi. Wiedziałam, że następnym razem posunie się o krok dalej.

W mojej duszy ponownie zagościł strach. Czyżby w Szwajcarii nie miało być wcale lepiej niż w Boliwii? Czyżbym się myliła? Najwyraźniej również tu nie mogłam czuć się bezpiecznie. Ogarnęła mnie panika, nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Jak się ratować? Zanim autobus dotarł do mojej wioski, przypomniałam sobie o swoim postanowieniu: nigdy więcej nie pozwolę się wykorzystywać. Powtarzałam wciąż w duchu to przyrzeczenie, co również w kolejnych dniach

pomagało mi pokonać panikę.

Ponownie zaczęłam opracowywać strategie przetrwania. Początkowo stosowałam te same metody, które tak często ćwiczyłam w Boliwii. Przed kolejną lekcją gry na flecie położyłam się do łóżka z fikcyjną migreną. Potem spóźniłam się na autobus, a następnym razem bardzo bolał mnie brzuch. Na tym koniec, pomyślałam, gdy ponownie spóźniłam się na autobus, a matka wpadła do mojego pokoju z czerwoną twarzą.

Skrzyczała mnie, zarzuciła mi „wagarowanie” i nakazała za karę pójść z fletem do miasta pieszo. Był styczeń, lodowato mroźne środowe popołudnie. Przez wiele dni padał śnieg, a ulice pokrył lód. Oszołomiona, spakowałam flet, włożyłam kurtkę i pospiesznie wybiegłam z domu. Dobrze wiedziałam, że nie odnajdę drogi – zmysł orientacji straciłam wiele lat temu w jednej z publicznych toalet w Tumi Chucua. Również tu, w uporządkowanej Szwajcarii, z trudem traślałam do celu i często zdarzało się, że szłam w przeciwną stronę.

Było późne popołudnie i zapadał już zmierzch. Samochody jeździły bardzo wolno po śliskich ulicach. Pospieszyłam przed siebie na oślep, kopiąc z wściekłością zaspę.

To niesprawiedliwe – myślałam. – Nigdy nie znajdę drogi! Gdzie mam skręcić? W prawo, nie, lepiej w lewo. Pomimo chłodu spościłam się, z gniewu pot wystąpił mi na czoło. Po pewnym czasie wściekłość minęła. Powoli uspokoiłam się i zwolniłam kroku. Pośród zimowej zamieci poczułam się nagle bezpiecznie. Zjednoczona z siłą natury, która odzwierciedlała moje wewnętrzne doznania. Wraz ze spokojem powróciła także wola walki i zaczęłam buntować się w duchu.

Nie! Nie pójde już więcej do tego człowieka, nigdy! Choć jeszcze przed kilkoma minutami się pociałam, teraz zaczęłam marznąć i drzeć. *Znam tę drogę, prowadzi do miasta. Ale co potem, w lewo do kościoła, potem w prawo, a może w lewo?* Było mi to obojętne, ponieważ postanowiłam opuścić lekcję. Pospaceruję dwie lub trzy godziny i zgubię się. Potem będą musieli mnie szukać po ciemku. Złośliwie wyobrażałam sobie minę matki. Rodzeństwo będzie się martwić i wszyscy będą za mną tęsknić. Bardzo spodobała mi się ta myśl.

Oślepiały mnie światła nadjeżdżających pojazdów. Płatki śniegu tańczyły wokół mojego nosa. Ciaśniej zawiązałam szalik. A potem nagle pojawili się przy mnie moi stali, źli towarzysze: samotność, rozpacz, smutek. Cała gra zaczęła się od nowa. W rzekomo bezpiecznej ojczyźnie moich rodziców.

Ciepłe łzy spadły na szalik, rozmazały widok i oddzieliły mnie od otoczenia. Złość zmieszała się ze smutkiem i sprawiła, że przyspieszyłam kroku. Nie zwracałam już uwagi, dokąd idę, biegłam po prostu dalej na oślep. Gdy dotarłam do doliny, błądziłam w kółko, chodziłam ulicami w górę i w dół, nie patrząc na prawo ani na lewo. Buty dawno już miałam przemoczone, drżałam na całym ciele i z zimna straciłam czucie w palcach. Żałowałam tylko, że w gniewie nie włożyłam czapki ani rękawiczek. Lekcja fletu dawno już minęła, musiałam jakoś wrócić do domu. Było mi potwornie zimno, od zewnątrz i od wewnątrz. Zatrzymałam się, spróbowałam ustalić, gdzie jestem. Nie znałam tej ulicy, poszłam jednak wzdłuż niej, ponieważ prowadziła w górę, a ja nie chciałam wracać do domu zwykłą drogą. Będą mnie szukać, tak, a ja się im schowam.

Mama będzie się o mnie bać, pomyślałam. Sytuacja była skomplikowana. Miałam rację, lecz nie odważyłam się nic powiedzieć. W Boliwii, odkąd miałam sześć lat, prześladowcy wmawiali mi, że nikt mi nigdy nie uwierzy. Minęły już trzy godziny i dobrze wiedziałam, że wszyscy mnie szukają. Za zainteresowanie z ich strony płaciłam zimnem, było mi to jednak obojętne, niech mnie szukają.

Jakiś samochód nadjechał z naprzeciwka i zahamował. Nie było to auto moich rodziców. Zwolniłam i obserwowałam je nieufnie. Mężczyzna za kierownicą opuścił szybę i zatrzymał pojazd tuż obok. Zerknął na mnie przyjaźnie brązowymi oczami. Spod szarej czapki wystawały ciemne loki. Z wnętrza pojazdu wydobywał się gęsty dym cygar.

– Jak masz na imię? Dokąd idziesz, chcesz, żebym cię kawałek podwiózł? – spytał brodaty mężczyzna przyjaźnie. – Jesteś zupełnie przemoczona i co w ogóle robisz o tej porze sama na ulicy? Mam cię zawieźć do domu?

Najchętniej przyjąłabym jego propozycję, w swoim roboczym ubraniu wyglądał właściwie całkiem sympatycznie. Spotkało mnie już jednak wiele złego, a po doświadczeniu z nauczycielem

gry na flecie nie ufałam nikomu.

– Nie, dziękuję, mój dom jest tuż za rogiem – odparłam.

Mężczyzna nie odpuszczał.

– Wsiądź, widzę przecież, że marzniesz. Nie musisz się mnie bać, jestem Heiri i widziałem cię już, jak błąkałaś się po mieście. Coś ci dolega? Dokąd właściwie idziesz? Czy twoi rodzice wiedzą, że się tu błąkasz?

Spanikowałam i bez zastanowienia uciekłam. Za samochodem zatrafił inny pojazd. Heiri zrezygnował i minął mnie, machając dłonią.

Nieco dalej znajdowała się niewielka szopa. Postanowiłam poczekać tam na rodziców. Płakałam teraz gorzko i pragnęłam gorąco, żeby po mnie przyjechali. Szopa dawała pewne schronienie przed ostrym wiatrem i zamiecią. Czekałam i czekałam. Moje ciało drżało niekontrolowanie, szczękałam zębami.

– Lepiej zamarznąć, niż iść na lekcję muzyki, lepiej umrzeć, niż być niewolnikiem. *Morir antes que esclavos vivir, morir antes que esclavos vivir, morir antes que esclavos vivir.*

Po cichu śpiewałam ten hymn sama dla siebie. Nagle tekst przestał mi pasować. Tupnęłam nogą i postanowiłam go zmienić.

– Lepiej żyć dobrze, niż być niewolnikiem! Lepiej żyć dobrze, niż być niewolnikiem!

Nie, nie chciałam umrzeć, w żadnym wypadku. Śpiewałam coraz głośniejsze, aż wreszcie wykrzykiwałam raz za razem pośród śnieżycy:

– Lepiej żyć dobrze, niż być niewolnikiem! Lepiej żyć dobrze, niż być niewolnikiem!

A potem zobaczyłam wreszcie wytęskniony samochód. Z ulgą wypełzłam z kryjówki i powlekłam się, tak szybko, jak pozwalały mi zeszywniałe z zimna nogi, przez gęste zasy na ulicę. Auto zbliżyło się, kierowca zatrafił. Dzięki Bogu, poznali mnie!

Mama ze łzami w oczach otworzyła drzwi i wybiegła mi naprzeciw.

– Och, Christino, tak długo cię szukaliśmy! Chcieliśmy już wezwać policję. Tak się cieszymy, że się znalazłaś!

Łkając, objęła mnie i prosiła o wybaczenie. Jakaż satysfakcja dla mnie. Opowiedziałam o Heirim, który chciał mnie podwieźć. Matka przeraziła się jeszcze bardziej i pochwaliła mnie za to, że nie wsiadłam do samochodu.

Problem z lekcjami gry na flecie rozwiązał się sam. Tuż po całym tym zajściu pośliznęłam się na oblodzonej ulicy i złamałam rękę. Ból, jaki musiałam znosić, był mi obojętny, uchronił mnie bowiem przed znacznie większym cierpieniem. Miałam szczęście w nieszczęściu. Przez kilka miesięcy nie musiałam chodzić do szkoły muzycznej, a potem przeprowadziliśmy się do własnego domu w innym kantonie.

Nastolatka

W trzecim roku naszego pobytu w Szwajcarii matka wydała na świat swoje szóste dziecko. Ojciec został tymczasem dyrektorem organizacji Wycliffe w Szwajcarii i dużo podróżował. Byłam z niego dumna, ale też bardzo mi go brakowało.

Sytuacja rodzinna stała się dla mnie bardzo ciężka. Mój szesnastoletni brat wciąż nie odnalazł się w Szwajcarii. Pewnego razu przed naszymi drzwiami stanął wściekły leśnik.

– Pani Krüsi, pani syn ściął w lesie cenne drzewo. To czyn karalny, zgłoszę to na policję!

Matka z wielkim trudem zdołała go przed tym powstrzymać. Wyjaśniła, że dorastaliśmy w dżungli i Philip często pomagał tam ścinać drzewa. Leśnik tak bardzo zdziwił się tą odpowiedzią, że zgodził się wyjątkowo nie zgłaszać zajścia.

Philip raz po raz wchodził w podobny sposób w konflikt ze szwajcarskim prawem.

Ze swoim nowymi przyjaciółmi przesiadywał niemal cały czas w mrocznej piwnicy na naszym osiedlu, w której był klub muzyczny. Moja matka była bardzo przemęczona i ledwo trzymała nerwy na wodzy. Czasami było tak źle, że wybiegała z krzykiem z domu. „Nigdy już nie wrócę” – słyszeliśmy wtedy i przez kilka godzin rzeczywiście jej nie było. Na ten czas przejmowałam w milczeniu rolę gospodyni, zajmowałam się domem, gotowałam, opiekowałam się młodszym rodzeństwem, pocieszałam je i odrabiałam z nim lekcje. Gdy matka wracała, wygłaszała nam wszystkim kazanie. Kochałam ją jednak i próbowałam pomagać, jak tylko mogłam. Moje młodsze rodzeństwo potrzebowało opieki, a matka pocieszenia. Często kładła się do łóżka chora lub z atakiem migreny, a ja czułam się wtedy odpowiedzialna za wszystko.

– Wiesz, Christino, najchętniej zasnęłabym i już nigdy się nie obudziła – jęczała czasami. Pocieszałam ją. Takie wypowiedzi nie były dla mnie nowością. Staralam się więc jeszcze bardziej dbać o wszystko, żeby poczuła się lepiej. Byłam odpowiedzialna za pieczenie chleba i chałek dla całej rodziny, pomagałam przy praniu i gotowałam, chodziłam na zakupy, rąbałam drewno i pracowałam w ogrodzie.

Przy stole zawsze modliliśmy się o to, żebyśmy dostali pieniądze na jedzenie. Rolnicy z naszej wspólnoty kościelnej często zostawiali nam przed drzwiami ziemniaki i inne warzywa. Dziękowaliśmy Bogu za wysłuchanie naszych modlitw. W duchu pragnęłam jednak, żeby mój ojciec miał normalny zawód i zarabiał dość pieniędzy, żeby utrzymać nas wszystkich. Gdy byłam pytana przez obcych ludzi lub w szkole o zawód ojca, mówiłam, że pracuje jako lingwista, badacz języka. Zaczęłam się bowiem wstydzić tego, że jest misjonarzem.

W duchu coraz bardziej buntowałam się też przeciw regularnemu chodzeniu do kościoła. Ledwo zdążyłam odnaleźć się w kościelnej grupie dla młodzieży i zaprzyjaźnić z kilkoma dziewczętami, spostrzegłam, że również tu nie jestem bezpieczna przed nowymi prześladowcami.

Podejrzywałam w duchu, że we wspólnocie dzieje się coś złego, dosłownie wyczuwałam niebezpieczeństwo. Czy to możliwe, żeby w szwajcarskim kościele również zdarzały się przypadki wykorzystywania seksualnego? Broniłam się przed takimi myślami, ale niestety moje przecucia wkrótce się potwierdziły. Jedna z moich przyjaciółek przez kilka tygodni nie przychodziła na spotkania młodzieży i stęskniłam się za nią. Pewnego dnia zadzwoniłam więc do niej do domu. Odebrała jej matka, a ja spytałam o przyjaciółkę.

– Tęsknię za Henrike, czy jest chora? Co się z nią dzieje? – Naprawdę się martwiłam, lecz nie spodziewałam się odpowiedzi, jaką usłyszałam.

– Właściwie nie powinnam mówić, ponieważ wspólnota zabroniła mi o tym otwarcie rozmawiać. Może jednak ty zdołasz jej pomóc, ona bardzo ci ufa.

Byłam bezradna, o co mogło jej chodzić? Usłyszałam, jak kobieta po drugiej stronie słuchawki płacze cicho.

– Co się dzieje z Henrike, co się stało?

Przez chwilę panowała cisza, a potem kobieta wykrztusiła:

– Henrike została zgwałcona.

– Kto to był? – bez zastanowienia wykrzyczałam te słowa do telefonu.

– Jeden z grupy młodzieży. Więcej nie mogę i nie wolno mi powiedzieć. Henrike czuje się naprawdę bardzo źle. Starszyzna wspólnoty dobrze się nią jednak zajmuje.

Byłam zszokowana, lecz od razu domyśliłam się, kim był sprawca. Zbyt często zdarzało mi się obserwować, jak przekracza granice wobec dziewcząt. Słyszałam, jak namawiał jedną po drugiej, by spotkała się z nim w sekretnym miejscu. Dobrze wiedziałam, że to on, i jak się okazało, miałam rację.

To wszystko sprawiało, że nie czułam się dobrze w kościele. Miałam oczy i uszy otwarte, ale nie ośmielałam się przeciwstawić rodzicom i przestać chodzić do kościoła czy na spotkania młodzieży. Przysięgam sobie jednak w duchu, że będę się pilnować i że nigdy więcej nie przytrafi mi się nic podobnego. Będę bardzo uważna.

Czułam się związana z Henrike, ponieważ połączyło nas cierpienie, choć nie opowiedziałam jej swojej historii. Zmieniała się bardzo i po pewnym czasie zerwała ze mną kontakt. Często myślałam o niej i o tym, jak mogłabym jej pomóc.

Dodatkowo zaczęły mnie również zajmować inne sprawy. Zauważyłam, że coraz więcej chłopców w szkole zaczyna się mną interesować. W przeciwieństwie do tych, przed którymi musiałam się mieć na baczności w Boliwii i w naszej wspólnocie kościelnej, ci nie wydawali się mieć złych zamiarów. Któregoś dnia na przerwie pewien chłopiec podał mi zwiniętą karteczkę. Wcześniej często obserwowałam, jak inne dzieci podają sobie takie karteczki, byłam jednak zbyt nieśmiała, by spytać, co się na nich znajdowało.

Naiwnie wzięłam karteczkę, rozłożyłam ją i przeczytałam na głos:

– Chcesz ze mną chodzić? – Zacerwieniona popatrzyłam na chłopca i spytałam wprost: – Gdzie?

Wszystkie dzieci wokół nas roześmiały się głośno i trwało dłuższą chwilę, nim wyjaśniono mi, o co naprawdę chodziło. Z jednej strony byłam bardzo dumna, z drugiej jednak wstydziłam się ogromnie i wyjąkałam, że mam dopiero czternaście lat i jestem na takie rzeczy za młoda.

Po tym wydarzeniu wszystko się dla mnie w szkole zmieniło. Zaczęłam również interesować się chłopcami. Podczas obozu narciarskiego zwróciłam uwagę na pewnego ucznia z równoległej klasy. Christof nie był bardzo wysoki, miał jednak pewny siebie uśmiech, który bardzo mi się podobał. Poza tym dobrze się uczył, co mi imponowało. Czułam pociąg do tego blond chłopca, a on najwyraźniej odwzajemniał moje uczucia. Dobrze się razem bawiliśmy, szaleliśmy na śniegu, nacieraaliśmy sobie twarze i goniliśmy się.

W przeciwieństwie do mnie Christof był świetnym narciarzem i absolutnym faworytem w zawodach organizowanych na zakończenie obozu. Ja dopiero rok wcześniej nauczyłam się jeździć na nartach. Powiedziałam mu, że niezbyt pewnie czuję się przed tymi zawodami, a on odparł:

– Najlepiej w ogóle się nie bać i zjechać po prostu jak najszybciej, nie myśląc o niczym.

Wielki dzień zbliżał się coraz bardziej. Gdy wreszcie stanęłam na górze na starcie, postanowiłam zapomnieć o strachu i dać z siebie wszystko. Nie miałam przecież nic do stracenia. Odważnie ruszyłam po stoku i nie myślałam o niczym więcej. Czułam tylko słońce i wiatr, byłam jak odurzona. Słyszałam wołania innych dzieci, które gorąco mnie dopingowały. Cały strach znikł, wydawałam się ulatywać. Nagle znalazła się przede mną meta, nie wiedziałam nawet, jak dotarłam do niej bez upadku.

Wszyscy byli zupełnie zaskoczeni i klaskali głośno.

– Wygrałaś! Wygrałaś! Jechałaś jak szalona. Mój Boże, baliśmy się o ciebie, szkoda, że nie mogłaś się zobaczyć!

Christof rzucił się mi przy wszystkich na szyję, by mi pogratulować.

– Mówiłem ci przecież. Kiedy zapomnisz o strachu, wszystko jest bardzo proste.

Cieszyłam się szalenie ze wszystkich gratulacji, ale zarazem wstydziłam się nieco, musiałam bowiem pędzić z góry jak wariatka. Wieczorem nagrodzono zwycięzców. Dla nas, uczniów, była to

upajająca uroczystość. Najpierw poproszono na podium Christofa. Byłam z niego taka dumna, gdy stał tam z medalem zwycięzcy na szyi.

Potem przyszła kolej na mnie.

– Najszybszą wśród dziewcząt jest – uwaga, uwaga – Christina Krüsi, nasza dziewczyna z dżungli!

Po ceremonii nauczyciel poprosił nas, żebyśmy jako pierwsza para rozpoczęli dyskotekę. *Do you really want to hurt me, do you really want to make me cry*, nie wiedziałam ani co mam myśleć o tej piosence, ani jak mam się zachować, ponieważ nigdy jeszcze nie tańczyłam z chłopakiem. Wszystkie oczy zwrócone były na nas, ale Christof wziął mnie po prostu w ramiona i poprowadził. Po chwili rozluźniłam się i zaczęłam cieszyć się tańcem.

– Popatrzcie, jaka ładna para, tak dobrze do siebie pasują. – Pomimo głośnej muzyki usłyszałam słowa nauczyciela i zawstydzona odwróciłam wzrok. Nie puszczaaliśmy się już i tańczyliśmy nieprzerwanie piosenka po piosence. Zdziwiłam się, że Christof nie chce wcale tańczyć z innymi dziewczętami, i nagle przyszło mi do głowy, że ma wobec mnie poważne zamiary. Ogarnęło mnie niedobre przeczucie i zaczęłam toczyć wewnętrzną walkę. Nie wolno mi było się w nim zakochać! Nie należał do mojego Kościoła, a zakochanie się w niechrześcijaninie było zabronione. Matka często ostrzegała mnie przed takimi związkami. Nie wiedziałam, co robić, udałam więc, że muszę pójść do toalety.

Zamiast wrócić na salę, zakradłam się do pokoju dziewcząt i położyłam na materacu. *Pomocy, pomocy, co mam robić?* Moje myśli kręciły się w kółko. Nie usłyszałam, jak otworzyły się drzwi, ale nagle poduszka wylądowała mi na głowie. Christof przyszedł za mną! W jednej chwili wywiązała się walka na poduszki, wszystkie troski uleciały, poczułam motylki w brzuchu, nie potrafiłam dłużej się opierać. Odrzuciłam wszelkie opory i w pewnej chwili cali spoceni wylądowaliśmy na poduszkach i zaczęliśmy całować się gorąco. Czas zatrzymał się w miejscu, dopóki nie nadeszły inne uczennice.

– Para zakochanych, para kochanków! – krzyczały głośno.

O Boże – przyszło mi do głowy. – Moi rodzice nie mogą się o tym nigdy dowiedzieć.

Pomimo obaw i trosk postanowiłam dać szansę naszemu związkowi. W szkole było to stosunkowo proste, jednak w czasie wolnym bardzo trudno było mi spotykać się z Christofem. Musiałam tak dużo pomagać w domu, że najwyżej raz w tygodniu udawało mi się umówić na spotkanie. Christofowi bardzo zależało, żeby widywać mnie częściej, dlatego raz po raz dzwonił do mnie do domu.

Matka szybko zauważyła, co się święci, i przeprowadziła ze mną poważną rozmowę. Ze łzami w oczach przyznałam, że zakochałam się po uszy.

– A czy ty w ogóle wiesz, że jego rodzice chcą wziąć rozwód?

Oczywiście wiedziałam o tym, ale co to miało z nami wspólnego?

– Gdy rodzice się rozwodzą, ma to wpływ na dzieci. Nigdy nie będziesz z nim szczęśliwa. Poza tym dobrze wiesz, co się stanie, jeżeli zwiążesz się z niechrześcijaninem. Lepiej by było, gdybyś od razu z nim zerwała!

Nie chciałam jednak rozstawać się z Christofem, ponieważ naprawdę bardzo go kochałam. W jego obecności czułam się bezpiecznie, a nasze rozmowy podczas spacerów nad Renem były po prostu cudowne. Mogliśmy rozmawiać o Bogu i świecie, nie mówiłam tylko o moim dzieciństwie. Pewnego dnia opowiem mu wszystko, przysięgam sobie w duchu i byłam pewna, że mogę Christofowi zaufać.

Rodzice obserwowali mnie z troską i przestrzegali przed strasznymi skutkami takiego związku. Rodzice Christofa rzeczywiście się rozwiedli i Christof przeprowadził się z matką do innego miasta. To skłoniło nas, by po roku z ciężkim sercem zakończyć nasze trudne relacje.

Nie miałam czasu oplakiwać pierwszej miłości, ponieważ pewnego dnia moja pięcioletnia siostra Stefanie zakradła się potajemnie do młodzieżowej piwnicy muzycznej na naszym osiedlu. To, co się tam stało, zmieniło zdecydowanie jej zachowanie. Krzyczała co noc, zgrzytała zębami i lunatykowała. Od tamtej pory była zupełnie odmieniona, nie potrafiła mi jednak powiedzieć, co się zdarzyło. Matka była tak wykończona nerwowo, że co noc sama wstawałam i kołysałam małą w

ramionach, nim ponownie zasnęła. Dobrze wiedziałam, że spotkało ją coś złego, nie wiedziałam jednak, co dokładnie i kto brał w tym udział. Czułam się za nią odpowiedzialna, a także niezwykle winna, ponieważ nie zdołałam jej ochronić.

Stuttgart

Te dwa lata bez naszego ojca były dla mnie wyjątkowo trudne. Musiałam jakoś skończyć szkołę. Gorąco pragnęłam przystąpić do matury, ale nie mogłam nawet o tym myśleć. Przy wszystkich obowiązkach domowych nie miałam na to po prostu czasu, poza tym matka uważała, że na pewno bym nie zdała.

Dotknęła mnie tym głęboko, choć wiedziałam, że biorąc pod uwagę moje oceny, miała rację. Ogromnie rozczarowana i pozbawiona złudzeń oddałam się malarstwu. Ćwiczyłam i czyniłam coraz większe postępy. Moim celem było dostać się do szkoły plastycznej. Egzaminy były wyjątkowo trudne. Miałam szansę zdać tylko po bardzo dobrym przygotowaniu. Rodzice znali pewną chrześcijańską artystkę ze Stuttgartu. Gertrude Tonne była uczennicą Idy Kerkovius i podróżowała z nią przed wieloma laty. Złożyła mi propozycję, na którą chętnie przystałam. Syn malarki był szczęśliwie żonaty, miał troje dzieci i czwarte w drodze. Miałam pomagać w domu młodej rodziny, a w zamian otrzymywać bezpłatnie lekcje.

Miałam szesnaście lat i cały rok lekcji malarstwa przed sobą – spełnienie moich marzeń!

Nowa nauczycielka mieszkała z mężem, odnoszącym sukcesy wynalazcą i przedsiębiorcą, w olbrzymiej willi na wzgórzu na przedmieściach Stuttgartu, z przepięknym widokiem na miasto. Zostałam zakwaterowana na pierwszym piętrze. Mój pokój był bardzo mały, ale miałam osobną łazienkę tylko dla siebie. Nieoczekiwanie zamieszkałam zatem znowu w bogatym domu. Byłam wdzięczna, że mogę uciec od rodziny, zlekceważyłam jednak fakt, że oto znajdę się sama w obcym kraju.

Przez pierwsze trzy miesiące bardzo tęskniłam za domem. Brakowało mi zwłaszcza młodszego rodzeństwa, byli jeszcze tacy mali i potrzebowali mnie, szczególnie Stefanie. Co zrobi teraz mama bez mojej pomocy? Dopiero później dowiedziałam się, że przyjęła amerykańską dziewczynę do pracy jako *au-pair*.

Do tego dochodziła tęsknota za Christofem. Im dłużej nie byliśmy razem, tym większe miałam wątpliwości, czy podjęłam słuszną decyzję. On także żałował rozstania, mogłam wyczytać to z jego listów. Zapewniał, że nadal mnie kocha, nie odważałam się jednak mu odpowiedzieć. Nie miałam odwagi ponownie się z nim związać, ponieważ była to droga donikąd. Nie chciałam sprawiać mu bólu, sądziłam więc, że najlepiej będzie nie odpowiadać na listy.

Z wielkim zapałem rzuciłam się w wir pracy. Dom młodej stuttgartarckiej rodziny leżał u stóp wzgórza, dziesięć minut drogi pieszo. Zaczynałam tam pracę punktualnie o siódmej. Miałam bardzo dużo obowiązków, które wykonywałam pilnie i sumiennie. O trzeciej po południu wracałam do willi, do atelier. Zawsze wbiegałam na wzgórze, licząc stopnie. Z każdym stopniem cieszyłam się coraz bardziej na to, co mnie czekało. *Dwieście czterdzieści jeden, dwieście czterdzieści dwa, wreszcie na szczycie!* Przy drzwiach musiałam nieco ochłonać. Nie mogłam po prostu otworzyć swoim kluczem i wbiec do pracowni, nie, musiałam zadzwonić i odczekać chwilę. Mąż Gertrude zainstalował nowy system alarmowy, który przed otwarciem drzwi trzeba było najpierw wyłączyć. Proces ten za każdym razem wywierał na mnie duże wrażenie – jak bardzo byli bogaci? Wcześniej nie znałam nikogo, kto używałby systemu alarmowego.

Mojej nauczycielce udało się bardzo szybko trafić mi do serca. Zawsze witała mnie i obejmowała serdecznie, po czym zaraz prowadziła do stołu. Rozpieszczała mnie ciastem z kruszonką lub preclami, które tak bardzo lubiłam. W atelier stała zawsze duża misa owoców. Pracowałyśmy tam razem, często do późnej nocy. Mimo siwych włosów i prostej fryzury na pazia Gertrude, ze swoją energią i poczuciem humoru, wydawała się młoda. Interesowała się wszystkim i wypytywała mnie, jakiej muzyki słuchają teraz młodzi ludzie, jakie książki są „na topie” i co robi młodzież w czasie wolnym. Poza tym była wymagająca, co bardzo odpowiadało moim

oczekiwaniom. Chłonełam wiedzę niczym gąbka.

– Christino, oczekuję, że co tydzień przeczytasz książkę jakiegoś artysty i napiszesz krótkie streszczenie – poleciła mi. Pod jej nadzorem ćwiczyłam i malowałam pilnie.

Moi gospodarze byli pobożnymi ludźmi i żyli zgodnie ze swoją wizją chrześcijaństwa. Pan domu jako naukowiec i intelektualista miał wiele pytań dotyczących Biblii. Często organizowali więc w swojej willi spotkania biblijne, na które zapraszali kaznodziejów i nawet do czterdziestu gości.

Byłam przedstawiana jako uzdolniona córka misjonarzy. Uzdrowiciele raz po raz zwracali się do mnie i twierdzili, że zostałam pobłogosławiona darem Ducha Świętego i powinnam z niego korzystać. Również na tych spotkaniach ludzie często zapadali w trans i mówili niezrozumiałymi językami. Najczęściej siedziałam wtedy z tyłu sali w nadziei, że nikt mnie nie zagadnie. Mimo to wielokrotnie byłam wzywana, aby tłumaczyć te posłannictwa. Mówiłam zatem po prostu to, co przyszło mi do głowy. Nie wyobrażałam sobie, żeby moje wypowiedzi mogły być prawdziwym tłumaczeniem, ponieważ nie znałam żadnego z tych języków. Mężczyźni i kobiety przyjmowali jednak moje słowa, które najwyraźniej miały dla nich jakieś znaczenie.

Dziwiłam się, dlaczego dorośli nie potrafią sami zrozumieć tych tak zwanych posłannictw. Jaki sens miało to przemawianie językami, jeżeli nikt nie potrafił ich zrozumieć? Dlaczego Bóg miałby chcieć rozmawiać z ludźmi w tak skomplikowany sposób? Stawiano mnie na piedestale, na którym wcale nie chciałam się znaleźć. Czułam, jaką moc mi przypisywano, i zaczynałam odgrywać specjalną rolę – tę, którą znałam już z Boliwii. Wybranka. Znowu. Zaczęłam obserwować ludzi, zastanawiałam się nad ich zachowaniem i ich wiarą. Wkrótce przejrzałam mechanizm powstawania tych zależności – jedni potrzebowali pomocy, inni pieniędzy. Nie podobało mi się to i coraz częściej budziło moje wątpliwości.

Pomimo pracy i nauki jeszcze nigdy w życiu nie miałam tyle spokoju, co w tamtym czasie. Nikt nie przeszkadzał mi w rozmyśleniach, podczas malowania i nauki ani nocami. Spokój ten jednak fatalnie na mnie wpływał. Miałam czas i korzystałam z niego intensywnie. Zaczęłam toczyć wewnętrzną walkę między sumieniem a rozumem. Coraz częściej myślałam o swoim dzieciństwie. Nasiliły się nocne koszmary, wciąż te same, które towarzyszyły mi od najmłodszych lat. Często budziłam się złana potem. Im bardziej oddawałam się twórczości i im dłużej studiowałam dzieła innych artystów, tym bardziej chciałam, by prawda wypłynęła na wierzch.

„Co tkwi we wnętrzu człowieka, wyraża się na zewnątrz”. Była to jedna z podstawowych zasad mojej nauczycielki dotyczących procesu tworzenia. Nie potrafiłam jednak wydobyć moich najgłębszych przeżyć, kurczowo trzymałam je w sobie. Narastało we mnie pragnienie, by wreszcie przemówić, lecz strach wpojony mi przez prześladowców w Boliwii nadal zwyciężał. Próbowałam malować same piękne rzeczy, czasami nie potrafiłam jednak powstrzymać bólu, tworzyłam więc potajemnie w swoim pokoju. Wspominałam tęsknie rozmowy z Christofem. Czy rzeczywiście powinnam była się z nim rozstać? On by mnie zrozumiał, nadal darzyłam go głęboką miłością. To była rozpacзлиwa sytuacja.

Im bardziej przypominałam sobie dzieciństwo, tym bardziej czułam, że spoczywa na mnie wielki ciężar. W dodatku zadania, którymi byłam obarczana podczas spotkań organizowanych przez moich gospodarzy, stawały się dla mnie coraz większym brzemieniem, a oczekiwania wobec mnie stale rosły. Znowu znalazłam się pod presją, której sobie nie życzyłam. Stopniowo traciłam apetyt, co nawet mi odpowiadało. Im mniej jadłam, tym lżejsza się czułam. A im lżejsza się czułam, tym bardziej liczyłam na to, że otoczenie dostrzeże wreszcie tę wewnętrzną kruchość, moi rodzice także.

Jadłam tylko wtedy, gdy musiałam. Moja mentorka pierwsza zdziwiła się, że odmawiam posiłków. Powiedziałam jej, że chcę pościć, co początkowo było bardzo dobrym argumentem. W kręgach chrześcijańskich post stanowił wielce poważany rytuał – mimo to nauczycielka była zaskoczona. Martwiła się, czy w moim wieku jest to rozsądne. Uspokoila ją, mówiąc, że moi rodzice często poszczą i że dla mnie też nie jest to pierwszy raz. Wkrótce spostrzegłam, że ubrania wiszą na mnie. Czułam się zmęczona, ale zadowolona. Potem kilogramy zaczęły dosłownie znikać. Teraz już wszyscy się o mnie martwili. Ja sama w milczeniu oddawałam się po prostu malowaniu.

Po siedmiu tygodniach stało się oczywiste, że młoda uczennica ma problem. Wciąż pytano mnie, co się ze mną dzieje. Unikałam ludzi albo wymyślałam różne wymówki i nie miałam odwagi, żeby wyjawiać, co rzeczywiście mnie dręczy.

Pewnego dnia Getrude uznała, że nie będzie przyglądać się temu dłużej, i razem z mężem poprosiła mnie do salonu.

– Christino, musimy przeprowadzić z tobą poważną rozmowę. Bardzo się o ciebie martwimy. Coś ci dolega. – Próbowałam się wykręcić, ale nie dopuszczali mnie do słowa. – Ile już schudłaś, czy w ogóle to wiesz? Wyglądasz na bardzo wychudzoną, nie możemy cię tak wymizerowanej posłać na ferie do domu, twoi rodzice przeraziliby się okropnie twoim wyglądem. To już na pewno ponad pięć kilo.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ponieważ sama nie miałam pojęcia, ile schudłam. Kazali mi pójść do łazienki i stanąć na wadze. Wynik był przerażający, bo choć nigdy nie byłam pulchna, zrzuciłam aż dziesięć kilogramów.

– Tak bardzo tęsknię za domem, że nie mogę nic przełknąć – próbowałam ich uspokoić.

Zadzwonili więc do moich rodziców i ustalili, że wyślą mnie na dwa tygodnie do domu.

Miałam zatem pojechać na wakacje i po siedmiu miesiącach spędzonych w Niemczech znowu zobaczyć rodzinę.

Następnego dnia siedziałam już w pociągu do Szwajcarii. Lżejszą o dziesięć kilogramów, z wyraźną niedowagą i wyczerpaną nerwowo odebrano mnie z dworca.

Na pewno rodzina również zauważy, że coś jest ze mną nie tak – myślałam z nadzieją. – Wtedy opowiem im wszystko, po prostu wszystko. Maluchy nie wypuszczały mnie z objęć, wszyscy się cieszyli. Matka objęła mnie i stwierdziła:

– Wyglądasz bardzo dobrze, wreszcie zrzuciłaś ten dziecięcy tłuszcz.

Rozczarowanie było olbrzymie. Jak miałam jej teraz wyznać, co mi dolega?

Najlepsze dzieciństwo?

Również po powrocie do domu nie wrócił mi apetyt. Bardzo lubiłam spędzać czas z młodszym rodzeństwem, ale w mojej duszy panowała pustka. Kościołem nie interesowałam się wcale, nie miałam jednak szansy przed nim uciec. Chodzenie do kościoła i na spotkania grupy młodzieży było po prostu moim obowiązkiem, nawet w czasie tych krótkich ferii.

W grupie zostałam powitana z radością. Dopiero teraz zauważyłam, że nie mam wcale przyjaciół poza tymi z kościoła. Kierownik stwierdził, że wyglądam doroślej i dojrzalej, jestem może nieco za szczupłą, ale oczywiście jeszcze piękniejsza niż wcześniej. Dwóch młodych mężczyzn wyraźnie okazywało zainteresowanie mną, co bardzo mi się podobało. Dzięki temu miałam poczucie bycia pożądaną. Nie uszło to uwagi kierownika grupy, który jeszcze tego samego wieczoru poruszył temat seksualności i małżeństwa.

– Czeka was nieszczęście, jeżeli rozpoczniecie życie płciowe przed ślubem, ponieważ jest to grzech śmiertelny. Takie małżeństwa skazane są na niepowodzenie, zostało to dowiedzione statystycznie. Niech wasze ciała będą niesplamione i czyste, pomimo waszych popędów. Wy, mężczyźni, powinniście zrezygnować z masturbacji, która plami myśli i szkodzi duszy. W bezpiecznych ramach małżeństwa kobieta powinna poddawać się mężczyźnie. Oznacza to, że o każdej porze jest do jego dyspozycji. Słyszałyście, piękne panie, nie musicie kochać mężczyzn, tylko ich poważać!

Podczas tego kazania zrobiło się mi nieswojo. O jakich statystykach mówił, w jaki sposób można było dowieść czegoś takiego? Jak moje przyszłe małżeństwo miało być udane, skoro w dzieciństwie byłam setki razy zmuszana do seksu? Spytałam, dlaczego kobiety nie muszą kochać mężczyzn, ale o każdej porze być do ich dyspozycji.

Odparł:

– Wy, kobiety! Macie szczęście, że jesteście kochane. Wasi mężowie muszą was kochać i dbać o was, a zatem mają znacznie trudniej niż wy, które musicie się tylko poddawać.

Temat był dla mnie wyjątkowo bolesny. Właśnie teraz, gdy czułam się tak słabo i źle. Po modlitwie prowadzący podszedł do mnie i stwierdził, że dwaj młodzi mężczyźni, którzy okazywali mi zainteresowanie, nie są dla mnie dość dobrzy. Lepiej będzie, jeśli znajdę inne towarzystwo. Jako córka misjonarza mam obowiązek związać się z kaznodzieją lub jednym z duchowych przywódców.

Byłam w szoku. Nie chciałam wcale słyszeć o tamtych dwóch, z którymi ledwo zamieniłam kilka słów. Wcale mnie nie interesowali. Uważałam jednak, że prowadzący nie miał prawa mieszać się do moich osobistych spraw. Głęboko urażona zastanawiałam się, czy w ogóle mogłabym zainteresować się którymś z grupy kościelnej. Christof, tak, Christof mnie interesował. Czy jeszcze go kiedyś zobaczę?

Wewnętrzna presja narastała, prawda chciała wydostać się z mojej duszy. Napierała i nie pozwalała się dłużej kontrolować. Koniecznie chciałam opowiedzieć matce o zajściach w Boliwii, zanim będę musiała wrócić do Stuttgartu, w przeciwnym razie znowu wszystko bym w sobie pogrzebała, dobrze to wiedziałam. Nie znajdowałam jednak siły, by pokierować rozmowę na ten temat. Czułam się słaba fizycznie i wyczerpana psychicznie. Moja dusza, wygłodniała i zmęczona, pragnęła wyzwolenia.

Rodzina nie dostrzegała, co się ze mną dzieje. Najwyraźniej nauczyłam się zbyt dobrze ukrywać uczucia. Całe noce płakałam w poduszkę. Potem postanowiłam zacząć trenować biegi. Musiałam w jakiś sposób wydostać się z tego paskudnego dołka. Przypomniałam sobie, jak Christof nauczył mnie biegać w lesie, dobrze się wtedy bawiliśmy, choć zawsze potrafił biec szybciej i dłużej ode mnie. Tym razem kosztowało mnie ogromnie dużo wysiłku, by zebrać się do

pierwszego biegu.

W lesie zrelaksowałam się, poczułam się lżejsza i silniejsza. Potruchtałam powoli na wzgórze. Ze szczytu popatrzyłam na Ren, przepiękną rozległą równinę i małe wioski. Lekki wietrzyk rozwiewał mi włosy. Moje ciało nie było już tak sprawne jak przed kilkoma miesiącami. Oddychałam głęboko, by się uspokoić. Tu, w górze, ponad wszystkim, czułam się wolna. Rozpostarłam ramiona i wyobraziłam sobie, że lecę przez dolinę, ponad równiną, ponad Renem, ku najwyższym drzewom. Wolna i lekka. Z przerażeniem stwierdziłam, że oduczyłam się marzyć. Dawniej znajdowałam ucieczkę i ulgę w wyobraźni, lecz dziś już tylko sztuka trzymała mnie przy życiu. W pewnej chwili przypomniałam sobie Christofa. Jak się mu wiodło, co porabiał?

W drodze do domu postanowiłam wyznać matce prawdę o moim dzieciństwie. Na pewno zaopiekuje się mną i zrozumie – taką miałam nadzieję. Z zacisniętymi pięściami pobiegłam do domu, pilnie potrzebowałam pomocy, zebrałam więc całą odwagę. Spoczywał na mnie zbyt wielki ciężar, teraz albo nigdy!

Na miejscu z trudem wyczekałam, aż będę mogła przez chwilę porozmawiać z matką sama w salonie. Szybko zamknęłam za sobą drzwi.

– Mamo, muszę ci koniecznie coś powiedzieć – wyrzuciłam. – W dzieciństwie w Boliwii przytrafiły się mi straszne rzeczy. – Musiałam nabrać powietrza. O Boże, jak zareaguje? – Na pewno zauważyłaś, że coś mi dokucza. – Czy naprawdę mogła niczego nie zauważyć? Musi mi uwierzyć, musi mi uwierzyć! Ponownie zacisnęłam pięści, ale jeszcze zanim mi odpowiedziała, dostrzegłam w jej oczach całkowite zdumienie i niezrozumienie.

– Co ty mówisz? Przeżyłaś straszne rzeczy? Co masz na myśli?

Serce waliło mi i niemal pękło.

– Mamo, przydarzyło się mi najgorsze, co może się przydarzyć dziewczynce! Rozumiesz? Najgorsza rzecz na świecie!

Więcej nie przeszło mi przez usta, ponownie zawładnął mną strach. Zrozpaczona szukałam w oczach matki zrozumienia. Już jednak przegrałam, wyraźnie to czułam. Prześladowcy znowu mieli nade mną władzę, ponownie byłam ich więźniem.

– Ależ Christino, miałaś najlepsze dzieciństwo, jakie można sobie wymarzyć. Nigdy nie przytrafiło ci się nic strasznego. Nie, Christino, możesz być wdzięczna Bogu, że podarował ci tak swobodne, naturalne i ciekawe dzieciństwo. Inne dzieci cieszyłyby się z takiego bezpiecznego, chrześcijańskiego życia jak twoje.

Nie zdołałam już nic powiedzieć, strach, że mi nie uwierzy, odebrał mi mowę i ścisnął gardło. Zniknęła cała moja odwaga. Zawstydzona wpatrywałam się w ziemię i kiwałam głową.

– Mam nadzieję, że wszystko z tobą w porządku. Naprawdę bardzo schudłaś. Może jesteś chora? – Mama podparła głowę w zamyśleniu.

Byłam jak sparaliżowana. O Boże – pomyślałam. – To rzeczywiście prawda. Wszystko, co mówili nam wtedy mężczyźni, jest prawdą. Mama mi nie wierzy. Naprawdę mi nie wierzy. Ja miałam najpiękniejsze dzieciństwo? Najpiękniejsze na świecie? Gdyby tylko zechciała poznać prawdę...

– Mamo, mamo, muszę siusiu. – Stefanie wyciągnęła matkę z pokoju.

Siedziałam dalej bez ruchu, choć wszystko we mnie wirowało. Mieli rację. Nie mogę nigdy nikomu zdradzić mojej tajemnicy.

Egzorcyzmy

Kilka dni później po mszy świętej zagadnęła mnie w kościele pewna kobieta. Stwierdziła, że jestem bardzo chuda, i spytała, czy może porozmawiać ze mną przez chwilę w sąsiedniej sali. Bóg przekazał jej bowiem, że powinna mi pomóc. Nieco zdumiona, lecz z nadzieją podążyłam za nią.

– Christino, słabo cię znam, mam jednak wrażenie, że coś jest z tobą nie w porządku – zaczęła kobieta i położyła mi rękę na ramieniu.

Wstrzymałam oddech. Ja również nie znałam jej zbyt dobrze, ale w kościele uchodziła za kobietę napełnioną Duchem Świętym. Czyżby Bóg powiedział jej, że potrzebuję pomocy? Czy wreszcie ktoś zauważył, że w Boliwii nie wszystko działa się tak dobrze, jak wszyscy sądzili? Czy jednak będę mogła uwolnić się od mojego ciężaru, mojej tajemnicy, i otrzymać pomoc? Patrzyłam na nią z nadzieją, a łzy płynęły mi po twarzy.

– Tak, rzeczywiście coś mi dolega – wyjąkałam.

Przerwała mi:

– Sądzę, że musiał opanować cię zły duch. Trzeba go wypędzić. Bóg dał mi dar wypędzania takich duchów.

Nie wiem, czy świat może zatrzymać się w miejscu, ale w tamtej chwili tak właśnie się poczułam. Zupełnie nieporuszenie wpatrywałam się w kobietę. Co takiego? Jestem opanowana przez złego ducha? Słowa te trafiły mnie prosto w serce i sprawiły, że z miejsca zeszytniałam. Nie byłam na coś takiego przygotowana. Boleśnie dotknięta wbijałam wzrok w ziemię. Co chciała mi przez to powiedzieć? *O Boże, nie może przecież naprawdę sądzić, że noszę w sobie złego ducha? Byle nie egzorcyzmy, dobry Boże, proszę, byle nie egzorcyzmy, nie ja!*

Bałam się szalenie egzorcyzmów, zbyt dobrze bowiem znałam te praktyki. Często byłam ich świadkiem na licznych chrześcijańskich zgromadzeniach, na obozach dla młodzieży, a także w Stuttgarcie. Zdarzali się ludzie, którzy szukali pomocy, ponieważ byli uzależnieni od narkotyków lub stracili chęć życia. Bardzo często odprawiano wtedy egzorcyzmy. Byłam jednak też świadkiem, jak przeprowadzano ten rytuał również na innych osobach, nawet na małych dzieciach.

Każdy kaznodzieja miał własny sposób odprawiania egzorcyzmów. Najczęściej polegały one na wielokrotnym odmawianiu głośno i żarliwie modlitw nad daną osobą. Niektórzy namaszczeni byli na czole olejem, zgodnie z tym, co napisano w Biblii. Widziałam, jak padali na ziemię, kulili się, miotali lub dostawali drgawek, inni zaś krzyczeli przeraźliwie. Śpiewano też wtedy różne pieśni, powtarzając je po wiele razy, dzięki czemu tworzono pełną napięcia atmosferę.

Podczas tych egzorcyzmów zwykłam liczyć powtórzenia, żeby czymś się zająć, ponieważ nie mogłam się doczekać, aż zebrani padną sobie wreszcie w ramiona i na tym wszystko się skończy. Pomimo powszechnej radości i świadectw wspaniałego wyzwolenia od zła, jakie dawali niektórzy, obrzędy te zawsze napawały mnie tylko strachem i niesmakiem.

Nie – myślałam. – Nie opanował mnie żaden zły duch. Przez kilka chwil siedziałam tak w milczeniu i wsłuchiwałam się w siebie. Nie zrobiłam nic, czego musiałabym się wstydzić, nikogo nie skrzywdziłam. Nie, nie miałam w sobie złego ducha. Jedynym, co chciałam z siebie wyrzucić, była prawda.

– Czy chcesz, żebym wyгнаła z ciebie złego ducha? Wtedy na pewno poczujesz się lepiej – wyszeptała kobieta.

Gwałtownie pokręciłam głową. Skąd miałyby wiedzieć, co we mnie jest, a co nie? Za nic nie chciałam dopuścić, by odprawiła nade mną taki rytuał.

– Widzisz, duch broni się w tobie, Christino. Nie chce z ciebie wyjść. Musisz przegnać go z serca, inaczej nigdy cię nie opuści! – naciskała kobieta i objęła mnie jeszcze mocniej.

Byłam w pułapce. Czy zamierzała porozmawiać z moimi rodzicami? To byłoby dla mnie

jeszcze gorsze. W żadnym wypadku nie chciałam, by ktokolwiek dowiedział się o tej rozmowie. Kobieta naciskała dalej i zapewniała, że Bóg polecił jej wypędzać złe duchy. Czułam tak wielką presję, że ustąpiłam. Pragnęłam tylko jednego – pójść wreszcie do domu.

– Proszę – błagałam. – Jeżeli Bóg jest silniejszy od złego ducha, mogę przecież sama pomodlić się o to, by ten mnie opuścił.

Na to kobieta wyjaśniła mi szczegółowo, że w świecie duchowym nie jest to takie proste. Jezus wypędzał duchy, apostołowie zaś naśladowali Go w tym. U nich wracało jednak dwa razy więcej duchów, niż wygnali, a tego nie chcemy przecież ryzykować.

Ledwo słuchałam, co mówi, pragnęłam jedynie, żeby zostawiła mnie w spokoju. Nie byłam opętana. Wiedziałam to dobrze. Ponieważ jednak nie potrafiłam wyznać prawdy, musiałam poddać się rytuałowi. Poprosiłam tylko kobietę, by nie rozmawiała o tym z nikim, jako że bardzo się wstydzę, bo chcę przecież poświęcić życie Bogu. Zgodziła się.

Wyjęła z torebki małą buteleczkę. Wtarała mi olej w czoło. Postanowiłam nie krzyczeć, choć byłam tego świadkiem przy innych egzorcyzmach. Pozwolę z całym spokojem przeprowadzić na sobie rytuał i nigdy już nie pisnę ani słówka na temat mojego dzieciństwa. Nigdy więcej. Intensywna modlitwa zdawała się trwać w nieskończoność, stwierdziłam zatem, że muszę ją wreszcie jakoś przerwać. Powiedziałam cicho, że zły duch mnie opuścił:

– Teraz go już nie ma. Czuję się wyzwolona i lekka. – Oczywiście zostałam o to jeszcze wielokrotnie zapytana i musiałam w kółko potwierdzać, że wszystko jest już dobrze.

Po tym zajściu czułam się głęboko upokorzona. Jedyne, co we mnie tkwiło, to prawda, która chciała ujrzeć światło dzienne – na tym polegał mój problem! Przez to wydarzenie straciłam nadzieję, że kiedykolwiek będę mogła komukolwiek opowiedzieć, co naprawdę spotkało mnie w dzieciństwie. Postanowiłam zacząć więcej jeść, ponieważ w żadnym razie nie chciałam już zwracać na siebie uwagi i ponownie doświadczyć czegoś podobnego.

Bicie dzwonu

W ostatnią sobotę przed moim wyjazdem do Stuttgartu grzecznie udałam się wieczorem na spotkanie grupy młodzieży.

Gdy skończyliśmy śpiewać, podszedł do mnie pewien młody człowiek.

– Pamiętasz jeszcze Christofa? Chodzi do tej samej klasy co ja i przypadkiem zaczęliśmy o tobie rozmawiać. Opowiedziałem mu, że spędzasz właśnie ferie w Szwajcarii i że zobaczę się z tobą na spotkaniu naszej grupy.

Popatrzył na mnie znacząco. Zanim zdołałam uspokoić bicie serca i odpowiedzieć na pytanie, dodał:

– Myślę, że mu się podobasz. O mało co nie przyszedł tu dziś wieczorem. Miałem przekazać ci, żebyś się do niego odezwała.

Wszystko się we mnie radowało. Christof!

Jego szkolny przyjaciel jeszcze nie skończył, najwyraźniej chodziło mu nie tyle o mnie, ile o Christofa, którego chętnie sprowadziłby do naszej wspólnoty.

– Od pewnego czasu zajmują go tematy religijne, a ja długo już próbuję przyprowadzić go na spotkanie młodzieży i nawrócić. Może będziesz mieć więcej szczęścia ode mnie? Jest pozytywnie nastawiony do wiary, ale nie wie, czemu, ma jeszcze wątpliwości co do naszej wspólnoty.

Ledwo go słuchałam, kiwałam grzecznie głową i myślałam już tylko o Christofie. Miałam nadzieję, że nie opowiedział o nas swojemu szkolnemu koledze, któremu obiecałam, że zadzwonię do Christofa. Od tej chwili nie wiedziałam już zbyt dobrze, gdzie się znajduję. Kręciło się mi w głowie – Christof, moja wielka pierwsza miłość, zakazana miłość mojego życia! Opanowały mnie nagle przejmujący ból i smutek. Wspomnienia naszych wspólnych spacerów, jego uśmiechu, pytającego spojrzenia – wszystko to przelatywało mi w ułamkach sekund przez głowę.

– Czy wybierzesz się z nami do restauracji na lody, Christino? – spytał jeden z młodych mężczyzn.

Drgnęłam i spróbowałam zebrać myśli. W tej chwili nie miałam w ogóle ochoty zostać z grupą. Miałam w głowie tylko jedno – Christofa. Mimo to postanowiłam pójść z nimi, żeby odwrócić w ten sposób swoją uwagę od wspomnień i od zadawnionego bólu. Powstrzymałam łzy i cieszyłam się, że zapadł już zmrok, gdy wychodziłam z pozostałymi z kościoła i dreptałam za nimi jak w transie. Niczym błyskawica przyszło mi na myśl, że będziemy mijać mieszkanie Christofa. Zaczęłam drzeć, zmiękły mi kolana. Czy naprawdę chciał mnie znowu zobaczyć? I to po tym, jak zostawiłam go z powodu Kościoła? Czy nie był na mnie zły?

Nieznacznie zwolniłam, aż znalazłam się na końcu dużej grupy. W to sobotnie popołudnie na uliczkach panował ożywiony ruch, wielu młodych ludzi tłoczyło się wokół nas, dla nich wieczór dopiero się zaczynał. Nagle zobaczyłam z daleka dom, w którym mieszkał Christof. Przyciągał mnie magiczną siłą. Bezwolnie skierowałam wzrok w górę, ku pierwszemu piętru budynku. W całym mieszkaniu paliło się światło, również w pokoju Christofa. Jest tam, przyszło mi do głowy. Od drzwi dzieliło mnie tylko parę metrów. Trzęsłam się cała, myśli wirowały, a potem, choć nie zdecydowałam o tym świadomie, nogi zaprowadziły mnie za róg następnego domu. Stałam tam cicho przez kilka sekund i drżałam w ciemności. Grupa poszła dalej, kroki milkły stopniowo, nikt nie zauważył, że mnie brakuje – dzięki Bogu! Ostrożnie wyjrzałam zza rogu. Zostałam sama.

Stałam z drżącymi dłońmi przed drzwiami, położyłam palec na dzwonku. Powinam czy nie powinam? Czy się ucieszy? Czy miał inną dziewczynę? Palec mi drgnął i dzwonek odezwał się głośno. Wstrzymałam oddech. Otworzyło się okno.

– Kto tam? – Był to głos Christofa, poznałam go od razu.

– To ja, Christina! Przeszkadzam ci, czy masz dla mnie chwilę czasu? – zapytałam nieśmiało.

– Jasne, wejź!

Z ulgą wbiegłam po schodach. Nie widzieliśmy się ani nie kontaktowaliśmy ze sobą od ponad dziesięciu miesięcy. Dla mnie była to cała wieczność.

A potem stanął przede mną. Wciąż ten sam. Objęliśmy się. Łzy pocięły mi po twarzy.

– Chodź do mojego pokoju, Christino, chodź szybko, moja mama wyszła, jestem sam w domu.

Usiedliśmy na jego łóżku. Nic nie zmieniło się od czasu mojej ostatniej wizyty dawno temu w jego pięknym pokoju. Otarł mi dłonią łzy z twarzy. Potem czule pogłaskał po długich włosach. Już sam ten miły gest był jak balsam dla mojej duszy. Wstydziłam się, ale łzy jeszcze mocniej popłynęły mi po policzkach.

– Czemu płaczesz, Christino? Schudłaś, jesteś naprawdę krucha. Powiedz, co się z tobą dzieje, czy coś ci dolega? Tęskniłem za tobą bardzo, a teraz jesteś tu, ni stąd, ni zowąd, u mnie – wyszeptał, trzymając moją głowę w dłoniach i patrząc mi zatroskany w oczy.

Pokręciłam zasmuconą głową, rzeczywiście coś mi dolegało, czułam się naprawdę źle. Od razu to zauważył, ale nie chciałam teraz o tym rozmawiać, pragnęłam tylko czuć jego bliskość. Objął mnie i trzymał w serdecznym uścisku. To było takie dobre. Potem pocałował mnie czule w usta. Najpierw delikatnie i lekko, jakbym była z porcelany, potem mocniej. Zauważyłam, że z trudem się powstrzymuje.

Cieszyłam się każdą chwilą i czułam, jak moje ciało się rozluźnia. Całowaliśmy się namiętnie, miałam wrażenie, że szybuję. Tak, ulatywałam wysoko i swobodnie. Czułam tęsknotę za wolnością i pozwalałam się jej unosić. Nasze ciała przylgnęły do siebie. Moja dusza odnajdowała powoli spokój, nie byłam już sama, znalazłam kogoś, komu mogłam zaufać i kto mnie rozumiał. Trzymaliśmy się mocno w ramionach i leżeliśmy tak przez chwilę na łóżku, ciasno objęci. Nadal nie potrafiłam jednak powstrzymać potoku łez. Christof znieruchomiał i spojrzał na mnie badawczo. Po chwili zaczął delikatnie i z wyczuciem zadawać pytania.

– Christino, co się dzieje? Coś jest nie tak! Powiedz mi, proszę, jestem tu dla ciebie, możemy porozmawiać o wszystkim, jeśli tylko chcesz.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, byłam mu tak wdzięczna, a jednak nie wydobyłam z siebie ani słowa. Christof nie odpuszczał i zaczął wypytywać mnie o grupę młodzieży.

– Czy spotkało cię tam coś złego? Czy ktoś zrobił ci coś, czego nie chciałaś?

Nie potrafiłam odpowiedzieć, łkałam i ciągle wstrzymywałam oddech.

– A może coś ci się przytrafiło w Stuttgarcie?

Pokręciłam głową. Nie przestawał zadawać pytań. Powoli rozwiązywał mi się język, serce zaczęło się bardzo ostrożnie otwierać. Opowiadałam o Kościele, o młodych mężczyznach, którzy najchętniej widzieliby mnie jako żonę, o Stuttgarcie, o sztuce, o mojej rodzinie, o tęsknocie za domem. Wkrótce wszystko już wylewało się ze mnie potokiem, jedno przez drugie. Skakałam z tematu na temat. Christof zaś słuchał cierpliwie i serdecznie, ocierał mi wciąż łzy z oczu i pocieszał mnie, aż stopniowo się uspokoiłam. Poczułam się nieskończenie dobrze, gdy mogłam wyrzucić z siebie całą frustrację spowodowaną wszystkimi tymi przeżyciami.

– Musisz się od tego uwolnić, Christino! Kościół, religia zjada swoje własne dzieci. Ogranicza naszą wolność myślenia i naszą miłość, sama przecież tego doświadczyłaś. Ja wierzę w Boga, ale nie w te wszystkie ograniczenia. Chcę myśleć samodzielnie i móc decydować, w co wierzę i jak powinienem iść przez życie.

Miał rację i przemawiał prosto z serca. Rozgorzała we mnie zacięta walka, chciałam przecież wyznać mu prawdę o moim dzieciństwie.

– Wiesz, w Boliwii nie wszystko działa się tak dobrze, jak powinno. Wszyscy sądzili, że to był raj. – Nie potrafiłam dłużej patrzeć mu w oczy, odwróciłam głowę. – Ale dla mnie ten raj okazał się piekłem. – Wreszcie to powiedziałam, udało mi się przełamać kłutwę, teraz wszystko będzie dobrze!

– Co ci się tam stało, Christino? Opowiedz mi – poprosił. Wciągnęłam głęboko powietrze i usiadłam. Christof zauważył najwyraźniej, że chcę wyznać coś nieprzyjemnego, więc również usiadł i przysunął się do mnie blisko. W chwili, gdy miałam zacząć mówić, usłyszałam

dobiegające z oddali bicie dzwonu.

– Która godzina? – zawołałam przerażona.

Christof nie miał zegarka. Wstrzymałam oddech i policzyłam uderzenia. Dziewięć, dziesięć, jedenaste.

– Do diabła! O jedenastej powinnam być w domu! Matka na mnie czeka, muszę już iść, natychmiast. Kiedy odjeżdża następny pociąg? Muszę zaraz jechać do domu.

Christof popatrzył na mnie niemile zaskoczony i odpowiedział rozczarowany:

– Za siedem minut odjeżdża pociąg, zdążysz jeszcze.

Podskoczyłam, w panice poprawiając ubranie.

– Christino, masz prawie siedemnaście lat. Czy naprawdę musisz być w domu już o jedenastej? Dziś jest przecież sobota, zostań tu, zadzwonimy do twojej matki.

– Nie, na miłość boską, tylko nie to, nigdy nie może się dowiedzieć, że u ciebie byłam! – Porwałam swoją torbę i chciałam wybiec z mieszkania.

Przyciągnął mnie jednak do siebie.

– Mamy jeszcze dokładnie dwie minuty na pocałunki i nie przepuszczę takiej okazji!

Pocałowaliśmy się namiętnie ostatni raz. Oddałabym wszystko, by zatrzymać czas. Potem zbiegłam po schodach.

Zawołał jeszcze za mną, żebym do niego zadzwoniła. Pobiegłam jak najszybciej na pobliski dworzec i w ostatniej chwili zdążyłam na pociąg. Złana potem, opadłam na ławkę w pustym przedziale. Rozejrzałam się wokół. Byłam sama. Pociąg szarpnął lekko, potem znowu, i zaczął się toczyć, by zabrać mnie do domu. Wpatrywałam się w ciemną szybę obok mnie, w moje własne odbicie, wykrzywione i niewyraźne, rozmazane łzami. Dobrze, że byłam sama. Zła na siebie, wytarłam twarz.

Boże w niebie, o mały włos nie wyjawiałam mu mojej tajemnicy, mój Boże, co by się wtedy z mną stało, myślałam zrozpaczona. Być może Christof naciskałby, żeby opowiedzieć o wszystkim moim rodzicom? Zniszczyłabym w ten sposób całe ich życie i pracę. Nie, nie wolno mi było tego uczynić. Matka na pewno by tego nie przeżyła, nie mogłam jej tego zrobić.

Czułam, jak ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Oby tylko matka nie zauważyła, że spotkałam się z Christofem! Nie należał do Kościoła i nie był nawróconym chrześcijaninem, a mnie po prostu nie było wolno się w nim zakochać, nigdy, to było zakazane, Bóg na pewno mnie za to ukarze.

Proszę, dobry Boże, wybac mi moją winę, to, że pocałowałam Christofa i niemal zdradziłam mu moją tajemnicę, choć jest poganinem. Nigdy więcej tego nie zrobię i ostatecznie zerwę z nim kontakt, modliłam się rozpaczliwie.

Hamulce pociągu zapiszczały głośno. Na następnej stacji wsiadł młody mężczyzna i zajął miejsce w przedziale naprzeciwko. Pozdrowił mnie i uśmiechnął się przyjaźnie. Powstrzymałam łzy. Mężczyzna spoglądał ku mnie raz po raz, odpowiadałam uśmiechem. Najwyraźniej mu się podobałam. Wydawał się sympatyczny, więc nieśmiało odwzajemniłam jego spojrzenie. Potem nieco zakłopotana spuściłam wzrok i przez chwilę znowu myślałam o Christofie.

Po chwili, bez uprzedzenia, poczułam, jak smutek i rozpacz powoli i podstępnie zamieniają się we wściekłość. Jeżeli ktoś mi się podobał, czy nie miałam prawa go kochać? A gdyby młody mężczyzna w przedziale pociągu okazał się moją wielką miłością, czy nie miałam prawa być z nim? Czy Bóg mógł zabronić mi zakochania się w Christofie? Nie, nie mógł. Bóg na pewno nie chciał zniszczyć mojej miłości. Jeżeli kochałam Christofa, to po prostu miało tak być.

W tej chwili poczułam przyływ potężnej energii, od stóp do głów poczułam na ciele gęsią skórę. Nie, zrobię to, co uważam za słuszne, co podpowiada mi serce. Zapłacę każdą cenę! Nie wyrzeknę się znowu mojej wielkiej miłości, nie, zbuntuję się przeciw wyrzutom sumienia, przeciw zastrzeżeniom rodziców i przeciw wszystkim zasadom grupy młodzieżowej i Kościoła.

Ponownie zapiszczały hamulce. Stacja Paradise, czyli raj – musiałam wysiadać. Po raz ostatni i tym razem znacznie pewniej uśmiechnęłam się do młodego mężczyzny z przedziału naprzeciwko i pożegnałam się miło. Zdecydowanym krokiem skierowałam się do domu.

Spodziewałam się wyrzutów.

– Gdzie byłaś tak długo, Christino? Już prawie dwunasta, bardzo się o ciebie martwiłam. Przeprosiłam i powiedziałam, że spóźniłam się na pociąg. Mama chciała się jednak dowiedzieć, dokąd poszłam po spotkaniu młodzieży.

Zebrałam się na odwagę. Tym razem powiem jej prawdę.

– Mamo, dziś wieczorem odwiedziłam Christofa. I dlatego spóźniłam się na pociąg – odparłam.

Matka była wyraźnie zdumiona i zaniepokojona. Zamiast jednak prawić mi kazania, spytała, czy chcę jeszcze wypić z nią herbatę, by omówić tę sprawę.

Zgodziłam się z ulgą. W domu panowała cisza. Moje młodsze rodzeństwo dawno już spało. Oddychałam głęboko i postanowiłam bronić Christofa wszystkimi sposobami.

Mama przyniosła herbatę i objęła mnie czule.

– Droga Christino, tak dobrze jest mieć cię znowu w domu, tęskniłam za tobą, moja córeczko.

Czułam, że naprawdę mnie kocha, i ja także kochałam matkę nade wszystko. Nie chciałam jej rozczarować, nigdy. Tym razem jednak zaryzykuję i postąpię wbrew jej woli.

Rozmawialiśmy przez chwilę o grupie młodzieży i młodych mężczyznach. Opowiedziałam jej o dwóch członkach grupy, którzy pisemnie zabiegali o moją rękę. Wyciągnęłam listy adoratorów z torby i uśmieśliśmy się do rozpuku, gdy przeczytałam je na głos. Obaj mężczyźni twierdzili, że zostałam im przeznaczona na żonę, ponieważ tak powiedział im Bóg.

– Nie sądzę, żeby Bóg przeznaczył cię dla dwóch mężczyzn naraz, Christino, wyobraź sobie tylko, to nie do pomyślenia! – Mama śmiała się głośno, a ja dołączyłam do jej serdecznego śmiechu.

Uwielbiałam te rzadkie chwile, gdy byłam z matką sama i śmiałyśmy się razem.

Opowiedziałam jej o Stuttgarcie i że tamtejsi mężczyźni zupełnie mnie nie interesują.

Rozwodziłam się nad ukochaną nauczycielką malarstwa i nad tym, ile już nauczyłam się w tak krótkim czasie.

Mama słuchała uważnie tego, co mówiłam o mojej sztuce. Naraz jednak zmieniła znowu temat i zaczęła opowiadać o Rogerze. Był to bardzo przystojny młodzieniec z naszego kościoła, który również wyraźnie się mną interesował. – Czy nie zwróciłaś uwagi, że w kościele często zajmuje miejsce obok ciebie? Nie jestem ślepa, Christino. Ten by się dla ciebie nadawał – zauważyła mama, puszczając do mnie oko.

Tak, Roger także zwrócił moją uwagę, ponieważ miał poczucie humoru. Dołączył do grupy stosunkowo niedawno i nie wydawał się tak świątobliwy jak pozostali. Poza tym był przystojny i inteligentny, pięć lat starszy ode mnie. Nie narzucał mi się. Nie miałam wcale pewności, czy poważnie się mną interesuje, ponieważ w grupie młodzieży było kilka młodych kobiet, które wyraźnie o niego zabiegały.

– Christino, gdybyś musiała wybierać między Christofem a Rogerem, którego wzięłabyś za męża?

Zawahałam się. Czy miałam powiedzieć jej, co naprawdę myślę? Dopiero co na powrót zakochałam się po uszy w Christofie, całowałam go i chciałam tylko jego, nikogo innego. A o Rogerze nie wiedziałam nawet, czy się mną interesuje. W tej chwili odpowiedź była jasna – Christof i żaden inny. Odurzona miłością powiedziałam:

– Wybrałabym moją wielką miłość, a jest nią Christof.

Matka najwyraźniej oczekiwała innej odpowiedzi. Z troską popatrzyła mi w oczy. Potem dała mi jasno do zrozumienia, że w grę wchodzi dla mnie tylko członek Kościoła, nawrócony chrześcijanin. Próbowала tłumaczyć, że Christof także jest chrześcijaninem i wierzy w Boga, ale to jej nie przekonało. Wywiązała się między nami zażarta dyskusja. Matka zacięcie broniła swojego punktu widzenia, a ja mojego. Tym razem nie chciałam ustąpić. Byłam zdecydowana postawić na swoim i nie rezygnować z mojej wielkiej miłości.

Mama zakończyła rozmowę dość nagle.

– Ach, daj spokój, Christino, kocham cię przecież, będę się za ciebie modlić, a ty na pewno podejmiesz właściwą decyzję. Jest już późno, chodź, prześpijmy się z tym.

Uciekłam do swojego pokoju, gdzie spała już spokojnie młodsza siostra. Leżałam długo w

ciemności, czuwając, i myślałam tęsknie o Christofie. Co naprawdę do mnie czuł? Bardzo wstydziłam się swojego nagłego wyjścia. Zadzwoń do niego i przeproszę, postanowiłam jeszcze przed zaśnięciem. A potem zaczęłam śnić o wolności, o mojej wielkiej miłości, sztuce, własnej rodzinie, o pięknym i dobrym świecie – to wszystko właśnie chciałam osiągnąć.

Następnego dnia szukałam gorączkowo dobrej okazji, by zadzwonić do Christofa. Pomagałam matce, jak tylko mogłam, przy praniu, pieczeniu chleba i przy młodszym rodzeństwie. Nie ośmieliłam się jednak zatelefonować przy niej.

Im dłużej ciągnął się dzień, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. Czy mój wybór naprawdę był właściwy? Czy Bóg tak chciał? Ponownie toczyłam wewnętrzną walkę. Przyszły mi do głowy słowa Christofa, że religia zjada swoje własne dzieci – czy mówiąc o tym, miał na myśli właśnie to, co teraz przeżywałam? Naprawdę chciałam z nim być, ale nie ośmielałam się nawet do niego zadzwonić.

Za kilka dni miałam wyjechać z powrotem do Stuttgartu. Jakże chciałam przed wyjazdem spotkać się z nim jeszcze raz! Rozpaczałam na myśl, że już nie uda mi się go usłyszeć ani zobaczyć. Z drugiej strony nie chciałam zaprzepaścić realizacji mojego celu bycia malarką, nawet dla wielkiej miłości. Nie, nie mogłam zostać, to było jasne. Miłość do sztuki była silniejsza.

Dopiero po trzech dniach udało mi się zadzwonić do Christofa. Przeprosiłam za moje nagłe pożegnanie.

– Christino, w twoim życiu jest coś niedobrego. Czego tak bardzo się boisz?

Przełknęłam ślinę, ale nie potrafiłam odpowiedzieć.

– Czuję, że potrzebujesz pomocy, proszę, chcę ci pomóc, zaufaj mi! Kiedy możemy się znowu spotkać?

Wciąż nie mogłam się odezwać, moje spojrzenie spoczęło na otwartej Biblii leżącej przy aparacie telefonicznym. Dobry Boże, co powinnam zrobić, co jest słuszne? On przecież nie jest nawrócony. Może zdołam go do tego nakłonić? Ale nie, jeżeli opowiem o molestowaniu, wtedy na pewno nie nawróci się na naszą wiarę. Tak bardzo go jednak kochałam!

– Christino, jesteś tam jeszcze? Dlaczego nic nie mówisz? Christino, jest z tobą źle, musisz uciec z tej wspólnoty, nie pozwalają ci tam swobodnie myśleć!

Czy miał rację? Czy nie potrafiłam swobodnie myśleć? Co powinnam teraz zrobić? Znowu spojrzałam na Biblię i spontanicznie postanowiłam poszukać w niej rady. Jeden wers podkreślono na czerwono. *Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne.* Moja wewnętrzna walka ustała natychmiast, Biblia zwyciężyła. Ja również musiałam ponieść ofiarę, by okazać się godną wobec Boga.

Wyjaśniłam Christofowi, że już pojutrze wyjeżdżam do Stuttgartu, a wcześniej muszę dużo pomagać matce.

– Ach, Christino, nie możesz po prostu zostać tutaj, naprawdę musisz znowu wyjechać?

– Tak, muszę jechać z powrotem do Stuttgartu, jestem tak wdzięczna za wszystko, czego się tam uczę. Koniecznie chcę zostać malarką, a bez lekcji nigdy nie dostanę się do szkoły plastycznej – próbowałam odwrócić jego uwagę od drażliwego tematu.

Christof przestał naciskać.

– Wiesz, Christino, jeszcze będzie dobrze, tak, jak powinno być. Nie znikasz przecież zupełnie, a ja cieszę się, że znowu mamy ze sobą kontakt. Skoro tak musi być, to zobaczymy się, gdy tylko wrócisz.

Spytałam, czy będzie do mnie pisać i czy możemy do siebie dzwonić.

– Oczywiście. I proszę, też do mnie pisz, cieszę się z każdej oznaki życia od ciebie. – Zamilkł na chwilę. – Proszę, Christino, nie zapomnij o mnie, nigdy!

Gdy się pożegnaliśmy, sama już nie wiedziałam, co powinnam myśleć. Byłam rozdarta, z jednej strony wdzięczna, że nie drażył tematu, z drugiej zaś czułam, że rezygnuję z miłości mojego życia i że nieprędko się znowu zobaczymy.

Wielkie łzy pociekły mi po policzkach. Otworzyłam pamiętnik i tajnym pismem opisałam cały swój ból i cierpienie. Potem rzuciłam się we własny świat, świat kolorów, kształtów, namalowanych uczuć – obrazów, które przedstawiały moje wnętrza. To był mój ratunek!

Szkoła plastyczna

Po powrocie do Stuttgartu z całą nowo odzyskaną siłą przystąpiłam do pracy przy sztalugach. Moi gospodarze cieszyli się, że czuję się lepiej i najwyraźniej dobrze radzę sobie z tęsknotą za domem. Gertrude troszczyła się o mnie jeszcze bardziej niż poprzednio i cieszyła się również, że mogę znowu spożywać wspólnie z nią posiłki.

Słyszała, jak rozmawiam z Christofem przez telefon, i wkrótce odczułam, że nie jest to mile widziane. Podzielała opinię moich rodziców i próbowała wybić mi go z głowy.

– Christino, modlimy się za ciebie, żebyś poznała odpowiedniego mężczyznę, prawdziwego chrześcijanina.

Telefony stały się zatem rzadsze, a mi brakowało sił, by utrzymywać kontakt z Christofem, aż wreszcie zupełnie przestałam się do niego odzywać. Nasz związek naprawdę nie miał sensu. Nie potrafiłam jednak o nim zapomnieć.

Moja teczka z pracami zgłoszeniowymi do szkoły plastycznej stale się zapełniała, aż pewnego dnia mogłam ją wreszcie wysłać. Rodzice zgodzili się, żebym ubiegała się o przyjęcie, choć było dla nich nie do pomyślenia, że w przyszłości mógłby to być mój zawód. Woleli, żebym została przedszkolanką jak matka. Na to jednak byłam jeszcze za młoda, musiałam mieć ukończone co najmniej osiemnaście lat, aby zostać dopuszczona do egzaminów wstępnych do seminarium. Moje plany były zatem rodzicom na rękę.

Zaskoczyło mnie zupełnie, gdy Gertrude poleciła mi przygotować wystawę.

– Każdy może malować dla siebie, to nie jest trudne. Prawdziwa artystka musi jednak potrafić wystawiać swoje prace przed publicznością.

– Ale ja nie jestem jeszcze nawet w szkole plastycznej. Nie mogę przecież nazywać się artystką.

– Christino, zaufaj mi. Jesteś dość dobra, by zaprezentować się publicznie. To będzie dla ciebie motywacja i uwierz mi, że już jako młoda artystka odniesiesz sukces. – Przyjrzała mi się uważnie z boku. – Czuję to, Christino, sama zobaczysz.

Nigdy nie sprzeciwiłabym się mojej ukochanej nauczycielce, więc z zapalem przystąpiłam do pracy nad tym projektem. Przygotowałam subtelne abstrakcyjne rysunki i liczne obrazy namalowane pastelami olejnymi. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie matka z pytaniem, czy ma stworzyć list, który przyszedł do mnie ze szkoły plastycznej. Odpowiedź pozytywna! Zostałam przyjęta! To uskrzydliło mnie jeszcze bardziej i tuż przed wyjazdem ze Stuttgartu zdołałam zgromadzić ponad czterdzieści dzieł nadających się na wystawę. W czasie, gdy nanosiłam ostatnie poprawki, matka zorganizowała w naszej wiosce odpowiednią salę. Rok nauki w Stuttgarcie dobiegał końca, a ja wracałam do domu z wielką teczką swoich prac.

Wystawa odbyła się niedługo potem i okazała się wielkim sukcesem. Przyjechała nawet moja nauczycielka ze Stuttgartu i krążyło wokół nas trzech dziennikarzy. Była to dla nich sensacja, że siedemnastoletnia dziewczyna zorganizowała własną wystawę i sprzedała tak wiele swoich prac.

Byłam całkowicie przytłoczona rozgłosem. Przybyli wszyscy członkowie naszej wspólnoty, znajomi z grupy młodzieży i wszyscy moi krewni. Również obcy ludzie z Schaffhausen zjawili się specjalnie na wystawę. Wielu chciało kupić obraz, byłam więc tak zajęta, że nie miałam nawet czasu zastanawiać się nad tym, że moje dzieła trafiają w obce ręce. Dopiero w domu uświadomiłam sobie, jak wyjątkowo udany okazał się ten początek mojego artystycznego życia. Gdy zobaczyłam zdjęcia w gazetach, poczułam głębokie zawstydzenie. Była to jednak dla mnie cenna lekcja, tak jak powiedziała Gertrude.

Pod koniec wakacji przeprowadziłam się do ciotecznej babki, która mieszkała w pobliżu szkoły plastycznej i od tej pory opiekowała się mną z miłością, ale i pilnowała argusowym okiem.

W szkole otworzył się przede mną zupełnie nowy świat. Siedziałam w klasie z bandą nieokiełzanych uczniów, całkiem innych niż ja. Naszymi nauczycielami byli w większości artyści, filozofowie i wolnomyśliciele. Zapoznawali nas z zupełnie nowymi poglądami. Dzięki temu przynajmniej na kilka godzin dziennie zapominałam o ciasnych pętach mego wychowania.

Dla moich nauczycieli musiałam być równie egzotyczna, jak oni dla mnie. Szczególnie nauczyciel rysunku wypytywał mnie wciąż o życie w prymitywnych warunkach, bez prądu, bez bieżącej wody, pośród natury i w obcej kulturze Indian. Często zabierał nas do parku lub do lasu, gdzie kazał nam rysować, a mnie prosił:

– Christino, opowiedz o swoim dzieciństwie!

– Tęsknię za przyjaciółmi, za dzikim, prostym życiem w głębi dżungli, za węzami i piraniami, a także za pysznymi dojrzałymi owocami. Wie pan, jak przyrządza się napój chicha? Indianie wypływają do garnka przeżute kawałki jukki – odpowiadałam wymijająco.

Wokół mnie zbierała się cała klasa i wszyscy słuchali jak urzeczeni moich opowieści. O tak – myślałam smutno. – To był raj, a w środku niego piekło. Gdybym tylko mogła o tym opowiedzieć.

Z czasem nauczyłam się, jakie pytania ludzie zadają najczęściej i byłam na nie przygotowana. Coraz łatwiej przychodziło mi mówienie o egzotycznych doświadczeniach w Boliwii.

Jednocześnie świat sztuki i artystów fascynował mnie i skłaniał do myślenia. Co postrzegałam, co było prawdą, a co ułudą? Nauczyłam się patrzeć bardzo uważnie, zauważałam zaschnięte plamy, włos, żłobienie na blacie czy muchę na parapecie. Wypracowane w dżungli strategie unikania prześladowców okazały się teraz przydatne dla daru postrzegania.

Nauczyciel rysunku wziął mnie pod swoje skrzydła. Na jakichś zajęciach musieliśmy narysować tenisówkę. Po pewnym czasie pierwsza oddałam swoje dzieło i zadowolona rozejrzałam się wokół. Mój but był ładniejszy i bardziej dopracowany niż rysunki innych uczniów. Nauczyciel spojrzał na mnie surowo.

– Christino, jeszcze nigdy nie zrobiłem tego, co zamierzam zrobić teraz. Mój nauczyciel postąpił jednak ze mną tak samo, a był to najlepszy nauczyciel w moim życiu. Nigdy tego nie zapomnisz.

Z przerażeniem patrzyłam, jak bierze mój rysunek i drze go na drobne kawałki. W klasie zrobiło się cicho jak makiem zasiał, uczniowie przyglądali się nam przestraszeni.

– Narysujesz nowy, dużo lepszy but, Christino! Wymagam od ciebie, żebyś się w pełni przyłożyła. Samo to, że jesteś lepsza od innych, nie wystarcza.

Wyciągnęłam z tego naukę. W szkole plastycznej wyrosłam na dumną młodą kobietę, wybrano mnie nawet na przewodniczącą klasy. Często znajdowałam się w centrum zainteresowania i nie miałam nic przeciwko temu. Musiałam się jednak nauczyć, że bez pracy nie ma kołaczy. I nauczyłam się. Nauczyłam się uczyć, całkowicie angażować w to, co robię, i dzięki temu czyniłam postępy.

Rewolucjonistka

Rok w szkole plastycznej minął szybko, a po jego zakończeniu z uwagi na dobre oceny otrzymałam propozycję, że bez egzaminów zostanę przyjęta na studia stanowiące kontynuację nauki. Moi rodzice mieli jednak inne plany. Ponieważ miałam już osiemnaście lat, obstawali, że muszę nauczyć się „prawdziwego” zawodu.

– Twoja praca musi służyć ludziom, Christino!

W Kościele wyraźnie dano mi do zrozumienia, że to, czego uczą w akademiach sztuki, nie służy Bogu. Nawet w grupie młodzieży ostrzegano mnie wciąż przed kontaktami z artystami. Nie pytałam nikogo o zdanie, a mimo to ze wszystkich stron naciskano na mnie, żebym nie studiowała malarstwa.

Tak więc musiałam wybrać między nauczaniem początkowym a wychowaniem przedszkolnym. Zrezygnowana wobec ciągłego pouczenia przez innych wybrałam krótszy cykl nauki i niechętnie zaczęłam uczęszczać na kurs dla przedszkolank. Mogłam nadal mieszkać u ciotecznej babki, ponieważ seminarium znajdowało się w tej samej miejscowości. Unikałam jednak pojawiania się w pobliżu szkoły plastycznej i nie utrzymywałam kontaktów z uczniami z dawnej klasy. Moim przeznaczeniem było służyć Bogu i poddawałam się losowi.

Nauka przychodziła mi z łatwością. Miałam dobre oceny i odpowiednie podejście do dzieci. Mimo to szybko zrozumiałam, że nie mam cierpliwości do najmłodszych maluchów. W czasie praktyk, które odbywałam w szkole średniej, uświadomiłam sobie, że wolałabym pracować ze starszymi uczniami. Chciałam jednak skończyć to, co zaczęłam. Ponieważ bez trudu uzyskiwałam bardzo dobre oceny, wszyscy sądzili, że jestem urodzoną przedszkolanką. Pilnie wykonywałam wszelkie zadania i nie dawałam nikomu powodów, by wątpić w moją motywację.

Znowu żyłam w dwóch światach, za dnia kontynuowałam naukę, a wieczorami malowałam i rysowałam w swoim pokoju. Sztuka trzymała mnie przy życiu, ciche godziny spędzane w samotności zmuszały do zgłębiania moich prawdziwych motywacji. Nie mogłam żyć dla sztuki, ale najwyraźniej nie potrafiłam też żyć bez niej!

Często rozmawiałam z pewną koleżanką ze studiów, córką pastora. Została moją najlepszą przyjaciółką i wiele się razem śmiałyśmy. Często rzucałam przy niej aluzje do mojej przeszłości, a ona się dopytywała o szczegóły. Brakowało mi jednak odwagi, by dokładnie opisać to, co mnie spotkało. Za każdym razem tysiące lęków zaciskało mi gardło. Ostatecznie milczenie zwyciężyło.

Często zastanawiałam się, dokąd powinna prowadzić moja droga. W Szwajcarii nie czułam się w domu, ciągnęło mnie na południe, w ciepłe strony. Z dala od wszystkich problemów, które czekały na mnie tutaj. Przysięgłam sobie, że gdy tylko ukończę naukę, wyjadę za granicę.

Tymczasem pewien młody człowiek zaczął usilnie o mnie zabiegać, a rodzice bardzo się z tego powodu cieszyli. Roger, uparty adorator ze wspólnoty kościelnej, okazał się aktywnym mężczyzną szukającym przygód i o dużym poczuciu humoru. Do tego czasu zdążyłam już ostatecznie zrezygnować z Christofa i dlatego wyraźne oznaki sympatii ze strony Rogera sprawiały mi przyjemność.

Powoli się w nim zakochałam. Coraz częściej zastanawiałam się nad tym, jak by to było żyć u jego boku i założyć z nim rodzinę. Myśl o tym, że nie będę dłużej zależna od rodziców, przeważała szalę. Sama pracowałam już dorywczo, a Roger miał dobrze płatną posadę w banku. Często mnie odwiedzał i podczas długich spacerów prowadziliśmy interesujące rozmowy.

Stopniowo rozumiałam, że w banku co prawda dobrze zarabiał, ale nie był naprawdę szczęśliwy w swojej pracy. Chciał wydostać się z ciasnej Szwajcarii, poznać świat i nieść pomoc ludziom. Jego pragnienie znalazło oczywiście poklask w naszej misjonarskiej rodzinie. Rodzice zachęcali go, by został księgowym organizacji Wycliffe i przez rok poznał życie w Afryce. Roger

rzeczywiście podjął to wyzwanie i zrezygnował z pracy w banku. Przed jego wyjazdem zaręczyliśmy się.

Miałam zaledwie dziewiętnaście lat, uważałam jednak, że to słuszna decyzja. Nim jednak Roger wsiadł do samolotu, musiałam koniecznie podzielić się z nim moimi zastrzeżeniami co do organizacji misyjnej.

– Roger, uważaj na siebie, proszę. Nie wszyscy misjonarze są dobrymi ludźmi, zdarzają się wśród nich wilki w owczej skórce. – Więcej nie zdołałam powiedzieć, choć bardzo się martwiłam. Czy naprawdę mój przyszły mąż musiał pracować właśnie dla tej organizacji, przez którą moje dzieciństwo zmieniło się w piekło?

Pisaliśmy do siebie niemal codziennie, Roger miał same pozytywne rzeczy do opowiedzenia, w Afryce rozkwitał i był nią całkowicie zafascynowany. W organizacji wiodło mu się bardzo dobrze, a jego praca była wysoko ceniona. Z bazy położonej na Wybrzeżu Kości Słoniowej zwiedził wiele krajów i przeżywał jedną przygodę za drugą. Dzięki listom poznaliśmy się dużo głębiej.

Choć codziennie myślałam o Christofie, byłam coraz bardziej przekonana, że Roger jest dla mnie właściwym mężczyzną. Kochałam jego pragnienie przygody i nie mogłam się doczekać, kiedy podczas wakacji odwiedzę go w Afryce.

Ledwo stanęłam na afrykańskiej ziemi, poczułam się jak w domu. Byłam tutaj obcokrajowcem, ale przywykłam do tego w dzieciństwie. Roger ledwo mnie poznawał, tak bardzo rozkwitłam w tym dzikim kraju. Liczne obce kolory, zapachy i niezwykle pełni temperamentu mieszkańcy sprawiali, że i ja pragnęłam zostać w Afryce na zawsze. Tutejsza misja działała niemal jak firma, zupełnie inaczej niż mały, rodzinny ośrodek misyjny w Boliwii. Nie było obowiązkiem dołączanie do wspólnoty kościelnej, tłumacze Biblii rzadko tylko przyjeżdżali do centrum i wszyscy mieszkali poza misją.

Mieliśmy dużo swobody i mogliśmy robić, na co mieliśmy ochotę. W pełni cieszyliśmy się tą wolnością, wystrzegaliśmy się tylko jednej rzeczy: przed ślubem nie wolno nam było ze sobą sypiać. Ściśle przestrzegaliśmy tego zakazu, ponieważ w przeciwnym razie sprowadzilibyśmy na siebie nieszczęście, wyraźnie nas przed tym przestrzegano.

Szybko zgodziliśmy się, że przyszłość czeka nas w Afryce. Czułam się tam bezpieczna, ponieważ obserwowałam wszystko bardzo uważnie i nie zauważałam żadnego zagrożenia ze strony misjonarzy. Po wakacjach wróciłam do domu pełna nadziei. Od tej pory łatwiej było mi kontynuować naukę, ponieważ miałam nowy cel w życiu.

Po roku Roger wrócił do Szwajcarii. Powitałam go z radością i niebawem zaplanowaliśmy wesele. Pobraliśmy się jeszcze przed moimi dwudziestymi pierwszymi urodzinami.

Jak przykazano, przed ślubem nie mieliśmy żadnych kontaktów seksualnych. Podczas wesela byłam ogromnie zdenerwowana. Jak przetrwam noc poślubną, czy mąż zauważy, że nie jestem dziewicą? Niepewność ciążyła mi tak bardzo, że ze zdenerwowania w czasie uroczystości bez przerwy się objadałam. Zrobiło mi się niedobrze i niemal jakimś cudem zdążyłam dobiec do toalety, nim zwymiotowałam.

Byłam zaskoczona fizyczną i duchową ulgą, jaką poczułam, kiedy opróżnił się mój żołądek. Noc poślubna okazała się dla mnie jednym wielkim stresem. Wstydziałam się i nie potrafiłam się rozluźnić. Na szczęście dostałam tej nocy okres, a gdy mąż zauważył rano lekko zakrwawione prześcieradło, roześmiał się i stwierdził, że byłam dziewicą i że oto ma tego dowód. Ogarnęła mnie wdzięczność, olbrzymi kamień spadł mi z serca. Myślałam: Gdybyś wiedział, gdybyś tylko wiedział...

Podczas miesiąca miodowego mąż zaskoczył mnie intensywnym programem zajęć. Jeździliśmy rowerami pod górę i z góry, podróżowaliśmy autobusami, pociągami i wszystkimi możliwymi środkami transportu, aż dojechaliśmy do Florencji. Czułam się głęboko nieszczęśliwa i bliska załamania. Napięcie duchowe, spowodowane obawą, że mąż mógłby jednak domyślić się czegoś o moim dzieciństwie, oraz napięcie fizyczne – to było dla mnie zbyt wiele.

Jako dobra żona musiałam o każdej porze oddawać się mężowi, ale zawsze sprawiało mi to ogromny ból fizyczny, bez cienia przyjemności czy radości. Mimo wszystko odgrywałam

posłusznie swoją rolę, ponieważ po powrocie z podróży pojawił się w moim życiu nowy lęk. Obawa, że mąż związałby się z inną kobietą, gdybym nie uprzedzała stale jego życzeń.

Coraz częściej odzywało się jednak we mnie poczucie sprawiedliwości. *Mąż ma ze mną przyjemność, a ja leżę tylko i czekam, żeby wszystko minęło, w dodatku później boli mnie i cierpię. Robię dobrą minę do złej gry. Znowu znalazłam się w tym samym miejscu, w którym już kiedyś byłam: jestem seksualną niewolnicą! Nie, nie mogę i nie chcę się na to godzić!*

Takie myśli zmusiły mnie do poszukiwania drogi wyjścia. W wyniku licznych bolesnych doświadczeń zupełnie nie potrafiłam odbierać samej siebie. Przed wyjściem za mąż nie przyglądałam się nigdy swojemu ciału ani nie dotykałam go dokładniej, niż było to potrzebne. Nadeszła zatem pora, by ponownie opracować nową strategię. Potrzebowałam wyznaczyć sobie cel, postanowiłam więc nauczyć się znajdować przyjemność i radość w swojej seksualności. Pojawiła się we mnie wola i energia, czułam się niczym rewolucjonistka.

Nie, wy podłe świnię – myślałam sobie. – Nie wyświadczę wam tej przysługi. Nie poświęcę dla was mojej seksualności, odzyskam ją. Tym razem to ja wygram! Nie macie już wpływu na mnie i na moje ciało!

Następnego dnia kupiłam potajemnie poradnik o seksie dla kobiet, który miał mi pomóc. Gdy tylko miałam okazję, czytałam go ukradkiem. Była tam mowa o przyjemności i ani słowa o przemocy! Wieczorami od czasu do czasu ośmielałam się rzucić jakąś propozycję, co mąż przyjmował z wdzięcznością. Poznawaliśmy siebie nawzajem i nasze potrzeby, i uczyliśmy się je szanować. Coraz lepiej potrafiłam oddawać się chwili i zapominać o doświadczeniach z przeszłości. Po kilku miesiącach poczułam się panią swojego ciała i byłam z tego dumna. Zwyciężyłam!

Urządaliśmy wspólne mieszkanie, a ja kontynuowałam naukę. Chcieliśmy założyć rodzinę. Pomimo całej żądzy przygód obstawałam, by nasze dzieci przyszły na świat w Szwajcarii. Dopiero potem planowaliśmy emigrację. Poznałam już bazę misyjną Wycliffe na Wybrzeżu Kości Słoniowej i czułam się tam bezpiecznie. Mimo to przez długi czas robiło mi się nieswojo na myśl, że oto sama będę pracować dla misji. Z drugiej strony wiedziałam, że nie cały ośrodek w Tumi Chucua był wówczas winien mojego cierpienia, nie mogłam wrzucać wszystkich tamtejszych misjonarzy do jednego worka. Roger nie wiedział nic o moich wątpliwościach, ale sprawdzał również inne organizacje. Okazało się jednak, że Wycliffe może zaoferować nam najwięcej.

Po sześciu miesiącach okazało się, że jestem w ciąży, i oto moje życie nabrało innego wymiaru. Egzaminy końcowe nie były proste, ponieważ nauczycielka nieustannie czyniła mi wyrzuty z powodu ciąży. Ja jednak bardzo się z niej cieszyłam, ponieważ dzięki temu nie musiałam podjąć pracy jako przedszkolanka. Do czasu wyjazdu miałam zajmować się tylko własnymi dziećmi i sztuką. Kościół nie mógł mieć nic przeciwko temu, pod warunkiem, że będę dobrą matką i wierną żoną.

Urodził się nam syn, Raphael. Nie spuszczałam go z oczu, pełniłam funkcję matki, żony i gospodyni domowej, w pewnej mierze angażowałam się w życie kościelne i znajdowałam też nieco czasu na sztukę. Pieniądze, które dzięki temu zarabiałam, inwestowałam w nowe życie. Nie trwało długo, nim przyszedł zdrowo na świat mój drugi syn Timon, a trzy miesiące później cała nasza młoda rodzina wyleciała do Afryki.

Szwajcaria–Afryka

W Afryce miałam nadzieję, że dzięki naszej pracy będę mogła w jakiś sposób zmienić świat. Rodzice byli z nas dumni, wreszcie cieszyłam się ich pełnym uznaniem i poważaniem. Nie zostaliśmy co prawda tłumaczami tak jak oni i byliśmy tylko drugorzędnymi pracownikami w ośrodku misyjnym, mimo to znajdowaliśmy się na właściwej drodze i służyliśmy dziełu bożemu.

Roger pochłonięty był swoją pracą w administracji, a ja ilustrowałam podręczniki szkolne. Poza misją poznałam pewnego profesora sztuki i mogłam studiować jego prace poświęcone sztuce afrykańskiej. Czuliśmy się potrzebni i było nam dobrze, wreszcie i ja znalazłam możliwość rozwoju intelektualnego. Ponieważ nie miałam do dyspozycji płócien ani farb, przestawiłam się na inne materiały. Na okolicznych straganach targowałam się zawzięcie o różne drobne kawałki afrykańskich tkanin, z których szyłam duże gobeliny, a następnie je haftowałam. Wkrótce nadarzyła się okazja, żebym wystawiła swoje prace na międzynarodowym biennale „Les Grapholies”. Było to niezapomniane przeżycie. Po kilku miesiącach przeprowadziliśmy się do wynajętego małego domu poza bazą misyjną.

W stolicy Abidżanie, gdzie mieszkaliśmy, mogłam cieszyć się wolnością. Byliśmy zapraszani na uroczystości do ambasady, odwiedzaliśmy innych Szwajcarów i poznaliśmy wielu nowych przyjaciół. Zupełnie nieoczekiwanie otworzył się przede mną nowy świat poza Kościołem i misją – i bardzo mi się podobał.

Nawiązaliśmy bliski kontakt z pewną rodziną jubilerów, poznałam zamożnych i zadowolonych z życia ludzi. Francuzi, Anglicy, Amerykanie, Chińczycy – wszyscy żyli dobrze i w miarę możliwości angażowali się w pracę społeczną.

To połączenie było dla mnie nowe i fascynujące. Zaczęłam myśleć o naszych pracodawcach i o działalności misyjnej i z czasem odkryłam wiele podobieństw do Tumi Chucua. W afrykańskim ośrodku ludzie pracowali pilnie niczym pszczółki, tak samo jak kiedyś moi rodzice, nad tłumaczeniami Biblii. To był ich wkład w rozwój społeczeństwa, a wszystko inne było mniej ważne. Czulałam się coraz mniej z nimi związana i oddalałam się od tego kręgu. Kochałam swoją sztukę i w pełni się jej poświęcałam. Razem z Rogerem cieszyliśmy się możliwością spania dłużej w niedziele i zamiast do kościoła chodziliśmy na plażę albo do przyjaciół.

Dzieci były dla nas najważniejsze i stale miałam na nie baczenie. Nie wchodziło dla mnie w grę, by posłać je do szkoły niedzielnej. Roger dziwił się, że w tej kwestii reaguję tak ostro, nie potrafiłam jednak wyjawić mu prawdziwej przyczyny.

Pewnego dnia niespodziewanie podarował mi płytę Whitney Houston. Popatrzyłam na niego przerażona.

– Ale to przecież nie jest muzyka chrześcijańska, Roger!

– Wszystko mi jedno. Jej teksty są cudowne i pełne miłości, a głos ma genialny. To, że nie śpiewa chrześcijańskich pieśni, nie znaczy jeszcze, że jej muzyka pochodzi od diabła.

Ciekawość muzyki, która od dzieciństwa była dla mnie zakazana, zwyciężyła nad wyrzutami sumienia.

Spędzaliśmy razem cudowne wieczory na naszej werandzie, zasady kościelne coraz mniej się dla nas liczyły. Z czasem zrozumiałam, że sama odpowiadam za swoje życie i to, co z nim zrobię. Wpływ mojego religijnego wychowania malał, rosła zaś wewnętrzna i zewnętrzna wolność. Coraz częściej zastanawialiśmy się nad tym, czy potrafilibyśmy żyć bez Kościoła.

Nasze życie przypominało sen, czekało nas jednak gwałtowne przebudzenie. Pewnego dnia jak niemal każdej niedzieli spakowaliśmy stroje kąpielowe, by pojechać na plażę. W morzu czulałam się lekka i wolna, wzburzona piana i silne metrowe fale wywoływały we mnie poczucie szczęścia. Dzieci bawiły się na piasku, miałam więc czas poczytać. Wieczorem ruszyliśmy w drogę powrotną,

która prowadziła przez slumsy szybko rozrastającego się miasta. Po kilku kilometrach stanęliśmy w korku, utworzyła się długa kolumna pojazdów. Przed nami unosił się gęsty dym i wypełniał powietrze gryzącym smrodem. Instynktownie poczułam, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Opiekuńczo wzięłam dzieci na ręce i odwróciłam ich uwagę piosenką, która jednak uspokoiła bardziej mnie niż synów.

Powoli posuwaliśmy się naprzód, w sam środek zupełnego chaosu. Przed nami krzyczeli ludzie, płonęły samochody, padały strzały. W pewnej chwili nie mogliśmy ani jechać dalej, ani się cofnąć, bo obok kolumny samochodów zgromadziły się setki ludzi. Krzyczeli nienawistnie, biegali dookoła i walili maczetami i inną bronią w pojazdy, ludzi i domy. Tłum narastał wokół kolumny aut, gdzie znalazła się moja rodzina. Z opowieści znajomych wiedzieliśmy, jak niebezpieczne są takie sytuacje w Afryce. Pospiesznie odpięłam dzieciom pasy i posadziłam je na podłodze samochodu pożyczonego od przyjaciół. Na tylnym siedzeniu położyłam rzeczy plażowe, by uchronić synów przed wzrokiem szalejącego motłochu. Potem dałam im coś do jedzenia, żeby byli grzeczni. Raphael miał cztery lata, a Timon ledwo dwa, byli za młodzi, żeby umrzeć.

Włos im z głosu nie spadnie, nie pozwolę nikomu ich skrzywdzić!, przysięgam sobie.

Atakujący z niepohamowaną wściekłością i w pełnym amoku walili w szyby naszego pojazdu. Niczym zwierzęta rzucali się na najmniejszą chusteczkę, szcztokę czy fragment odzieży, które wyrzucaliśmy z samochodu. Na ulicy leżeli zakrwawieni i okaleczeni ludzie. W autach strzelały płomienie, otaczał nas dym i nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie.

– Spokojnie, dzieci, wkrótce będziemy w domu, już wkrótce. Mama i tata są z wami. – Timon zaczął płakać, na podłodze było mu za ciasno. Położyłam go na plecach, objęłam jego małe stópki i zaczęłam je masować. To go uspokoiło i na szczęście zasnął. Z trudem posuwaliśmy się naprzód.

– Jak długo jeszcze, Roger? Nie wytrzymam tego dłużej. Siedzimy tak już trzy godziny, a ja próbuję wszystkiego, żeby tylko uspokoić dzieci. Boję się – szepnęłam do niego.

– Wytrzymaj, Christino. Postaram się przedrzeć przez ten motłoch.

Centymetr po centymetrze posuwaliśmy się do przodu, raz po raz musieliśmy omijać jakieś przedmioty leżące na i tak wyboistej drodze. Po czterech godzinach tłum się przerzedził i ruszyliśmy sprawniej. Obaj chłopcy zasnęli, ja czuwałam nadal, a Roger robił wszystko, by wydostać nas z tej niebezpiecznej strefy, co udało mu się wreszcie po kolejnej godzinie. Cudem dotarliśmy do domu, wyczerpani i wdzięczni, że cali i zdrowi wyszliśmy z piekła. To przeżycie poważnie na mnie wpłynęło. Moje dzieci zostały narażone na najwyższe niebezpieczeństwo, a ja byłam za to odpowiedzialna. Śmiertelnie groźna sytuacja wywołała we mnie lęki, które nie opuszczały mnie nawet nocą. Następnego dnia podano w radiu informację, że w masakrze zginęło trzysta osób, doszło do rabunków i gwałtów. Przeżyliśmy prawdziwy horror, liczne ofiary śmiertelne, ludzie umierający w płonących samochodach, krzyki, paniczny strach – to było dla mnie za wiele.

Zwróciłam się o pomoc do organizacji Wycliffe. Gdy opisałam nasze przeżycia, kierownicy ośrodka stwierdzili, że sytuacja nie mogła być aż tak dramatyczna i że na pewno wkrótce dojdę do siebie. Nie uwierzono mi – to było nie do pojęcia. Uznali mnie za przewrażliwioną histeryczkę.

Od tamtej pory rzadko odważałam się wychodzić z domu, a już na pewno nie z dziećmi. Kilka dni później inni pracownicy misji znaleźli się w podobnej sytuacji. Dyrektor ośrodka od razu wdrożył plan awaryjny i ostrzegł wszystkich. Dlaczego wcześniej nikt mi nie wierzył? Przestałam rozumieć świat.

Strach towarzyszył mi w dzień i w nocy. Ożyły wspomnienia. Chciałam zabrać dzieci w bezpieczne miejsce, lecz mąż wymagał ode mnie, żebym się uspokoiła i wytrzymała. Po kilku tygodniach bezsennych nocy zrozumiałam, że musimy opuścić ten kraj. Nasi sąsiedzi i dobrzy znajomi byli tego samego zdania, niektórzy z nich już wyjechali.

Roger jednak się nie zgadzał.

– Zostajemy! Podoba mi się tutaj, a ty na pewno wkrótce się uspokoisz.

Kłóciliśmy się długo i miałam wrażenie, że nie umie właściwie ocenić ani powagi moich odczuć, ani realnej sytuacji w kraju. Smuciło mnie to i nasuwało dręczące pytania. Czy nie liczyła

się dla niego nasza rodzina? Czy koniecznie musieliśmy narażać nasze życie dla misji? Czy nie byliśmy dla niego warci tyle samo co ludzie, dla których dobra dokonywano przekładu Biblii?

Po długiej walce postanowiłam opuścić kraj z dziećmi na własną rękę i bez męża.

Spakowałam walizkę, przygotowałam chłopców do wyjazdu i wezwałam taksówkę. Nie miałam pieniędzy ani biletu, wiedziałam jednak od innych kobiet, że uzyskam pomoc w ambasadzie szwajcarskiej. Kierowca taksówki załadował walizkę do samochodu i chciał już ruszać, gdy inna taksówka zajęła nam drogę.

Ku mojemu zdumieniu z samochodu wysiadł mąż. Zdumiony spytał, dokąd się wybieram.

– Wracam do domu, do Szwajcarii. Choćby bez ciebie. Możesz zostać tutaj, ale ja i dzieci wyjeżdżamy! Nie rozumiesz powagi sytuacji, a ja nie jestem gotowa ryzykować życia dzieci i mojego własnego. Sprawy tutaj będą się pogarszać, czuję to. Nasi znajomi także mówili, że te zamieszki to dopiero początek. Przejrzyj wreszcie na oczy!

– Proszę, Christino, wysiądź, możemy o wszystkim porozmawiać! Nie wiedziałem, że myślisz o tym poważnie. Proszę, wybac mi! – błagał.

– To twoja ostatnia szansa, Roger – odpowiedziałam smutno i odesłałam taksówkę.

Pozbawieni złudzeń zaczęliśmy planować wspólną podróż powrotną.

– Co też pomyślą sobie ludzie z Kościoła, którzy wspierali nas finansowo? Wrócimy jako przegrani – mruczał do siebie Roger.

Wiedziałam, że ma rację i zapłacimy wysoką cenę za to, że po dwóch latach opuściliśmy misję, zostawiając ją samej sobie. Podobnie jak wszyscy inni członkowie Wycliffe utrzymywaliśmy się z datków od wspólnot kościelnych i osób prywatnych. Nawet w Afryce nasze wynagrodzenie wystarczało tylko na najpotrzebniejsze rzeczy. Żyliśmy skromnie, bez luksusów czy własnego auta. Z wielkim trudem udało nam się zgromadzić pieniądze na powrót.

Odejście

Początki w Szwajcarii były trudne, ale pouczające. Bez pracy, bez przyjaciół i bez pieniędzy. Jak przewidywaliśmy, w Kościele i w Wycliffe nie wykazano żadnego zrozumienia dla naszego powrotu.

– Czy Bóg nakazał wam wrócić? – pytano nas.

Nawet gdyby Bóg wyraźnie do mnie przemówił, któż by mi uwierzył? Nie byliśmy kaznodziejami. Po co zatem ów Bóg dał mi dar obserwacji, wycucie i rozum? Otrzymałam dość znaków, by na czas uchronić rodzinę przed czymś znacznie gorszym, i byłam całkowicie pewna, że Bóg nie chce, abyśmy oddali życie za misję.

Na próżno próbowałam tłumaczyć, że zaczęła się wojna domowa. Opowiadałam o przerażających masakrach i że nie czuliśmy się już bezpieczni, nikt jednak nie chciał słuchać. Rozczarowani reakcjami, ale wreszcie wolni od lęku o nasze życie, poinformowaliśmy organizację misyjną i Kościół o swoim odejściu.

Roger znalazł pracę w firmie ubezpieczeniowej i podjął studia, a ja pomagałam zaspokajać nasze potrzeby dochodami ze sprzedaży swoich prac. Powoli zbudowaliśmy sobie nowe życie poza Kościołem.

Nie potrafiłam jednak tak łatwo odrzucić mojego dogmatycznego wychowania i jeszcze długo dręczyły mnie ogromne wyrzuty sumienia. Czy mimo wszystko trafię do nieba? Czy krzywdziłam dzieci, pozwalając im dorastać bez Kościoła?

Wspólnota kościelna nie pozwoliła nam tak po prostu odejść, telefon dzwonił raz po raz, byliśmy stale zapraszani na spotkania i wywierano na nas ogromną presję psychiczną.

– Jeżeli zrezygnujecie z duchowej strawy w Kościele, czeka was upadek! Krzywdzicie wasze dzieci! Dajcie im zły przykład! Bez Kościoła żaden człowiek nie może być dobrym chrześcijaninem, Kościół stanowi część chrześcijańskiego życia, bez żadnych „jeśli” czy „ale”!

Gdziekolwiek się zatrzymywałam – na zakupach, u lekarza, na dworcu – wszędzie mnie zagadywano i zarzucano wymówkami, musiałam ciągle wysłuchiwać napomnień. Wszyscy wiedzieli, co jest dla nas dobre, i twierdzili, że będą modlić się o nasz powrót do Kościoła.

Nawet jeśli czasami zakradały się ciche wątpliwości, pod jednym względem miałam całkowitą pewność – dzięki naszemu obecnemu sposobowi życia moje dzieci były najlepiej chronione przed molestowaniem seksualnym. Wiedziałam już bowiem, że dochodzi do niego również we wspólnotach szwajcarskich.

Nastąpiły liczne dyskusje z moimi rodzicami, którzy chcieli widzieć zarówno nas, jak i swoich wnuków w Kościele. Opierałam się i nie pozwalałam, żeby mieli regularny kontakt z moimi dziećmi, a już na pewno nie pod moją nieobecność. Często przyjmowali gości, ja zaś nie ufałam ich znajomym.

Taka moja postawa bardzo raniła rodziców, ale ja nadal nie miałam odwagi wyjaśnić im mojego zachowania. Nie potrafili mnie ochronić i nie wierzyłam, żeby mogli ochronić moje dzieci.

Konfrontacja z Kościołem sprawiła, że otwarcie zagadnęłam rodziców o przypadki molestowania, które kilka lat wcześniej wyszły na światło dzienne.

Jeszcze nim wyjechaliśmy do Afryki, odezwała się do mnie Henrike. Spotkałyśmy się wówczas kilka razy i byłam zszokowana liczbą i brutalnością gwałtów, o których opowiadała. Choć starszyzna kościelna wiedziała o wszystkim, nikt nie zajął się ofiarami, nie było żadnego zadośćuczynienia, profesjonalnej terapii ani ukarania winnych.

To mnie rozwścieczyło, sądziłam bowiem, że przynajmniej w Szwajcarii w kręgach chrześcijańskich zwycięży sprawiedliwość. Przez wszystkie te lata większość ofiar jednak milczała z własnej woli lub została do tego zmuszona. Pokrzywdzeni mieli wybaczać sprawcom i żyć w

nimi w pokoju, co oznaczało po prostu, że mieli milczeć.

Czy ludzie nie rozumieli, że w ten sposób dochodziło do kolejnych gwałtów, których końca nie było widać? Uważałam takie postępowanie za dalsze krzywdzenie ofiar. Mężczyźni atakowali niewinne dzieci, a w dodatku nie byli za to pociągani do odpowiedzialności. Wręcz przeciwnie, od zhańbionych ofiar wymagano, żeby wybaczały i milczały! Wybaczenia nie można żądać, wobec takiej presji jest ono z założenia fałszywe. Dla rady kościelnej liczyło się zachowanie dobrej opinii wspólnoty, która z zewnątrz coraz częściej postrzegana była jako sekta. Gdyby liczne nadużycia pedofilów wyszły na światło dzienne, postawiłoby to radę w wyjątkowo trudnej sytuacji.

W tym czasie rozmawiałam z kilkoma ofiarami, w większości kobietami, które cierpiały na depresję i stany lękowe. Co dziwne, teraz, kiedy nie należałam już do ich wspólnoty, potrafiły się przede mną otworzyć. Niektóre ofiary były kalekami, niezdolnymi do prowadzenia normalnego życia. Wiele z tych osób – pomimo cierpienia, jakiego doznały – nie potrafiło uwolnić się od Kościoła. Z wielkiego strachu i wstydu nadal płaciły dziesięcinę, jak napisano w Biblii, i w ten sposób pośrednio wspierały cały system, sprawców i przewodniczących wspólnot. Ci ostatni byli wyjątkowo sprawni w manipulacji, ponieważ zmuszali ofiary do wybaczenia gwałcicielom i przestrzegali je przy tym słowami z Biblii: „Jeśli nie przebaczycie ludziom, i Ojciec wasz nie przebaczy wam waszych przewinień”.

Nie mogłam już dłużej słuchać tej stałej śpiewki o przebaczeniu, odpuszczeniu i pojednaniu. Porzuciłam nadzieję na sprawiedliwość w Kościele. W tym czasie świadomie postanowiłam, że nie będę dłużej przejmować się nieprawidłowościami, tylko skupię się na tym, by odzyskać wewnętrzny spokój. Nie warto podnosić głosu – tyle było dla mnie jasne. Nawet prześladowca Henrike nadal działał spokojnie w Kościele, choć ona i inne dziewczęta już dawno ujawniły przed starszyzną wszystkie jego nadużycia wobec przeważnie jeszcze nieletnich ofiar.

„Pomóż sam sobie, a wtedy i Bóg ci pomoże”. W kościelnych kręgach nigdy nie ośmieliłabym się głośno wypowiedzieć tej ludowej mądrości, którą bardzo lubiłam, ponieważ przekonałam się, jak bardzo jest prawdziwa. Sama pomogłam sobie wyjść z niedoli, kiedy postanowiłam zebrać w sobie siłę, odpowiednie nastawienie, wolę i energię, i walczyć o siebie. Wreszcie udało mi się wyzwolić ze wszystkich religijnych pęt. Czułam się lżej i swobodniej, a oparcie znajdowałam w sztuce. Od tej pory chciałam sama grać pierwsze skrzypce w moim życiu.

Paraliż

Stopniowo coraz bardziej doceniałam życie, jakie prowadziłam w Szwajcarii poza Kościołem. Przekonałam się, że nie jest wcale takie złe, choć zawsze wpajano mi, że poza Kościołem nie ma niczego dobrego.

Odnalazłam inny świat, w którym nauczyłam się iść przez życie bez wyrzutów sumienia. Nawet jeśli nie żyłam zgodnie z zasadami Kościoła, czułam się coraz bardziej kochana przez Boga, kimkolwiek by ów Bóg był.

Po raz pierwszy w życiu byłam szczęśliwa, że jestem Szwajcarką i mogę mieszkać w tym kraju. Często wybierałam się z chłopcami na wycieczki do lasu. Tam uczyłam ich strzelać z łuku, rozpałać ognisko i budować małe tamy na rzece. Przyglądaliśmy się, jak banany dochodzą w żarze, i budowaliśmy chaty. Kochaliśmy las, wodę, naturę. Denerwowały mnie tylko kleszcze, które nieustannie atakowały dzieci i mnie. Były uciążliwe niczym *boro*, nie wiedziałam jednak, jakie niebezpieczeństwo niosą ze sobą te małe pajęczaki.

Kiedy po ugryzieniu kleszcza na mojej nodze pojawiła się czerwona plama, niewiele sobie z tego robiłam. Dwa tygodnie później leżałam w łóżku z wysoką gorączką. Męczyły mnie potworne migreny. Mój stan się pogarszał. Ledwo mogłam obrócić głowę i bolały mnie wszystkie stawy. Zagryzałam jednak zęby, opiekowałam się dziećmi i wykonywałam najpotrzebniejsze prace domowe. Coraz bardziej jednak sztywniał mi kark i wkrótce przestałam poruszać rękami. Dopiero gdy dosięgnął mnie paraliż, wybrałam się do lekarza. Diagnoza brzmiała: bardzo ostra borelioza w zaawansowanym stanie.

– Przykro mi, pani Krüsi, ale urazy będą trwałe. Dobrze by było udać się do lekarza w kasie chorych i poświadczyć stuprocentową utratę zdrowia. Nigdy już nie będzie pani mogła pracować. Paraliż prawdopodobnie się utrzyma, a stany zmęczenia i silne migreny mogą towarzyszyć pani przez całe życie. Zgłosiła się pani o wiele za późno!

Dostałam antybiotyk w kroplówce i tabletki, po czym ciężko chora położyłam się do łóżka.

Przeżyłam Boliwię i Afrykę, i wreszcie byłam bezpieczna, a oto nie mogłam poruszać rękami, ciało bolało mnie przy najmniejszym ruchu i czułam się paskudnie! Zostawiona sama z dziećmi, próbowałam przetrwać jakoś kolejne dni, Roger bowiem oprócz stresującej pracy był bardzo zajęty studiami. W dzień i w nocy towarzyszyły mi nieznośne migreny. Po kilku tygodniach poczułam na powrót swoje ramiona i mogłam łatwiej nimi poruszać. Bóle głowy jednak nie chciały ustąpić, miałam o wiele za wysokie ciśnienie, a serce biło mi jak oszalałe, lekarz przepisał więc jeszcze więcej leków.

Nie przywykłam łykać tabletek i zaczęłam zastanawiać się nad całą tą sytuacją. Czy Bóg pokarał mnie za odejście z Kościoła? Nie, to nie mogła być prawda, a jeżeli tak, nie chciałam wierzyć w takiego Boga.

Co mogłam zrobić, aby sobie pomóc? Nie miałam zaufania do szwajcarskich lekarzy. Twardo trzymali się swoich przewidywań, mówili, że będę przez całe życie cierpieć na nieznośne bóle głowy i paraliż. Nie byłam na to gotowa. Postanowiłam zatem coś z tym zrobić.

Lecz co? Próbowałam wsłuchać się w siebie. Co chciała powiedzieć mi ta choroba? Chciałam żyć, wybrałam moje własne życie. Dobre życie. A teraz miałabym pogodzić się z tym, że muszę egzystować z nieznośnym bólem? *Nie, nie ja! Będę żyć dobrze!*

Podjęłam decyzję, a ratunek nie kazał długo na siebie czekać. Pewna sąsiadka spytała, czy chcę z nią uprawiać jogging. Z powodu bólu poruszałam się z trudem, a przy każdym kroku miałam wrażenie, że moja głowa zaraz eksploduje. Mimo to zgodziłam się.

Pierwsza sesja jogingu okazała się dla mojego ciała piekłem, głowa paliła mnie i tętniła z bólu. Wytrzymałam jednak i dwa dni później poszłam znowu biegać. Na początku tylko przez pół

godziny, potem coraz dłużej. Za każdym razem szło mi lepiej, ku mojemu zaskoczeniu po każdym treningu napięcie karku nieco słabło. Mogłam łatwiej oddychać, a moje ciało było odpowiednio dotlenione. Las, zwierzęta, sąsiadka, która okazywała mi dużo cierpliwości, prowadzone z nią rozmowy i świeże powietrze ożywiały moje ciało i ducha. Konsekwentnie trenowałam biegi i wyzdrowiałam! Bez żadnych leków na serce, żadnych tabletek przeciwbólowych, i to już po sześciu miesiącach. Nowa radość życia, bez bólu i bez upośledzenia.

Co za szczęście!, myślałam. Dzięki mojej woli i konsekwencji zdołałam zapobiec przewidywanym przez lekarza urazom. Od tej pory trenowałam prawie codziennie. Biegałam dalej i kochałam to odzyskane na powrót życie, całkowicie wolne od bólu.

Również w innych sferach sprawy zaczęły wreszcie się układać. Kupiliśmy dom w małej wiosce, pracowałam jako nauczycielka rysunku i miałam dość czasu, by nadal zajmować się własną sztuką. Prowadziłam kursy dla dorosłych oraz przygotowywałam młodzież do egzaminów wstępnych na akademie sztuki. Moje dzieci rozwijały się wspaniale, a nowi znajomi wzbogacali nasze życie. Wydarzenia z dzieciństwa były ukryte we mnie głęboko przed obcymi spojrzeniami i sądziłam, że nie będę musiała nigdy do nich wracać.

Prowadziłam zatem satysfakcjonujące życie, aż pewnego dnia podczas joggingu straciłam przytomność i odezwał się we mnie głos: „Dzień dobry, to ja, prawda”.

Na ostrzu noża

Prawda postawiła całe moje życie na głowie. Nic nie było już takie, jakie zbudowałam. Fikcyjny mały raj zupełnie się rozpadł – moje małżeństwo, rodzina i relacje z rodzicami. Wszystko, co dawało mi poczucie bezpieczeństwa, znikło. Musiałam zastanowić się, jak ułożyć sobie życie jako samotna matka.

W sylwestra 2003 roku siedziałam przed stosem gruzów i musiałam zadać sobie wiele pytań. Z czego miałam się utrzymać? Czy powinnam podjąć pracę na pół etatu jako nauczycielka? Czy będę umiała znowu się zakochać? Mieć partnera? Czy tego chciałam? Czy muszę sprzedać dom? Gdzie powinnam zamieszkać z dziećmi, jak mam poradzić sobie z rozczarowaniem rodziny, przyjaciół i krewnych? Choć były mąż wspierał mnie finansowo, pojawiły się lęki egzystencjalne. Niepotrzebne, ale wyraźne, i wymagało ode mnie wiele siły, żebym zdołała stawić im czoło i nie pozwoliła zwyciężyć.

Codziennie konsekwentnie poświęcałam czas na rozliczanie się z trudnym dzieciństwem. Rozmawiałam o nim z Gudrun, pisałam pamiętnik i malowałam, malowałam, malowałam.

Pomimo wielu otwartych pytań postanowiłam w pełni cieszyć się życiem i bawić. To zachowanie równowagi między rozliczeniem a relaksem okazało się dla mnie zbawienne.

Zupełnie nieoczekiwanie pojawił się w moim życiu nowy mężczyzna. Poznaliśmy się na kolacji u wspólnego znajomego. Tego wieczora rozmawialiśmy długo, dużo się śmialiśmy i miło spędziliśmy czas. Roland miał długie, kędzierzawe włosy i duże poczucie humoru. Opowiedział, że przygotowuje się właśnie do maratonu w Zurychu. Cóż za przypadek, ponieważ i ja do niego trenowałam. Gdy w dodatku wyznał, że lubi tańczyć salsę, ledwo mogłam w to uwierzyć. Uwielbiałam salsę nade wszystko. Roland od razu zaprosił mnie na następny weekend na tańce. Zgodziłam się bez namysłu. W domu jednak poczułam się wyjątkowo niepewnie na myśl o tym, że znowu go zobaczę.

Może o mnie zapomni, myślałam, jednak już następnego dnia Roland przysłał SMS. Najwyraźniej traktował zaproszenie poważnie.

Podekscytowana zadzwoniłam do mojej siostry Stefanie i poprosiłam o radę. Siostra zareagowała entuzjastycznie i zaproponowała, że w weekend wybierze się z nami, co bardzo mnie uspokoiło. Byłam ciekawa jej opinii o Rolandzie.

Weekend nadszedł szybciej, niż bym chciała. Tego wieczora weszliśmy ze Stefanie do lokalu i rozejrzałyśmy się w tłumie. Nigdzie nie było widać Rolanda.

Siostra pociągnęła mnie za łokieć i wskazała na mężczyznę przy barze.

– Ten tam macha do ciebie – zauważyła. – Wygląda nieźle, znasz go?

Początkowo go nie poznałam. Nie był to Roland, którego zapamiętałam. Z ogoloną na tyso głową wyglądał zupełnie inaczej, ale jeszcze bardziej elegancko i atrakcyjnie. Usłyszałam z daleka jego głośny śmiech i zobaczyłam, jak znacząco przejeżdża dłonią po nieistniejącej już czuprynie. Udała mu się niespodzianka!

– Witajcie, piękne panie, czego się napijecie? Przyniosę wam coś, a potem od razu na parkiet, muzyka jest dziś sensacyjna.

Siostra mrugnęła do mnie.

– On jest świetny, Christino, naprawdę *cool!* – szepnęła mi do ucha.

Ja jednak wstrzymywałam się z zachwytem i czekałam, co się stanie dalej. Po chwili Roland poprowadził mnie na parkiet. W tańcu prowadził mnie pewnie i czule. W jego obecności czułam się dobrze, mogłam odrzucić wszelkie wątpliwości i lęki i cieszyć się każdą chwilą. Gdy pod koniec wieczora bez ostrzeżenia pocałował mnie, odpowiedziałam namiętnie na pocałunek.

Następnego dnia ktoś zadzwonił do drzwi. Kurier doręczył mi olbrzymi bukiet czerwonych róż

z dołączonym liścikiem. Podekscytowana zdjęłam folię z pięknych kwiatów i głęboko wtuliłam w nie nos. Dopiero po kilku oddechach dotarł do mnie zapach. Po tym, gdy jako dziecko byłam wielokrotnie odurzana i gwałcona w toalecie w Tumi Chucua, niemal zupełnie straciłam zmysł węchu.

Z koperty wyciągnęłam karteczkę, również ozdobioną czerwonymi różami. „Droga Christino... czy wolno mi się w tobie zakochać?”

Miałam zatem dowód czarno na białym, że Roland naprawdę miał wobec mnie poważne zamiary. Ja również byłam w nim tak bardzo zakochana, że nie wiedziałam już, gdzie mam głowę. W tej samej chwili jednak zrobiło mi się na przemian zimno i gorąco, gdy pomyślałam, jak zareagowałby, gdyby usłyszał o mojej przeszłości. *Muszę już na samym początku powiedzieć mu, co się ze mną dzieje. Jeżeli będzie umiał sobie z tym poradzić, znaczy to, że jest dla mnie właściwym mężczyzną, a jeżeli nie, nie będę się z nim więcej zadawać!*

Zadzwoniłam do Rolanda, by podziękować, i zaprosiłam go razem z synem na spaghetti do siebie do domu.

Następnego dnia stanął ze swoim pięcioletnim synkiem przed drzwiami. Po jedzeniu moje dzieci zabrały chłopca do swojego pokoju, żeby się pobawić. Wykorzystaliśmy z Rolandem okazję i całowaliśmy się gorąco.

Roland czuł jednak, że chcę mu coś powiedzieć.

– Christino, nie odpowiedziałas jeszcze na moje pytanie. Czy wolno mi się w tobie zakochać? Wciągnęłam głęboko powietrze.

– Tak, owszem, ale... – zaczęłam się jąkać.

– Ale co?

– Najpierw muszę ci coś o sobie opowiedzieć. Jeżeli potem nie będziesz chciał się we mnie zakochać, zrozumiem.

Sama się sobie dziwiłam, jak otwarcie opowiadałam mu o niektórych zajściach z mojego dzieciństwa. Nie kryłam również, że jestem właśnie w trakcie rozliczania się z przeszłością.

Roland wysłuchał mnie cierpliwie, nie przerywając. Potem wziął mnie w ramiona niczym wielki, silny niedźwiedź.

– Christino, cokolwiek cię spotkało, biorę cię taką, jaka jesteś. Czuję, że sobie z tym poradzisz. Nie wiem dlaczego, ale jestem o tym przekonany. Pomogę ci, jak tylko będę potrafił. To wszystko nie ma nic wspólnego z moją miłością do ciebie.

Ogromny kamień spadł mi z serca. Czy naprawdę dobrze usłyszałam, dobrze go zrozumiałam? Czy to możliwe? Czy mówił poważnie? W oczach Rolanda znalazłam potwierdzenie jego słów, był wobec mnie szczerzy. Sam również był świeżo po rozwodzie i jawił się jako kochający ojciec, co zrobiło na mnie duże wrażenie. Pracował jako menadżer w dużym amerykańskim przedsiębiorstwie. Kościół i religię znał tylko z dzieciństwa. Najważniejsza jednak była jego szczerza miłość, ponieważ otworzyła ona moje serce.

Kilka tygodni później otrzymałam zaproszenie z organizacji Wycliffe – wszystkie ofiary wykorzystywania seksualnego w Tumi Chucua miały spotkać się w Stanach Zjednoczonych. Byłam zupełnie wytrącona z równowagi, naprawdę mieliśmy się znowu zobaczyć? Po tak wielu latach? Czułam się rozdarta, nie wiedziałam, co sądzić o tym zaproszeniu. Roland zaoferował, że będzie mi towarzyszyć, choć bardzo niewiele wiedział jeszcze o tych moich doświadczeniach. Gudrun była jedyną osobą, której opowiedziałam naprawdę wszystko.

Aby wziąć udział w spotkaniu, musiałam podpisać zobowiązanie do zachowania poufności – po to, jak twierdzono, aby zapewnić uczestnikom bezpieczeństwo. W trakcie przygotowań do podróży pojawił się we mnie niekontrolowany lęk, czułam, jakbym ryzykowała życie. Ledwo mogłam się opanować. Wszyscy sprawcy mieszkali w Stanach Zjednoczonych. Co będzie, jeśli ich spotkam?

Ścisnęło mnie w gardle, nie ufałam organizacji misyjnej. Czego naprawdę chciała? Chronić nas, ofiary, czy też sprawców, którzy wszyscy pochodzili z jej szeregów? A może siebie samą? Nowe koszmary nie pozwalały mi spać. Do czego doprowadzi to spotkanie?

Z przerażeniem stwierdziłam, że wydany nam przed wieloma laty przez sprawców zakaz

spotkania się i rozmawiania ze sobą nadal wywołuje we mnie szalony lęk. Czy prześladowcy zauważą, że nie posłuchaliśmy ich poleceń? Czy spełnią swoje groźby i mnie zabiją? Moje dzieci? Nie, musiałam chronić dzieci, ale jak? Czy Roland wytrzyma takie spotkanie? Czy będzie mnie nadal kochać nawet wtedy, gdy pozna olbrzymi, niehumaniczny rozmiar krzywd?

Moje serce szalało, waliło, broniło się, ciało reagowało gwałtownymi objawami. Ból zaległ na moich biodrach niczym ważący tonę pas. Zmysły wyostriły się, czujnymi oczami obserwowałam wszystko i wszystkich. Zamykałam każde drzwi, nocą zaglądałam do dzieci i nie odważałam się wychodzić z domu.

Trzy dni przed podróżą presja narosła we mnie tak bardzo, że podczas ataku migreny straciłam przytomność. Byłam w domu sama z dziećmi, które wezwały Stefanie, a ta od razu zawiozła mnie do szpitala. Jeszcze nigdy w życiu nie miałam takiego bólu głowy. Ciśnienie wzrosło mi do krytycznego poziomu. Leżałam na szpitalnym łóżku sparaliżowana bólem. Kroplówka na lewej ręce pompowała do moich żył morfinę. Oczy trzymałam zamknięte. Miałam wrażenie, że się unoszę, moje ciało stawało się coraz lżejsze, aż wreszcie odnalazłam spokój i zasnęłam wyczerpana. Lekarze nie potrafili wyjaśnić takiego stanu i dla pewności zatrzymali mnie w szpitalu przez kolejny dzień na obserwację.

Następnego ranka podjęłam jednak decyzję – mimo wszystko pojedę do Ameryki. W duchu podniosłam się i wyciągnęłam się sama za uszy z bagna strachu. Strachu, że nie przeżyję tego spotkania. Zostaliśmy zmuszeni do milczenia. Nie widzieliśmy się przez kilkadziesiąt lat, zakazano nam wszelkiego kontaktu, przypisując nam winę i grożąc użyciem przemocy. Dzięki konfrontacji ze wspomnieniami i przeszłością udało mi się zbudować nowe życie, a teraz miałam nie cieszyć się odzyskaną wolnością? Pomimo strachu chciałam być świadkiem tego, jak po ponad trzydziestu latach zostanie przełamane milczenie. „Nikt już nie powstrzyma mnie przed zrobieniem tego, co jest dla mnie dobre! Jeżeli Roland przetrwa tę podróż ze mną, znaczy to, że jest tym jedynym – jeżeli nie, rozstaniemy się”, napisałam w pamiętniku.

Do walizki spakowałam spodnie – żadnych spódnic. Lot do Stanów Zjednoczonych latem 2004 roku utrudniały potężne, przypominające huragany burze – w pełni odpowiadające moim wewnętrznym przeżyciom i lękom. Roland dawał mi w tym czasie poczucie, że jest rycerzem u mego boku.

W ośrodku chrześcijańskim zajęliśmy mały, spartańsko urządzone pokój. Na ścianach wisiały wszędzie cytaty z Biblii. Na ich widok przeszył mnie dreszcz. Jak wtedy na obozach, pomyślałam.

Roland usiadł obok mnie na chyboczącym się łóżku i długo trzymał mnie w ramionach.

– Boję się, oni wszyscy są tacy pobożni i będzie ich drażnić, że nie należymy do Kościoła – wyszeptalam.

– Jestem i zostanę przy tobie! A w najgorszym razie wyprowadzę cię stąd. Nie wolno im stawiać cię pod presją, zadbam o to – odparł Roland stanowczo i przycisnął mnie mocno.

W drodze do dużej sali spotkań drżały mi kolana, ale już z daleka rozpoznałam Meliszę, Gabriele i Andreę. Wszystkie obawy ustąpiły i łkając z radości, padłyśmy sobie w ramiona. Obejmowałyśmy się we cztery długo.

– Gdzie jest Finn? – wyszeptalam zza zasłony łez.

– Nie wiemy, myślałyśmy, że może ty masz z nim kontakt.

– Nie, nigdy się do mnie nie odezwał. Ale jego miejsce jest tutaj! Powinien być przy tym!

Sala była już wypełniona po brzegi. Przystanąłam na progu jak skamieniała. Czy naprawdę miałam teraz powiedzieć prawdę? Czy mi uwierzą? Czy mogłam zaufać obecnym tu ludziom? Nie wiedziałam.

Wejść, wysłucham razem z innymi strasznych historii i wyjdę. A potem, co stanie się potem? Czy poczuje się lepiej? Czy coś się zmieni? Czy stanie się coś ważnego? Czy wreszcie doczekamy się sprawiedliwości? Czy organizacja zadba o to, by powstrzymać działania przestępców? Czy w ogóle mogła to zrobić? Musiał przecież istnieć jakiś sposób, by przynajmniej teraz chronić dzieci przebywające w otoczeniu sprawców. Tak, musiałam zeznawać. Jeżeli nie, kolejne ofiary będą wykorzystywane. Na tę myśl lodowaty dreszcz przeszedł mi po plecach. Musiałam zeznawać, aby chronić dzieci! Ten horror musiał się skończyć.

Roland dotknął delikatnie mojego ramienia i spytał, czy dobrze się czuję. Dzielnie skinęłam głową i weszłam do sali. Podobnie jak pozostali podałam każdemu uczestnikowi dłoń. Ręce mi się pociły – zimny pot. Każdy fragment mojego ciała był napięty. Usiadłam i wbiłam wzrok w ziemię. Roland trzymał mnie za rękę, to mnie uspokoiło i dodało sił. Jeżeli stanie się coś złego, pomoże mi opuścić salę. Stanie po mojej stronie, jeżeli nie zechcą mi uwierzyć.

Rozejrzałam się wokół. Czy inni będą mieć siłę, by opowiedzieć o gwałtach? Już przy pierwszych zeznaniach zauważyłam, że ofiary powstrzymywały się przed opowiedzeniem najgorszego; dla Rolanda i kilku osób towarzyszących jednak i to było już dość.

W przerwie wyszliśmy z Rolandem na świeże powietrze. Był przytłoczony tym, co usłyszał, a nie przyszła jeszcze kolej na mnie.

– Nie biorę żadnych narkotyków, Christino, dobrze o tym wiesz, ale teraz najchętniej wypaliłbym skręta. To, co usłyszałem tam w środku, to olbrzymi skandal.

Skinęłam głową i pomyślałam: O Boże, a to tylko czubek góry lodowej.

Po przerwie nadeszła moja kolej.

– Nie opowiem wszystkiego, bo trwałoby to zbyt długo. Byłam wykorzystywana na różne sposoby przez wielu mężczyzn i poddawana tajnym rytuałom. Gdy miałam zaledwie sześć lat, nacięli mi głęboko nożem oba kolana – nie potrafię powiedzieć, dlaczego, może jako znak rozpoznawczy.

Po kilku minutach przerwałam, nie potrafiłam mówić dłużej. Odniosłam jednak zwycięstwo, bo po raz pierwszy w życiu opowiedziałam wobec ludzi z Tumi Chucua o molestowaniu i przełamalam znowę milczenia. Zalała mnie fala ulgi i radości. Pokonałam własny lęk i przemówiłam, przemówiłam pomimo śmiertelnego strachu, publicznie! I mimo to nadal żyłam, wciąż żyłam.

W przerwie obiadowej usiadłam przy stole z kilkorgiem uczestników. Radość, że widzimy się po tak wielu latach, była olbrzymia, mieszała się jednak z odwiecznym smutkiem, lękiem w najróżniejszych odmianach, bezradnością i niepewnością. Komu można zaufać, a komu nie? Mimo wszystko czułam wśród zebranych prawdziwą empatię dla naszych poszczególnych losów. Głębokie poczucie wspólnoty między ofiarami z czasem wygrało walkę z nieufnością. Wieczorem, kiedy wyczerpani i zasmuceni tym, co usłyszeliśmy, wróciliśmy do naszego pokoju, pokazałam Rolandowi wszystkie moje albumy z czasów szkolnych. Pomimo tego, co przeżyłam, nadal je przechowywałam. Była to dokumentacja z radosnego świata, małego raj w środku południowoamerykańskiej puszczy. Zdjęcia poruszyły we mnie stare rany, ale koniecznie chciałam, by Roland zyskał obraz ośrodka misyjnego w Boliwii. Patrzyliśmy na wydłużoną wioskę Tumi Chucua, na idylliczną wyspę na jeziorze, przepiękne kąpielisko i pobliskie toalety. Radosne twarze dzieci, krzątający się pracownicy, wypełniony po brzegi kościół. Drzewa mango obwieszane owocami, papaje, olbrzymi zabity boa i krokodyl. Zdjęcia z dnia sportu i z przedstawień teatralnych. Weseli młodzi ludzie śmiejący się do aparatu. Rozpoznałam budynek szkoły, plac ubojni, dwie drużyny grające w siatkówkę, plac targowy i hangar. Było też mnóstwo zdjęć zachodów słońca.

Roland był zachwycony.

– To niewiarygodne, Christino, że dorastałaś w tym raj! Wygląda przepięknie. To straszne, że dla ciebie stał się piekłem. Tak mi przykro, Christino.

Następnego ranka przedstawiono nam planowany przebieg dnia. Dla zespołu było bardzo ważne, żebyśmy trzymali się ustalonych reguł. Podejrzewano zapewne, co może dziać się w następnych godzinach, gdy zaczniemy zeznawać o gwałtach. Prowadzący najwyraźniej dobrze się przygotowali.

Tego dnia odważnie weszłam do sali, ponieważ nie byłam już sama z moją przeszłością. Mogłam bez strachu rozmawiać z innymi ofiarami. Zmowa milczenia została przerwana. W czasie przerwy dostrzegłam na ziemi płaski kamień z przepięknym naturalnym rysunkiem. Podniosłam go i przyglądałam się mu długo. Leżał na mojej dłoni okrągły, o brzegach wypolerowanych w ciągu długich lat. Włożyłam go do kieszeni spodni. Od tej pory był moim stałym towarzyszem, wszystko bowiem, co mnie czekało, także miało uczynić mnie gładszą i doskonalszą. Nie pozwolę, żeby

dłużej raniły mnie ostre kanty mojej przeszłości.

To był trudny dzień, przetoczyła się nad nami prawdziwa lawina, zalała nas fala strasznych, przerażających informacji i szczegółów. Stare, nagromadzone wspomnienia, pozornie pogrzebane, uwolniły się wreszcie po tak wielu latach milczenia.

Pożegnanie było zdecydowanie serdeczniejsze niż powitanie, łyły się strumieniami. Podczas lotu powrotnego mieliśmy z Rolandem wiele do omówienia. Długo trwało, nim zrozumiał większość powiązań, na spotkaniu bowiem przemilczałam niektóre zdarzenia. Potwierdziło się przypuszczenie, że w Tumi Chucua wykorzystywano seksualnie wiele dzieci, i miało to dalekosiężne skutki.

Byłam najmłodszą uczestniczką tego spotkania ofiar, tak jak dawniej byłam najmłodszą z „wybrańców”. Razem z Gabriele, Melissą, Andrea i Finnem, który nie przyjechał – nikt nie wiedział dlaczego – doświadczyliśmy w Tumi Chucua najostrzejszych i najbrutalniejszych ataków. Czułam głęboką wdzięczność za to, że mój ogólny stan psychiczny i fizyczny był wyraźnie lepszy niż innych. W przeciwieństwie do wielu ofiar mogłam pracować i nie byłam przewlekłe chora ani upośledzona.

Ale dlaczego? Jak to możliwe, że doznałam tak wielkiej przemocy, a jednak – jak na te okoliczności – miałam się dobrze? Nie potrzebowałam psychiatry, leków, nie doświadczałam żadnych wyjątkowych zaburzeń, mogłam wychowywać dzieci i prowadzić może nieco nietypowe, ale mimo wszystko całkiem normalne życie jako malarka i nauczycielka.

Wyczerpani i przytłoczeni rozmiarem tego, co usłyszeliśmy, z ulgą wróciliśmy do Szwajcarii.

Po powrocie do domu postanowiłam złożyć zawiadomienie o przestępstwie. Nie mogłam pozwolić, by moi prześladowcy nadal pracowali w szkołach lub w innych placówkach i żyli na wolności, dobrze zarabiali. Być może nadal bezkarnie kontynuowali swoje zbrodnicze działania, podczas gdy wiele ich ofiar cierpiało na ciężką depresję, było niezdolnych do pracy i z trudem radziło sobie w życiu.

Po spotkaniu spodziewałam się wsparcia ze strony Wycliffe. Powiedziano nam bowiem, że pracownicy zajmujący się tą sprawą chcą nam pomóc. Prowadzili ocenę zakresu nadużyć, protokołowali wszystkie zeznania i obiecali, że skonfrontują z nimi sprawców. Ponieważ samej nie było mnie stać na adwokata, zwróciłam się w tej sprawie do organizacji. Zamierzałam postawić przestępców przed sądem. Chciałam sprawiedliwości i zapewnienia dzieciom ochrony przed kolejnymi atakami.

Odpowiedź była druzgocąca. Nie otrzymałam wsparcia, na które liczyłam. Nikt nie chciał pomóc mi dochodzić moich praw, wręcz przeciwnie, wyraźnie przestrzeżono mnie przed konsekwencjami, z którymi musiałabym się liczyć, gdybym opowiedziała o wszystkim publicznie. Dopiero teraz rozumiałam prawdziwy sens porozumienia, które podpisałam przed spotkaniem. Idea walki przeciw sprawcom i całej organizacji bez pomocy adwokata okazała się mrzonką.

Ta upokarzająca sytuacja wywołała we mnie wielką, niemal niepohamowaną wściekłość. Nie mogłam pozwolić na to, że gdy pomimo śmiertelnego strachu przełamaliśmy znowę milczenia, nasze działanie miałyby pójść na marne! Tak właśnie widziałam to jednak jako ofiara. Sprawcy nadal mieli żyć na wolności, podczas gdy ja musiałam poświęcić całe lata na walkę z przeszłością.

Ponownie poczułam się opuszczona i znowu stałam się ofiarą – niezdolną do działania, bezradną, pozostawioną samej sobie.

Po otrzymaniu odmowy ogarnęła mnie rezygnacja, ale wkrótce pojawiły się również inne odczucia. Coraz częściej myślałam, że nie zrobiłam dość, by zmusić Wycliffe do okazania ofiarom prawdziwej pomocy, a przede wszystkim, aby zapobiec dalszym nadużyciom. Znowu usiłowało we mnie wygrać dawne poczucie winy.

Czy byłam winna, ponieważ nie udało mi się zaskarżyć sprawców, którzy być może do dziś wykorzystywali bezbronne dzieci? Czy było moją winą, że niektórzy członkowie organizacji woleli zamieść wszystko pod dywan, niż zadbać o bezpieczeństwo? Czy zawiniłam?

Poczucie winy wzbierało we mnie całymi dniami. Wściekła zapisałam w pamiętniku, że przeciwstawię się mu i zgłębię jego przyczyny. Tak też zrobiłam.

Ostatni hołd

Tak, znałam dobrze to poczucie winy i nie musiałam szukać długo, żeby odkryć, skąd przyszło. Było to wrażenie omdlenia, jakie czułam wówczas na cmentarzu, kiedy nie zdołałam ocalić małej dziewczynki przed śmiercią. Od dzieciństwa nosiłam w sercu tę winę, jednak dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak wszechwładne było to uczucie. Ciężkie jak kamień. Moje myśli krążyły stale wokół dziewczynki, wciąż widziałam przed sobą jej nieruchome ciało. Jak mogłam ją uratować? Czy w ogóle była wtedy szansa na uratowanie dziecka?

Wina ciążyła i przytłaczała mnie. Musiałam już zawsze żyć z tym uczuciem, ponieważ nie przemówiłam, nie krzyknęłam. Mogłabym ją przecież uratować, musiał istnieć jakiś sposób!

Nie wiedziałam jednak, że ją zabiją, w tamtej chwili tego nie wiedziałam. Dopiero gdy było już za późno. Nie zdołałabym pomóc niemowlęciu. Przez lata pozwalałam, by cała odpowiedzialność za śmierć małego, bezbronnego i niewinnego dziecka spoczywała na moich barkach.

Głośno przerwałam te rozmyślenia i krzyknęłam wściekła:

– Christino, nie jesteś winna śmierci małej dziewczynki. Nie miałaś szansy! To była ich wina. Wyłącznie ich wina, ich odpowiedzialność, tylko i wyłącznie. Teraz przypisuję na powrót odpowiedzialność mordercom, oni muszą ją ponieść, nie ja!

Dawne poczucie winy i towarzyszące mu zazwyczaj myśli wciąż próbowały sabotować podjętą przeze mnie decyzję. Czy mogłam jednak uratować dziewczynkę? Raz za razem zaprzeczałam i obstawałam uparcie przy swojej niewinności.

Potem uświadomiłam sobie wreszcie coś, co pomogło mi wydostać się ze spirali poczucia winy. Byłam wtedy dzieckiem – mężczyźni byli dorośli. To dorośli ponoszą odpowiedzialność za dzieci, nie odwrotnie. Ja także byłam odpowiedzialna za moje dzieci, a nie one za mnie. Ta świadomość zmieniła wszystko. Jak robiłam już dawniej, wzięłam kartkę i długopis. Wściekle zapisałam na papierze wielkimi literami: **SPRAWCY PONOSZĄ PEŁNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA SWOJE DZIAŁANIA, OD TEJ PORY JESTEM WOLNA OD WSZELKIEJ WINY!!!**

Przez długi czas patrzyłam na to, co napisałam, i powtarzałam owo zdanie raz po raz na głos. Powoli ołowiany ciężar na moich ramionach rozpadł się na kawałki, ciężkie okruchy stopniowo opadały na ziemię. Moje ciało stawało się lżejsze, coraz lżejsze i swobodniejsze. Ta swoboda była niewiarygodnym uczuciem, ledwo mogłam pojąć, że człowiek może w ogóle czuć się tak swobodny.

– Oddam dziecku ostatni hołd – oznajmiłam w euforii. Tak też zrobiłam. Przypomniałam sobie o mojej ostrzyżonej lalce, która tak często dawała mi pociechę. Wcześniej namalowałam ją jako symbol mojej sytuacji – niezdolną do ruchu, zanurzoną po nos w wodzie. Zasłużyła na coś lepszego, miała więc teraz zostać wyniesiona, by przedstawiać wszystkie zamordowane dzieci.

Kupiłam drogi błękitny jedwab i starannie uszyła sukienkę dla mojej lalki, która teraz symbolizowała małą dziewczynkę. Szyła błękitną sukienkę dla wszystkich zabitych dzieci tego świata. Tak, dla wszystkich dusz, które spotkał ten sam los i które, bezradne i niewinne, musiały rozstać się z życiem. Potem nabyłam duże, piękne płótno najlepszej jakości. Posadziłam moją wystrojoną teraz lalkę w nowej błękitnej sukience na małym podeście i zaczęłam ją malować. Moje serce wypełniła radość, nadzieją oraz miłość do wszystkich dzieci tego świata, które pozbawiono życia. A także do wszystkich ludzi, którym przemocą odebrano dzieci. Czułam smutek i cierpienie, samotność i nieznośny ból, jakiego doświadczyli. Tak, również dla nich malowałam tę lalkę w niebieskiej jedwabnej sukience. Piękna pamiątka ku czci ich wszystkich.

Malowałam i malowałam, a spokój stopniowo powracał. Bardzo chciałam móc zachować go na zawsze. Miałam nadzieję, że wszystkie dusze zmarłych dzieci i wszyscy ich bliscy również

odnajdą spokój.

Lista życzeń

Uświadomiłam sobie, że muszę zrobić coś, żeby móc zatrzymać w sobie odzyskany spokój. Chciałam o niego walczyć! Ale jak, w jaki sposób mogłam wywalczyć sobie do niego prawo? Nie miałam pojęcia.

Wiedziałam intuicyjnie, że najpierw muszę pogodzić się sama ze sobą. Świadomie postanowiłam nie oglądać się dłużej za siebie. Nie poświęcę już więcej uwagi sprawcom. Nie, całą energię skieruję na swoją przyszłość. Jak zauważyłam, tej energii mi nie brakowało. Tak, miałam jej tyle, że ludzie wokół mnie ledwo mogli uwierzyć, ile siły okazywałam, układając sobie nowe życie.

Od tej pory skoncentrowałam się na urzeczywistnianiu swoich marzeń. Wyobrażałam sobie, jak powinno wyglądać moje życie. Im bardziej szczegółowo wyobrażałam sobie przyszłość, tym większą czułam radość. Roland podpowiedział mi, że powinnam zrobić listę życzeń dotyczących mnie i mojej przyszłości – tak robili wszyscy menadżerowie.

Nie rozumiałam zbyt dobrze, czemu miałoby to służyć, ale posłuchałam rady. Przez wiele lat zapisywałam wszystko w pamiętniku, lista życzeń i marzeń była jednak dla mnie czymś nowym.

Chciałam żyć, żyć dobrze i być szczęśliwa. Chronić dzieci. Skoro nie było mnie stać na adwokata, musiałam znaleźć inny sposób. Byłam zdecydowana pokonać wszystkie przeszkody na drodze do mojego celu.

Pierwszą przeszkodą byłam ja sama. Musiałam przestać uważać się nad sobą i na nowo ułożyć sobie życie. Postanowiłam udowodnić samej sobie, że zdołam osiągnąć wszystko, co dla mnie ważne. Niezależnie od tego, ile czasu miałoby mnie to kosztować, wierzyłam, że w końcu mi się uda.

– Odzyskam teraz wszystko, co zostało mi odebrane – oświadczyłam głośno przed sobą.

Zaczęłam systematycznie zapisywać swoje cele.

Moja pierwsza lista była krótka i jasna:

- ukończenie płatnych studiów na wybranym kierunku, a potem znalezienie dobrej pracy,
- dobrze funkcjonująca rodzina i dobre relacje z dwojgiem moich dzieci oraz pełen miłości związek z Rolandem,
- odpowiednie środki finansowe,
- realizacja przez sztukę,
- spokój wewnętrzny i zewnętrzny oraz zdrowie.

Potem zaczęłam szczegółowo opracowywać każdy punkt. Następnie zastanowiłam się, w jaki sposób i kiedy mogę osiągnąć te cele, od którego powinnam zacząć oraz gdzie szukać pomocy w ich realizacji. Intuicyjnie przelałam na papier to, co było dla mnie ważne. Z całego serca wierzyłam też, że odniosę sukces. Byłam gotowa zaangażować się w pełni, dołożyć starań, zaplanować zmiany, a potem je wdrożyć. Obudziła się we mnie wola działania, gotowa lista leżała przede mną. Zapisałam wszystko, aż po ostatni szczegół. A potem przystąpiłam do działania, zaczynając od pierwszego kroku. Czasami ogarniał mnie strach, że mi się nie uda, że zawiodę lub zostanę powstrzymana. Wciąż więc od nowa musiałam decydować, że się nie poddam.

Kilka tygodni później popatrzyłam z wdzięcznością na swoje dłonie: nauczyłam się pisać dziesięcioma palcami na klawiaturze! Wcześniej musiałam zawsze z trudem wystukiwać listy jednym lub dwoma palcami. Teraz mogłam używać wszystkich palców i cieszyłam się ogromnie z tego drobnego, ale tak ważnego dla mnie sukcesu. Dodało mi to odwagi, chciałam, by moje życie toczyło się dalej w ten sposób: cały swój potencjał postanowiłam wykorzystać dla siebie! Miałam wrażenie, jakbym i tu przełamała jakieś zaklęcie, dziwiłam się też, jak łatwo przychodzi mi teraz nauka.

Spragniona wiedzy, zaczęłam sprawdzać, w jakich obszarach mogłabym kontynuować naukę.

Wkrótce odkryłam, że interesuje mnie ekonomia. Wahałam się. „Ekonomiści i bankierzy to kapitaliści. Trzymajcie się od nich z daleka. Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogacz trafi do królestwa niebieskiego!” – te słowa zaszczerpione były głęboko w mojej duszy. Teraz jednak odważałam się spojrzeć na wszystko z innego punktu widzenia.

Pamiętałam moich dziadków, przypominał mi się ich duży dom w Zurychu. Razem z rodzicami po powrocie do Szwajcarii często bywaliśmy tam w odwiedzinach. Był to wyjątkowy dom: w dwóch pokojach na piętrze znajdowała się „falszywa ściana”. Za tajemnymi drzwiami kryły się małe pomieszczenia z małą umywalnią i łóżkiem. Babcia opowiadała mi, że jej przyjaciółka Corrie ten Boom z Holandii w takich właśnie tajnych pokoikach ukrywała w czasie wojny Żydów i innych prześladowanych, dzięki czemu ratowała im życie. Gdy jako dzieci bawiliśmy się w domu babci w Zurychu w chowanego, czułam zawsze podziw dla odwagi Corrie ten Boom, która jako chrześcijanka podjęła się ratowania ludzi innej wiary. Mój dziadek był cenionym pracownikiem renomowanego banku w Zurychu. Dziadkowie przez lata wspierali moich rodziców finansowo – w moich oczach byli bogaci. Nie mogłam się w tym dopatrzeć niczego złego.

Stopniowo przełamawałam stare, przejęte od rodziców wyobrażenia i zapisałam się na studia magisterskie na kierunku zarządzanie kulturą. Do rozpoczęcia nauki miałam tylko kilka miesięcy, które chciałam wykorzystać na odświeżenie podstawowych wiadomości. Było to jednak dość czasu, by moje życie ponownie stanęło na głowie i żebym mogła odznaczyć kilka kolejnych pozycji z mojej listy życzeń. Zmiany te nastąpiły jednak nieoczekiwanie i zupełnie w inny sposób, niż mogłabym się spodziewać.

Atak

W Wycliffe zaprotokołowano tymczasem i porównano zeznania części ofiar. Podczas jednej z częstych rozmów telefonicznych spytano mnie, czy zgadzam się, żeby skonfrontowano sprawców z moimi zeznaniami. Nie rozumiałam zbyt dobrze zasad postępowania organizacji, ucieszyłam się jednak, że chce podjąć ten krok. Zgodziłam się więc, choć z dużymi wątpliwościami. Dopiero dużo później uświadomiłam sobie, że nigdy nie zostałam spytana, czy chcę być obecna podczas konfrontacji. Wobec tego, co wiedziałam o tych ludziach, byłam przekonana, że wyprą się wszystkiego. Mimo to mała cząstka mnie liczyła na sprawiedliwość. Zamiast sprawiedliwości doświadczyłam jednak czegoś innego.

Pewnego dnia rozmawiałam właśnie w swojej pracowni z pewną studentką malarstwa, której towarzyszyła matka. Dziewczyna zachwycona objaśniała mi swój projekt, pokazywała szkice i rysunki i chciała poznać moją opinię. Cieszyłam się, że mogę jej pomóc i wesprzeć w jej planach. Była moją najbardziej utalentowaną uczennicą. Rozmawialiśmy podekscytowane i żadna z nas nie usłyszała nadchodzących obcych ludzi.

Wysoki, postawny mężczyzna otworzył bez pukania drzwi i wszedł do pracowni. Drugi mężczyzna został przed drzwiami. Przez otwarte okno zobaczyłam białego mercedesa z holenderską rejestracją. Holandia? Momentalnie poczułam się zaalarmowana. To nie byli klienci! Spojrzałam mężczyźnie prosto w oczy. Ten rozejrzał się i nieco zdziwiony spytał, czy jestem Christiną Krüsi.

– Tak, to ja, a pan kim jest?

– Mam pani coś do powiedzenia – przerwał mi i przyjął groźną postawę.

– Nie zamierzam pana słuchać! – Dalej mierzyłam go wzrokiem, lecz kolana zaczęły mi drżeć, a po karku spływał zimny pot.

Mężczyzna próbował wciągnąć mnie w rozmowę o mojej sztuce. Nie miałam ochoty mu odpowiadać i wyjaśniłam, że czekają na mnie uczniowie. Jestem zajęta pracą i życzę im obu miłego dnia.

– Zanim pójde, muszę panią ostrzec. Za dużo pani mówi – niech pani trzyma buzię na kłódkę, w przeciwnym razie pani i pani dzieci spotka coś złego! Jeszcze tu wrócimy! – odparł obcy łamaną angielszczyzną.

– Nie pozwolę sobie rozkazywać! – Podeszłam do wyjścia i wskazałam ręką na ulicę. Drżąc, zamknęłam za mężczyznami drzwi.

Moja uczennica i jej matka słyszały całą rozmowę i radziły mi gorąco, żebym wezwała policję. Wahałam się. Tysiące myśli przebiegało mi przez głowę. *Dzieci! Muszę odebrać je z dworca. W drodze przez las wszystko może się zdarzyć.* Sięgnęłam po telefon, by zadzwonić na policję – musiałam chronić dzieci! Rozmowa była rozczarowująca, policja mogła zareagować dopiero wówczas, gdy coś się wydarzy. Nie zamierzałam jednak na to pozwolić.

To, co podejrzewałam już wcześniej, stało się teraz oczywiste. Obserwowano mnie i moją rodzinę, musieliśmy przygotować się na ataki. Holandia! Wiedziałam, że jeden ze sprawców zrezygnował z pracy dla misji i działał z sukcesem w biznesie. Podejrzewałam, że przysłał tych ludzi, żeby mnie nastraszyć i zmusić do milczenia.

Dwaj mężczyźni pojawili się znowu. Tym razem drzwi były zamknięte, a ja się nie pokazywałam. Od tamtej pory codziennie otrzymywałam anonimowe telefony. Nie spuszczałam dzieci z oczu, zawoziłam je i odbierałam ze szkoły, z dworca, od dentysty i ze wszystkich dodatkowych zajęć. Nie było to jednak rozwiązanie na dłużej. Jedyne wyjście okazała się przeprowadzka. Cudem zdołałam szybko sprzedać nasz dom położony w zacisznej wiosce. Wraz z Rolandem przeprowadziliśmy się do mieszkania w mieście. Nie figurowałam już w książce

telefonicznej. Anonimowe telefony ustały.

Przeprowadzka przyniosła ze sobą wiele korzyści. Dzieci od razu odnalazły się w nowej szkole i szybko doceniły możliwości oferowane przez miasto. Uczelnia, na której zaczęłam studia ekonomiczne, znajdowała się o pięć minut od naszego mieszkania, dworzec – tuż pod domem, a najlepsze było to, że mało kto nas znał. Zamieszkanie na stałe z Rolandem przysłużyło się naszemu związkowi – koniec końców przeprowadzka okazała się zatem korzystna dla całej rodziny.

Studia miały na mnie dobroczynny wpływ – musiałam się skoncentrować, okiełznać myśli, zapomnieć o wszystkim innym. Poznałam przy tym samą siebie od zupełnie nowej strony, odkryłam w sobie nieznane talenty. Zainteresowałam się zwłaszcza makro- i mikroekonomią oraz prawem. Bardziej niż kiedykolwiek żadną wiedzę rozkwitałam, a studia dawały mi poczucie dumy. Wcale nie byłam taka głupia, za jaką uważałam się przez całe życie! Miałam dobre oceny i nikt nie mógł twierdzić, że nie odzyskuję powoli kontroli nad swoim życiem.

Postanowiłam poprosić Wycliffe o mały wkład finansowy w moje kształcenie. Ku mojemu zdumieniu zgodzili się i kilka miesięcy później otrzymałam niewielką dopłatę do studiów. Kropla w morzu potrzeb, ale dla mnie był to kolejny sukces. Musiałam jednak podpisać dokument, że nigdy więcej nie będę domagać się od organizacji pieniędzy. Czy wreszcie nadszedł mój czas?

Analiza możliwości do kwadratu

Opieka nad dziećmi, praca nauczycielki, związek z Rolandem, trwający wciąż proces konfrontacji z trudnym dzieciństwem, stres związany z rodzicami, którzy nie akceptowali mojego rozwodu, sam rozwód i studia – radzenie sobie z tym wszystkim wymagało skrajnego wysiłku. Musiałam się jeszcze lepiej zorganizować, mój dzień zaczynał się o czwartej rano i kończył o północy.

W tym czasie doświadczyłam pomocy z wielu stron. Moje przyjaciółki, Roland i były mąż wspierali mnie, gdy tylko ich potrzebowałam. Dodawali mi odwagi i otuchy.

Coraz rzadziej jednak znajdowałam się do malowania. Nie chodziło przy tym o brak energii. Cała siła, której wcześniej potrzebowałam, by ukrywać swoją tajemnicę przed innymi, stała się teraz dostępna dla mnie w moim nowym życiu. Brakowało czegoś innego, a ja czułam się zdezorientowana i niepewna. Sztuka była moim narzędziem służącym przetrwaniu i pozwalającym wytrzymać wewnętrzne napięcie. Teraz ów sposób wyrażania siebie stracił niejako sens i cel. Sztuka stanowiła protezy, które przez wiele lat pomagały mi poruszać się w świecie. Obecnie moje nogi były dość mocne, bym mogła chodzić o własnych siłach. Po co miałabym malować? Nie widziałam w tym dłużej sensu i nie chciałam być już tylko artystką.

Na zewnątrz jednak nadal nią byłam – malarką, nauczycielką plastyki, trenerką motywacyjną i wzorem dla wielu ludzi, którzy sami szukali ucieczki w sztuce. Miałam już w kieszeni tytuł magistra zarządzania kulturą, lecz musiałam dopiero odnaleźć swoją nową rolę w społeczeństwie.

Miesiącami poruszałam się jak w próżni, zazdrościłam ludziom, którzy znali swoje miejsce. Szukałam też pomocy w agencjach pośrednictwa pracy. Zniechęcona przeglądałam ogłoszenia i nie znajdowałam nic, ponieważ nie wiedziałam nawet, w jakiej kategorii powinnam szukać. Połykałam książkę za książką, rozglądałam się za odpowiednimi strategiami i możliwościami, i starałam się określić „kim jestem, co potrafię, czego chcę i jak to osiągnę?”. Zapełniałam pamiętnik za pamiętnikiem i spędzałam dużo czasu na omawianiu z przyjaciółmi najróżniejszych możliwości.

Pewnego dnia grzebałam na półkach w księgarni i nieoczekiwanie trafiłam do działu z ezoteryką. Cofnęłam się, ponieważ w Kościele i w domu rodzinnym zawsze przestrzegano mnie przed zajmowaniem się takimi tematami. Nigdy nie podważałam tego zakazu i nieświadomie się nim kierowałam. Tym razem jednak mój wzrok przykuła książka z dużymi, wytłuszczonymi cyframi na stronie tytułowej. Te cyfry przyciągały mnie w magiczny sposób. Misjonarze w Tumi Chucua podczas swoich tajemnych rytuałów często odwoływali się do liczb, a ja zawsze byłam nimi w dziwny sposób zafascynowana, choć nie rozumiałam ich znaczenia i oddziaływania. Intuicyjnie wzięłam książkę do ręki. Czułam się jak Ewa kosztująca jabłko podane przez węża. Numerologia? Jabłko smakowało wspaniale. Kupiłam książkę i z zakaznym owocem pod pachą pobiegłam do domu.

Przeczytałam całą książkę za jednym zamachem i od razu przeliczyłam swoją datę urodzenia zgodnie z podanym schematem. Proszę bardzo, wynik był nadzwyczaj interesujący. Nigdy wcześniej nie miałam odwagi czerpać informacji o swoim życiu ze znaków zodiaku, horoskopów w gazetach czy z liczb i nie wiedziałam nic na ten temat. Teraz jednak mistyczne liczby przemawiały do mnie jasno i wyraźnie i tłumaczyły tajemnicę ukrytą w dacie moich urodzin.

Ja miałabym być osobowością przywódczą? – pomyślałam zdumiona. – To nie może być prawda! Od dzieciństwa wpajano mi, że jestem istotą społeczną i urodziłam się, by służyć. Oszołomiona wpatrywałam się w moje wyniki, czując zarazem ogromną falę ulgi i szczęścia – jakbym wreszcie znalazła się u celu. Czy naprawdę posiadałam umiejętność myślenia strategicznego? Czy moim przeznaczeniem było przewodzić i kierować? Osłupiałam, a

jednocześnie ogromnie się ucieszyłam. Zniechęcenie i uzalanie się nad sobą minęły jak ręką odjął. Czytałam dalej i dowiadywałam się o różnych metodach analizy osobowości. Ostatecznie poddałam się kosztownej analizie potencjału. Wysoce naukowej, rzeczowej i zdecydowanie nie ezoterycznej. Chciałam mieć całkowitą pewność.

Wynik analizy pokrywał się w zasadzie w pełni z wynikami numerologii. Było jasne, że jestem strategiem, myślicielką i organizatorką. Otrzymałam pisemne potwierdzenie mojego rozwiniętego myślenia kreatywnego i wewnętrznego przekonania co do własnej tożsamości.

Niewiarygodne – myślałam. – Jak zatem powinnam ułożyć swoje życie? Co począć z moim wykształceniem, doświadczeniem i takimi cechami charakteru? Byłam predestynowana, by zostać kierownikiem szkoły, ale zdecydowanie odrzucałam taką możliwość. Nie potrafiłam zapomnieć dyrektora szkoły z czasów mojego dzieciństwa. Potem jednak przeczytałam w pewnym magazynie ekonomicznym następujące zdanie: „Nigdy nie jest za późno na piękne dzieciństwo”.

Jeżeli chciałam doświadczyć pozytywnego dzieciństwa, szkoła stanowiła do tego odpowiednie miejsce. Tym razem jednak już nie miałam być nauczycielką, tylko dyrektorką.

Zarządzanie

Spróbuję, pomyślałam i wysłałam zgłoszenia do ważnych placówek. Wkrótce zaproszono mnie na rozmowy kwalifikacyjne, po których nastąpiły konkretne propozycje. Było to dla mnie niczym cud.

Wybrałam szkołę, którą prowadzić miały dwie osoby. Mój kolega i ja musieliśmy zbudować od podstaw nowe struktury, i tak poznałam, jak naprawdę wygląda praca na stanowisku kierowniczym. Doświadczenia, które zebrałam w tej zdominowanej przez obcojęzyczne dzieci placówce, były na wagę złota. Rozwinęłam kompetencje zarządcze, nauczyłam się stawiać na swoim i radzić sobie z sytuacjami kryzysowymi. A kryzysów nie brakowało. Przemoc, molestowanie, zaniedbywanie, włamania, kradzieże, nieoczekiwany opór lub wypalenie pracowników. Konflikty na wszystkich płaszczyznach. Kilka zdarzeń było dla mnie niczym powrót do przeszłości i przywołało pogrzebane głęboko własne wspomnienia. Dotknęła mnie zwłaszcza nagła śmierć pewnej dziewczynki, która przypominała mi moją próbę samobójczą.

Wkrótce poznałam osobiście nie tylko nauczycieli, uczniów, rodziców i dyrektorów innych szkół, ale także lekarzy, kuratorów i opiekunów oraz kilku policjantów.

Pewnego dnia stałam w moim gabinecie, przed bukietem kwiatów ustawionym na biurku, i patrzyłam z zachwytem na czerwone róże. Przez wiele lat nie potrafiłam odbierać zapachów, jakbym zatraciła zupełnie zmysł węchu. Teraz, wraz z prawdą, zapachy i aromaty powoli powracały do mojego życia.

Z wdzięcznością wdychałam zapach róż od Rolanda. Raz po raz zanurzałam nos w bukiet. Dzień dobry, to ja, prawda – rozbrzmiewał głos w mojej głowie. – Rózo, teraz mogę znowu czuć ciebie, tak jak prawdę, i sprawia mi to przyjemność.

Pogrążona w myślach zabrałam się na powrót do pracy. Nagle zadzwonił telefon.

– Christino, pilnie potrzebujemy twojej pomocy! Grożono dzieciom, boimy się, jesteś nam potrzebna! – łkała do telefonu nauczycielka.

W ułamku sekundy przestawiłam się w duchu na „zagrożenie”, przed moimi oczami pojawiły się sceny z dzieciństwa, wstrzymałam oddech, całe moje ciało zeszytywniało. Z całej siły walczyłam z uczuciami i obrazami niesionymi przez wspomnienia. Teraz musiałam działać, spoczywała na mnie odpowiedzialność i musiałam ją udźwignąć.

Uszczypnęłam się mocno w udo, odetchnęłam głęboko i kiedy nauczycielka opisywała mi sytuację, zaczęłam się organizować. Scenariusz awaryjny, policja, kurator, protokoły – wiedziałam, co należy robić w takim wypadku.

Matka pewnej uczennicy wpadła podobno do klasy i krzyknęła: „Szybko, musimy stąd uciekać, tata goni mnie z pistoletem!”. Nauczycielka zdołała uspokoić kobietę i obiecała jej pomoc. Inna zaprowadziła matkę z córką do mojego biura.

Gdy policja wyjaśniła wreszcie sytuację i kobieta z dzieckiem była już bezpieczna, odetchnęłam wyczerpana. W ciszy nastawiłam kawę i spróbowałam uporządkować myśli.

Wydarzenie w szkole gwałtownie przywołało wspomnienie o podobnie przerażającym zajściu z mojego dzieciństwa.

Wówczas, w szkole w Tumi Chucua, przygotowywaliśmy się właśnie do występu teatralnego z okazji Bożego Narodzenia. Malowaliśmy dekoracje, szyliśmy kostiumy i uczyliśmy się tekstów. Próby odbywały się w kościele, ponieważ tam znajdowała się jedyna dostępna scena. Starsi uczniowie stali na scenie i ćwiczili, podczas gdy my, młodsze dzieci, przyglądałyśmy się temu z tylnej części kościoła. Panowała napięta atmosfera, powietrze wydawało się naelektryzowane. Nagle pewien nauczyciel zaczął klócić się głośno z jednym z uczniów. Ten zbliżył się do niego groźnie.

– Jesteś najpodlejszym człowiekiem na świecie! – krzyknął uczeń do nauczyciela. – Jeszcze tego pożałujesz! Traktujesz mnie jak gówno!

Nauczyciel odkrzyknął:

– Wynoś się! Nie chcę cię tu więcej widzieć!

Chłopak popatrzył z ponurą miną na tłum, który zebrał się wokół niego. Stałam zeszywniała w kącie i nie ruszałam się z miejsca. Obawiałam się, ponieważ czułam agresję chłopca, widziałam w jego oczach nienawiść i napawało mnie to lękiem.

Instynktownie zaczęłam szukać schronienia, nie wiedziałam jednak, gdzie mogłabym się schować.

– Wróć tu, a wtedy pożałujesz! – Uczeń zbiegł głośno po schodach i zniknął.

Przez pewien czas panowała martwa cisza. Potem próba potoczyła się dalej. Mogłam znowu poruszyć zeszywniałymi członkami, ale nadal czułam się niepewnie. Cieszyłam się, że nie przyszła jeszcze moja kolej, i nadal obserwowałam próbę ze swojego kąta. Nie wiedziałam, co się dzieje, ale dosłownie czułam niebezpieczeństwo, a mogłam zdać się na własny instykt.

Jakieś dziesięć minut później usłyszałam na schodach ciężkie kroki. Drewniane drzwi zaskrzypiały głośno, a potem ten sam chłopak stanął wyprostowany na progu, z pistoletem w ręku.

– Uklęknij przede mną, ty świniou! Uklęknij i przeproś za to, co mi zrobiłeś! – krzyknął głośno.

Zamarliśmy. Nauczyciel patrzył na niego z niedowierzaniem. Dobrze wiedziałam, o czym mówi ów uczeń. Zszokowani, staliśmy wszyscy nieporuszeni i przez kilka sekund nie rozlegał się żaden dźwięk. Potem nauczyciel spróbował spokojnie przemówić do chłopca.

– Proszę cię, nie chciałem tego. Oddaj mi pistolet i uspokój się.

Chłopak nie dał się jednak zwieść.

– Klękaj! – nakazał ponownie, tym razem spokojniej.

Nauczyciel posłuchał. Uczeń podszedł do niego i przyłożył mu pistolet do głowy. W sali panowała martwa cisza. Nie odważałam się poruszyć. Potem wszystko stało się bardzo szybko. Ktoś rzucił się na chłopca od tyłu i wyrwał mu pistolet. Nie padł żaden strzał. Dwóch innych nauczycieli obezwładniło chłopca i wyprowadziło go z budynku. Kilkoro dzieci zaczęło płakać, cała grupa była bardzo zdenerwowana. Nauczyciele umniejszali to zdarzenie i uspokajali nas, a potem próba do przedstawienia bożonarodzeniowego trwała dalej.

Nie przypominałam sobie, by całe to zajście miało jakiegokolwiek konsekwencje. Ani dla chłopaka, ani dla szkoły. Nigdy więcej o tym nie rozmawiano.

Tym razem byłam dyrektorką, nie uczennicą, teraz sama musiałam zmierzyć się z podobną sytuacją i sprowadzić pomoc. Matka i dziecko były bezpieczne, a zespół do spraw kryzysowych zajął się zszokowaną klasą. Ja jednak znowu wróciłam do przeszłości, z którą musiałam poradzić sobie sama.

Czy nigdy nie będę mogła czuć się bezpieczna od podstępnych wspomnień, które bez uprzedzenia atakowały mnie w rozmaitych chwilach? Co tym razem przywołało we mnie obrazy z dzieciństwa? Informacja o pistolecie. Pistolet w szkole i panika, jaką wyczułam w głosie nauczycielki. Tak jak wtedy dzieci były w szoku, ale wówczas nikt się nami nie zajął. Jakie szczęście, że dziś mogłam wezwać pomoc, zarówno dla matki i dziecka, jak i dla reszty uczniów.

Myśląc o przeszłości i terażniejszości, czułam się silniejsza, a zarazem bardziej wrażliwa. Ostatecznie zwyciężyło we mnie uznanie dla samej siebie. Pomimo nagłego napływu wspomnień udało mi się zadziałać i nie pozwoliłam, by sparaliżowały mnie dawne lęki.

Ten incydent nastąpił w drugim roku mojej pracy w szkole. Był to rok pełen zdarzeń. Musiałam sama kierować olbrzymią placówką, gdyż mój współzarządzający kolega zachorował i cała odpowiedzialność spoczęła na mnie. Czasami doprowadzało mnie to na skraj wyczerpania. Jednocześnie otrzymywałam cudowne wyrazy uznania od rodziców i dzieci – samodzielnie wykonane kartki, pełne podziwu spojrzenia, a nawet e-mail, w którym łamanym niemieckim napisano, jaka jestem piękna. Moje serce – moje dziecięce serce – rozkwitało przy każdym z tych podarunków.

Zarządzanie zastąpiło sztukę. W nowym miejscu pracy mogłam jednak wykorzystać wszystkie

aspekty kreatywności, co bardzo mi się przydawało. Dopiero kilka lat później odnalazłam ponownie drogę do sztuki. Dziś wyrażam w niej nie tyle przeszłość, ile przyszłość – moje marzenia i pragnienia.

Roland zaskoczył mnie pewnego dnia oświadczeniami. Nigdy nie spodziewałabym się takiego zwrotu w moim życiu ani tego, że mogłabym się na to zgodzić. Obawa przed niepowodzeniem i zamknięciem w złotej klatce była ogromna, jednak Roland kochał mnie, a ja jego.

Moje otoczenie było głęboko zdumione i dziwiło się mojej przemianie. Wiedziałam teraz, czego chcę, i zdecydowanie do tego dążyłam. W tym czasie zapuszczania korzeni nasza patchworkowa rodzina była dla mnie niczym skała wśród wzburzonych fal. Roland wspierał mnie i nieustannie dodawał mi odwagi, bym dalej szła obraną drogą. Miał niewzruszoną wiarę we mnie i moje umiejętności. Okazywał mi szacunek, szczerzy i autentyczny. Wierzyłam mu i ufałam.

Tak, odnalazłam na powrót to, co straciłam: szacunek, poważanie i głęboką miłość, która pochwyliła mnie, gdy groził mi upadek. Jakie szczęście – myślałam. – Teraz odzyskam to, co mi odebrano!

Mój wybór

Pewnego dnia otrzymałam z Wycliffe oficjalne pismo z przeprosinami. Na podstawie dziesiątków wywiadów przeprowadzonych ze wszystkimi stronami, uczniami, rodzicami, nauczycielami i krewnymi, potwierdzono, że rzeczywiście dochodziło do wykorzystywania seksualnego. W organizacji chcieli zrobić wszystko, co mogli, by w przyszłości nic takiego już się nie powtórzyło.

Ta wiadomość bardzo mnie ucieszyła. Otrzymałam przeprosiny, czarno na białym. Czekałam na nie od lat. Nie były to co prawda przeprosiny od samych sprawców, ale list ten bardzo mnie uspokoił. Odetchnęłam głęboko. Wreszcie.

Potem zalała mnie jednak ogromna fala smutku i żalu. Co to mogło zmienić? Sprawcy byli na wolności i nadal robili, co chcieli. Żadnego śledztwa, postępowania karnego, żadnej przymusowej terapii, nic. Wyszli z tego obronną ręką. Gdzie była sprawiedliwość?

W Wycliffe zdecydowano postawić na prewencję. Coś takiego nie miało się już nigdy wydarzyć w ich kręgach. Planowali przeznaczyć na programy zapobiegawcze dużo pieniędzy i zasobów, co mnie cieszyło. Jednocześnie jednak wszyscy sprawcy wciąż nie ponosili odpowiedzialności. Czy nikt nie zdawał sobie sprawy, że nie zaprzestaną swoich czynów? Czy na tym polegało przeciwdziałanie?

Dzieci, które codziennie przebywały w towarzystwie sprawców pracujących jako nauczyciele lub opiekunowie, były wobec nich bezbronne. Organizacja poinformowała mnie, że przestępstwa przedawniły się i że prawo w Ameryce nie pozwala już na ściganie karne. Czy naprawdę tak było? Czy może chcieli w ten sposób chronić tylko samych siebie? W tej sytuacji musiałam podjąć decyzję. Albo pozwolę, by znowu ogarnął mnie gniew, albo postawię grubą kreskę i będę patrzeć w przyszłość. Miałam wybór między przeszłością a przyszłością. Nie potrzebowałam długo się zastanawiać, żeby stwierdzić, czego naprawdę chcę. Przyszłości. Znajdę inny sposób, by chronić dzieci. Nie wiem jeszcze jak, ale uda mi się to, tego byłam pewna.

Cieszyłam się z każdego kroku na drodze do odzyskania wewnętrznej wolności. Wciąż przypominałam sobie, że mój ból i proces rozliczenia nie poszły na marne. Czułam jednak, że głęboko w moim sercu kryje się jeszcze cały magazyn wściekłości i gniewu i tylko czeka na to, by wybuchnąć. Pragnęłam pogodzić się z samą sobą, z moim losem, rodzicami i całym rodzeństwem, i spojrzeć na przeszłość pod innym kątem. Rodzice kochali mnie i chcieli dla mnie dobrze, ale ja po prostu nie czułam ich miłości. Nie miałam przekonania, że mnie wspierają.

Czy rodzice potrafili w ogóle spojrzeć na świat z mojego punktu widzenia? Celem ich organizacji było przybliżanie ludziom tekstu Biblii, aby mogła wypełnić się przepowiednia końca świata. Koniec świata. W Boliwii często stawałam przed olbrzymim obrazem. Współczesne olejne malowidło przedstawiało przerażający upadek ludzkości: płonące wieżowce, dym, ogień, liczni zmarli, dobre dusze w białych szatach unoszące się do nieba, a złe ginące w piekle. Obraz namalowano z fascynującą szczegółowością i w dzieciństwie napawał mnie strachem.

Mimo to udało mi się rozliczyć z przeszłością i wydobyć prawdę na światło dzienne. Prawda. Odezwała się we mnie i wywalczyła sobie drogę na powierzchnię. Nauczyłam się akceptować samą siebie ze wszystkim, co przeżyłam i kim się stałam. Teraz musiałam zaakceptować także moich rodziców takich, jakimi byli – nie wymagając od nich niczego.

Znowu postarałam się skupić na tym, co miało na mnie dobry wpływ. Świat oddawał mi wszystko z nawiązką. Wezmę sobie zatem to, czego potrzebuję.

Tak też zrobiłam. Spotkałam ludzi, którzy zaakceptowali mnie bezwarunkowo, i otrzymałam więcej, niż mogłabym kiedykolwiek sobie wymarzyć. Proces wyzwolenia przyniósł owoce. Zostałam wynagrodzona przez życie, nawet bez procesu sądowego, bez przeprosin sprawców i bez

zadośćuczynienia.

Mów!

Kierownictwo Wycliffe nadal próbowało na swój sposób poradzić sobie z sytuacją. Dowiedzieli się o chrześcijańskich spotkaniach w Kopenhadze i zaprosili niektóre ofiary na tygodniowe seminarium uzdrawiające. Odmówiłam, dziękując. W żadnym wypadku nie chciałam mieć znowu do czynienia z masowymi imprezami religijnymi. Już dawno postanowiłam sama stawić czoło przeszłości i byłam dumna z życia, jakie mogłam teraz prowadzić. Namawiano mnie jednak usilnie, żebym przyjechała. Również inne ofiary dzwoniły i wyraźnie mnie o to prosiły.

Wreszcie zwyciężyła we mnie potrzeba bycia z nimi razem i spędzenia wspólnie czasu. Uznałam to za wyjątkową okazję, ponieważ nie miałam środków finansowych, by sama odwiedzić ich wszystkich, jako że byliśmy rozsiani po całym świecie. Zgodziłam się zatem, choć niechętnie, uczestniczyć w tym seminarium, zdecydowana trzymać się z dala od uzdrawiających sesji. Tydzień wakacji w Kopenhadze i spotkanie z dawnymi przyjaciółmi oraz czas dla siebie samej były wystarczającym powodem. Nauczyłam się dystansować i korzystać tylko z tego, czego potrzebowałam.

Podczas lotu podziwiałam przepiękne błękitne niebo, zupełnie inne, niż gdy leciałam na spotkanie w Stanach Zjednoczonych. Nie przeszkadzały mi żadne lęki, mogłam więc zrelaksowana cieszyć się podróżą. Na mojej szyi wisiał łańcuszek z zawieszka, na której namalowane było oko. Roland kupił mi ją przy okazji wizyty u przyjaciół w Stambule. Nosiłam to oko chętnie i bez wstydu, było mi obojętne, co mogli pomyśleć o nim chrześcijanie. Mnie się podobało.

Radość z ponownego spotkania była ogromna, Andrea i Melissa objęły mnie serdecznie, łzy znowu popłynęły obficie. Były to łzy szczęścia. Ponownie poczułam głęboką więź z moimi przyjaciółmi. Rozumieliśmy się, nie byliśmy już sami, a to czyniło nas silniejszymi. Wszyscy wewnętrznie dojrzelismy, postrzegaliśmy siebie nawzajem nie tyle jako towarzyszy niedoli, ile raczej jako towarzyszy podróży, którzy mieli przed sobą przyszłość. Zbyt długo już walczyłam sama, teraz mogliśmy wspólnie nieść nasz ciężar.

Żałowałam, że nie mogła być z nami Gabriele, brakowało też Finna. Nie udało się go odszukać, może zmienił nazwisko i nie chciał zostać odnaleziony? Mimo to czułam, jak przenika mnie szczęście i radość. Uda ci się, Finn, uda ci się! Kiedyś spotkamy się wszyscy pięcioro!, szeptałam po cichu z ufnością.

Aby wyrobić sobie zdanie o uzdrawiającym seminarium, postanowiłam zobaczyć przynajmniej początek. Usiadłam sama w najdalszym rzędzie na sali wypełnionej mniej więcej przez czterysta osób. Moi przyjaciele siedzieli bliżej z przodu. Na scenę wkroczyła starsza kobieta promieniejąca ogromną siłą. Swoją elokwencją i poczuciem humoru od razu zauroczyła słuchaczy. Wszystko się we mnie burzyło.

Kolejna taka – myślałam. – Sprawiają, że ludzie przestają myśleć samodzielnie i stają się im posłuszni. Krytycznie przysłuchiwałam się wygłaszanym słowom. Nie, nie wezmę w tym udziału, znowu ten sam schemat, te same frazy, które w kościele słyszałam już często jako dziecko, ale ani razu ze strony sprawców. Co oni mogą wiedzieć o uzdrowieniu.

Opuściłam zgromadzenie, aby cieszyć się wakacjami. Pozostali uczestnicy w przerwach między zajęciami mieli dość czasu, by rozmawiać ze mną, śmiać się razem i płakać.

Drugiego dnia poproszono ofiary do sąsiedniej sali. Dwóch przedstawicieli organizacji misyjnej chciało nam coś pokazać. Był to list, każdy z nas otrzymał kopię.

Zeszytniałam – co się teraz stanie? Czy były to przeprosiny od kogoś ze sprawców, czy może jakaś straszna wiadomość? Patrzyliśmy po sobie wielkimi oczami, nie odważałam się spojrzeć na papier. List został nam odczytany. Ledwo mogliśmy w to uwierzyć, były to przeprosiny od wdowy po jednym ze sprawców, dyrektorze mojej szkoły. Pisząc te słowa, chciała najwyraźniej

ulżyć swojemu sumieniu. Prosiła nas o wybaczenie za to, co się stało, i za to, że nie umiała przeciwdziałać wykorzystywaniu dzieci, choć żywiła co do tego pewne podejrzenia. Fakt, że dopiero siedem lat po śmierci męża zdołała przemówić i przeprosić, dowodził, pod jak wielką presją musiała się znajdować i jak bardzo została zniewolona przez własne lęki. Mimo wszystko byłam jej wdzięczna, że nie chciała dłużej zatajać prawdy.

W następnych dniach dużo czytałam, pisałam w pamiętniku i chodziłam na długie spacery. Pracownica organizacji misyjnej ponownie wypytała nas o zajścia w Tumi Chucua. Było to wyczerpujące i przywołało powtórnie nagromadzone emocje. Nadal nie odważałam się opowiedzieć o zajściu z zamordowanym dzieckiem. Ogarnęła mnie fala smutku, po której jednak przyszła wkrótce ulga, ponieważ nie byliśmy już dłużej sami – mieliśmy teraz siebie! Mogłam spojrzeć innym ofiarom w oczy i znajdowałam w nich zrozumienie i wiarę. Pocięliśmy się nawzajem i wylewaliśmy potoki oczyszczających łez.

Potem stało się coś, co wzburzyło wszystkich: kobieta, która przeprowadzała z nami wywiad, straciła nagle przytomność i spadła z krzesła. Zawał serca! Z przerażeniem musieliśmy przyglądać się, jak odwożono ją na sygnale. Odwiedziliśmy ją następnego dnia w szpitalu, a ja życzyłam jej z całego serca szybkiego powrotu do zdrowia. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jakim ciężarem były nasze zeznania dla pracowników organizacji.

Ostatniego dnia seminarium zasiadłam ponownie w ostatnim rzędzie i przyglądałam się nieufnie temu, co działo się na sali. Prowadząca wezwała całą wspólnotę do zamknięcia oczu i wsłuchania się w głos Boga. Wzbraniałam się i rozglądałam wokół. Jeżeli Bóg istnieje i potrafi przemawiać, mogę słuchać Jego głosu również z otwartymi oczami, buntowałam się w duchu. Tysiące myśli przebiegało mi przez głowę. Odnalazłam moją własną wiarę, wiarę w samą siebie. *Pomóż sam sobie, a wtedy i Bóg ci pomoże.* Sama wyciągnęłam się z bagna, uwolniłam od cierpienia. Jeżeli Bóg istniał i potrafił przemawiać, powinien zwracać się do mnie tak, żebym mogła Go usłyszeć i dobrze zrozumieć.

Biblia mówi przecież, że Bóg jest w nas. Jeżeli zatem wsłuchuję się w swój wewnętrzny głos, czy jest to głos mój, czy głos Boga? Wszystko jest takie absurdalne i niezrozumiałe – myślałam. – Będę po prostu słuchać samej siebie, to jedyne, czego chcę i co mogę zrobić.

I oto nagle stało się coś, czego w żaden sposób się nie spodziewałam. Usłyszałam wewnętrzny głos, donośny i wyraźny: „Przemów, Christino, przemów!”

Zeszytniałam. Co to było? Czyżby głos Boga? Mój własny?

Nie, nie chcę mówić, nie tak, by wszyscy mnie słyszeli, nie chcę, odparłam cicho. Niczym na filmie przewinęły się w mojej duszy obrazy z czasu mojego załamania, gdy po joggingu przestałam mówić. To było za wiele. Drżąc, wyszłam z sali.

Przemówiłam przecież, powiedziałam dość, wyznałam prawdę i już wystarczy. Nie chcę i nie mogę mówić więcej. Gdzie i jak powinnam przemówić i co to w ogóle ma znaczyć?

Zdecydowany głos rozbrzmiewał dalej w mojej głowie: „Przemów, Christino, przemów!”

Boże, opuściłeś mnie w potrzebie, nie uratowałeś mnie! Ogarniał mnie gniew.

Sama sobie pomogłam, wyzwoliłam się, a teraz oczekujesz, że przemówię? O czym mam mówić, o wykorzystywaniu? Gwałtownie pokręciłam głową i otarłam rękawem łzy. *Zapomnij o tym, nie możesz tego ode mnie oczekiwać!*

Nie rozumiałam, co się we mnie dzieje, wiedziałam jednak, że muszę poważnie potraktować to przeżycie. W Kopenhadze nie opowiedziałam nikomu, czego doświadczyłam. Wspólnota chrześcijańska zinterpretowałaby to jasno – Bóg przemówił do mnie i wybrał mnie, żebym nauczała innych i głosiła słowo Boże. Ja jednak wiedziałam, że nie o to chodzi. Również w domu nie przyznałam się do niczego, dopiero po pewnym czasie zwierzyłam się Gudrun z mojego niezwykłego przeżycia. Jej odpowiedź zdumiała mnie.

– Oczywiście, Christino, musisz opowiedzieć wszystkim, co przeżyłaś, napisz więc książkę! To przecież jasne jak słońce.

Byłam przerażona.

– Nie chcę pisać żadnej książki o tym całym gównie, nigdy. To po prostu nie ma sensu, dość już jest takich książek.

– Christino, nie chodzi o to gówny ani o oskarżenia czy zemstę. Chodzi o to, jak można wyzwolić się samemu z takich przeżyć, jak się uleczyć i odzyskać radość życia.

Długo o tym dyskutowaliśmy. Gudrun nie odpuszczała. Wciąż zachęcała mnie do napisania książki. „Przemów, Christino, przemów!”. Często budziłam się z tym zdaniem w głowie. Trwało jednak bardzo długo, nim zechciałam opublikować książkę.

Zaczęłam spisywać wszystko, co przychodziło mi do głowy. Pisanie okazało się bardzo wyzwajające. Było to coś innego niż prowadzenie pamiętnika. Musiałam działać w sposób zorganizowany i sprawdzać każde zdanie, czy na pewno mogę się pod nim podpisać. Im więcej pisałam, tym częściej myślałam o niewidzialnej więzi łączącej naszą piątkę „wybrańców”.

Cieszyłam się, że moje relacje z pozostałymi ofiarami są takie dobre i że znalazłam u nich wsparcie. Dręczył mnie tylko niepokój o Finna. Był jedynym, o którym nie mieliśmy do tej pory żadnych wiadomości.

Pewnego dnia jednak zadzwonił telefon i Melissa opowiedziała mi podekscytowana, że odnalazła Finna.

– Wyobraź sobie, z kim rozmawiałam dziś przez telefon, z Finnem! Koniecznie chce porozmawiać także z tobą. – Moje ciało przebiegł dreszcz. Finn, chłopiec, piąty z naszej grupy. Usiadłam i przeprosiłam za milczenie. Blisko trzydzieści lat nie słyszałam ani nie widziałam Finna; nie wiedziałam nawet, czy jeszcze żyje. Gdzie się podziewał, dlaczego nie wziął udziału w spotkaniu ofiar? Rozemocjonowana, chciałam uzyskać dalsze informacje.

Melissa podała Finnowi mój adres, czekałam więc z nadzieją na telefon od niego. Najpierw dostałam e-mail – Finn chciał się upewnić, czy naprawdę jestem Christiną z Tumi Chucua. Dowiedziałam się, że żył w odcięciu od świata, zmienił także nazwisko. Jak wielki strach musiał pokonać!

Trwało kilka tygodni, nim zebrał się na odwagę, by do mnie zadzwonić. Stałam właśnie w moim biurze w szkole przed uszkodzoną kserokopiarką i jego telefon zupełnie mnie zaskoczył.

– *This is Finn, do you remember me?*

Kolana drżały mi tak bardzo, że musiałam usiąść. Przez krótką chwilę obawiałam się, że się nie zrozumiemy, jednak niesłusznie. Popłynął potok słów. Zupełnie niewymuszenie opowiadaliśmy sobie, co działo się z nami w ciągu tych trzydziestu lat.

Finn przez cały ten czas wzbraniał się opowiadać o swoim dzieciństwie, podobnie jak wiele innych osób. Miał ciężkie życie i dopiero kilka miesięcy wcześniej zaczął mierzyć się z tym, co przeżył.

– Christino, wreszcie możemy ze sobą porozmawiać. Nie mogę w to uwierzyć, zawsze tego chciałem. Złamaliśmy zakaz.

Gdy nieco się uspokoił, zadał mi pytanie, które najwyraźniej bardzo go dręczyło.

– Mam do ciebie prośbę, Christino. Jest pewne wspomnienie, którego nie potrafię po prostu zaakceptować. Czy możesz je potwierdzić? Byłaś przy tym, tyle wiem. Stało się coś strasznego i nie potrafię o tym myśleć. Mimo to już od wielu miesięcy mnie to prześladowa. Wspomnienie nie opuszcza mnie w dzień i w nocy. – Jąkając się, opowiedział mi, co tak bardzo mu ciążyło.

Oddychałam głęboko, sama potrzebowałam dużo czasu i wiele odwagi, by wydobyć z najgłębszego ukrycia na światło dzienne mord na niemowlęciu i krwawą komunię, by opisać to Gudrun. Łzy pociekły mi po twarzy. Potwierdziłam wspomnienie Finna, na powrót zobaczyłam przed sobą niemowlę, owinięte w chustę, w błękitnej sukience, i przypomniałam sobie posmak ciepłej krwi w moich ustach.

Słabym głosem przerwał milczenie:

– Tak, Christino, to prawda. Dziękuję, dziękuję ci tysiącrotnie. Wiem, że teraz i ja zdołam sobie z tym poradzić, choć jest to tak straszne.

Musiał kosztować go niewiarygodnie wiele odwagi, by do mnie zadzwonić. Przez lata próbował uciec przed prawdą, uprawiał sporty ekstremalne i biegał po lasach z kilogramowymi ciężarami.

Wiedziałałam, że teraz przez dłuższy czas nie będzie się do mnie odzywać, znałam bowiem proces rozliczenia, który musiał przejść. Codziennie myślałam ze współczuciem o nim i jego

rodzinie.

Tym bardziej ucieszyło mnie, że już kilka miesięcy później spotkałam się z Finnem, wraz z innymi „wybranymi”. Spotkanie to było jednym z ostatnich brakujących elementów na mojej długiej drodze. Ponowne zjednoczenie, zgromadzenie rozdzielonych. Zebranie pięciorga straszliwie skrzywdzonych ludzi, którzy zdołali odrzucić rolę ofiar. Razem byliśmy silni, jeszcze silniejsi niż każdy z nas osobno.

Trudno mi opisać, co działo się tego dnia. Czułam siłę i energię, którą promieniowaliśmy razem, my, ocaleli. Melissa, Gabriele, Andrea, Finn i ja okazaliśmy się ostatecznie zwycięzcami! Prawdziwymi zwycięzcami.

Wciąż patrzyłam z niedowierzaniem na naszą grupę – jak też udało mi się zmienić z okrutnie wykorzystywanej dziewczynki w kobietę, którą byłam dziś? Osobę noszącą w sobie głęboki spokój, której historii z przeszłości nie mogły już wyrządzić nic złego.

Udało mi się dzięki decyzji, by spojrzeć prawdzie w twarz. Postanowiłam przyjrzeć się jej dokładnie, czułam w sobie jej wstrętny ciężar, ale nie uciekłam przed nią. Pomimo paniki wciąż patrzyłam strachowi w oczy i tak wyzwoliłam się z piekła. Tym piekłem bowiem były właśnie nagromadzone we mnie lęki. Nie uciekłam przed nimi, tylko skrupulatnie, kawałek po kawałku, rozebrałam je na części i poradziłam sobie z nimi.

Christof

Po tym spotkaniu czułam się niezwykle szczęśliwa. Prawda zwyciężyła, nie sprowadziła na nas żadnego nieszczęścia, choć tak wieszczili nasi prześladowcy. Wyzwoliłam się od strachu, jaki w nas zaszczepiono. Z wdzięcznością zapisywałam swoje przeżycia.

Wszyscy ważni ludzie w moim życiu znali teraz prawdę o moim dzieciństwie. Wszyscy poza Christofem. Choć nie widzieliśmy się, odkąd skończyłam siedemnaście lat, nadal o nim myślałam. Musiał wówczas podejrzewać, że spotkało mnie coś strasznego. Wciąż żałowałam, że nie zwierzyłam się mu ze swojej tajemnicy. Mimo to miałam wątpliwości, czy poradziłby sobie wtedy z ciężarem tej przerażającej historii.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie dawna koleżanka ze szkoły. Śmiałyśmy się i opowiadałyśmy sobie historie z naszej młodości.

– Pamiętasz jeszcze, jak przyłapałam cię, gdy całowałeś się w pokoju z Christofem? Na obozie narciarskim, pamiętasz to jeszcze? – dowcipkowała.

Tak, pamiętałam i spytałam ją, czy wie, co porabia Christof i gdzie mieszka. Odparła, że od tamtego czasu spotkała go kilka razy. Ma żonę i dwójkę dzieci. Za każdym razem pytał o mnie.

Od tej pory Christof nie schodził mi z myśli. Postanowiłam odezwać się do niego. Dopiero po kilku tygodniach odważyłam się poszukać go w Internecie. Nie miałam pojęcia, czy będzie mnie jeszcze pamiętał. A jeśli tak, czy żywił do mnie urazę? Po tak długim czasie? Wahałam się, ale wreszcie zebrałam się na odwagę. Byłam zdumiona, jak wiele dowiedziałam się o nim z Internetu. Najwyraźniej odnosił sukcesy w biznesie. Znalazłam jego adres mailowy i zdjęcia. Tak, to był on, bez wątpienia. Z wyglądu prawie się nie zmienił.

Ucieszył się, że zadzwoniłam, i znalazł dla mnie czas.

Spotkaliśmy się pewnego słonecznego i ciepłego wieczora latem nad jeziorem w Zurychu. Przyszłam do restauracji nieco wcześniej, mogłam więc zająć dogodnie miejsce tuż nad jeziorem. Powróciły wspomnienia o wspólnych spacerach nad Renem, gdy byliśmy jeszcze młodzi. Musiałam roześmiać się na myśl o tym, jak wygrałam swój pierwszy wyścig na nartach.

A dziś? Jak przebiegnie nasze spotkanie? Chciałam opowiedzieć Christofowi o tej książce, o tym, dlaczego nasza miłość nie przetrwała, i że żałuję tego, jak go potraktowałam. Było dla mnie ważne, by wiedział, że nie zawiodła go wówczas intuicja. Tak, musiał wtedy zauważyć, że coś mi dolega.

Nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Zatopiona w myślach nie zauważyłam nawet nadejścia Christofa. Wcale się nie zmienił. Przywitaliśmy się serdecznie, a potem popłynął potok słów. Śmiałyśmy się, przywoływałyśmy stare historie. Czułam się tak, jakbyśmy od zawsze byli najlepszymi przyjaciółmi. Podziwiałam drogę, jaką pokonał, a on nie mógł się nadziwić, jak bardzo się zmieniłam. Oboje mieliśmy dwoje dzieci i byliśmy po ślubie. Opowiadał o swoich dzieciach i firmie.

Ostrożnie poruszyłam temat mojego dzieciństwa. Christof przyjął to spokojnie, choć słysząc o skali wykorzystywania dzieci, mógł tylko kręcić głową. Z żalem przypominałam sobie, jak bardzo starał się wydobyć ze mnie moją tajemnicę. Od początku podejrzewał, że coś jest nie w porządku i że to przed nim zatajam. Rozmawialiśmy o religii i o tym, co przeżyłam.

– Christino, czy mogę przeczytać twój manuskrypt? – spytał z szacunkiem.

Skinęłam głową, przestrzegłam jednak, że lektura może być trudna. Milczał przez kilka sekund, a potem skinął głową i odparł, że da radę. Poradzi sobie jakoś ze mną i z moją książką. Roześmialiśmy się oboje.

Słońce zniknęło powoli za górami. Woda i niebo zabarwiły się na czerwono, żółto i pomarańczowo. W drodze do domu towarzyszyły mi wspomnienie cudownego wieczoru i

poczucie oczyszczenia. Udało mi się uporządkować kolejną sprawę i odnaleźć starego przyjaciela, który teraz był dla mnie jak brat.

Bezwarunkowa miłość

Tak wiele w moim życiu rozwiązało się już i wyjaśniło, tylko stosunki z rodzicami pozostawały napięte. Wielokrotnie próbowałam nawiązać z nimi kontakt, dla nich również było to ważne. Wciąż jednak nam się nie udawało. Tak nie może dłużej być – pomyślałam pewnego dnia. – Co właściwie wywołuje we mnie taką złość? Jaka moja potrzeba nie została spełniona, czego tak naprawdę od nich oczekuję?

Ponownie wzięłam pamiętnik do ręki i zaczęłam pisać. Stopniowo się uspokajałam. Zapelniałam kolejne strony. Zapisywałam to, co przychodziło mi na myśl. To, co uważałam za niesprawiedliwe i podle, jak bezradna czułam się wobec rodziców i że nadal nie jestem pewna, czy w pełni mi uwierzyli. Choć od pisania rozbolała mnie już ręka, wciąż nie potrafiłam odnaleźć źródła mojej frustracji. Jakie pragnienie nie zostało zaspokojone? Czyżbym to ja musiała się zmienić? Czy nie mam racji? Czy przyczyna leży wyłącznie po mojej stronie?

A potem nagle odkryłam to, czego tak długo szukałam. Chciałam tylko jednego: być bezwarunkowo kochana, taka, jaką byłam, bez żadnego „jeśli” i „ale”!

Długo się nad tym zastanawiałam. Znałam teraz swoją potrzebę. Czego jednak brakowało rodzicom w relacji ze mną? Czego ode mnie oczekiwali? Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadło na mnie zrozumienie, że musieli chcieć tego samego co ja. Czy chcieli po prostu być przeze mnie kochani – jako dobrzy rodzice, którzy zrobili wszystko, co w ich mocy?

Rozgorzała we mnie wewnętrzna walka. Czyż nie miałam prawa ich oceniać? Nie zauważyli, co się ze mną działo, choć okazywałam tak wiele objawów traumy. Czułam się nierozumiana i niekochana, pozostawiona samej sobie ze swoim cierpieniem. A teraz miałabym kochać ich bezwarunkowo, tak jak wymagałam tego od nich? Jak jednak mogłam żądać od nich czegoś, czego sama nie potrafiłam dać? A z drugiej strony, czy nie miałam prawa do zadośćuczynienia i wsparcia?

Wściekła, włożyłam spodnie do joggingu i pobiegłam wyszaleć się do lasu. Odnalazłam wreszcie wewnętrzny spokój i pogodziłam się z przeszłością! Nie udało mi się jedynie odbudować relacji z rodzicami. Wiedziałam, że istniała tylko jedna droga, by poprawić nasze wzajemne stosunki. Bezwarunkowa miłość. Musiałam zaakceptować ich takich, jakimi byli. Obstawanie przy swoich racjach okazało się ślepą uliczką, teraz liczyło się tylko, żebym sama postępowała tak, jak oczekiwałam tego od innych.

Nie wiedziałam, jak znaleźć na to siłę. Postanowiłam zatem wyobrazić sobie, jak by to było, kochać rodziców bezwarunkowo i zachowywać się właśnie w ten sposób. Byłam pewna, że nie zaszkodzi spróbować. Usiadłam przy biurku i zdecydowanie napisałam na kartce wielkimi literami: **POSTANAWIAM BEZWARUNKOWO KOCHAĆ MOICH RODZICÓW**. Czy oszukiwałam samą siebie, czy coś sobie wmawiałam? Nieważne. Długo szukałam rozwiązania i nie znalazłam żadnego innego. Decyzja zapadła. Raz po raz wypowiadałam to zdanie na głos. Powoli zapadało w moją duszę, aż poczułam się lepiej.

Następnego dnia zadzwoniłam do mamy i spytałam, czy ma ochotę wybrać się ze mną do centrum ogrodniczego. Chciałam kupić jej drzewko różane, ponieważ kochała róże nade wszystko. Zaczęłam postępować tak, jak postanowiłam. Mama ucieszyła się bardzo i umówiliśmy się na spotkanie.

W centrum ogrodniczym dyskutowaliśmy o różnych odmianach róż. Wiedziała wszystko o tych cudownych roślinach i temat ten sprawiał, że dosłownie promieniała. Nagle objęła mnie.

– Ach, Christino, cieszę się każdą minutą, którą mogę spędzić z tobą spokojnie. Chodź, wypijmy kawę, muszę ci coś powiedzieć – wyszeptala mi do ucha.

Usiadłyśmy w małej kawiarence w centrum ogrodniczym i zamówiłyśmy kawę.

– Wiesz, Christino, długo zastanawiałam się nad tym, jak mogłybyśmy poprawić nasze relacje. Stwierdziłam, że nie muszę rozumieć wszystkiego, co się stało, i tego, co robisz lub mówisz. Postanowiłam kochać cię bezwarunkowo, dokładnie taką, jaka jesteś.

Spojrzałam na nią zupełnie zdumiona, zrobiło mi się ciepło na sercu i miałam wrażenie, że moja dusza się raduje.

– Mamo, nie mogę w to uwierzyć, chciałam powiedzieć ci dziś dokładnie to samo! Jesteś przecież moją mamą i ja też kocham cię bezwarunkowo, nawet jeżeli nie potrafię wszystkiego zrozumieć. Mamo, kocham cię dokładnie taką, jaka jesteś.

W tej chwili nic już się nie liczyło, cała przeszłość jakby zniknęła, naprawdę czułam tę bezwarunkową miłość!

Popatrzyłyśmy na siebie, a potem mama wstała, usiadła obok mnie na ławce i długo trzymała mnie w ramionach. Tak bardzo pragnęłam tego po wszystkich latach bólu i poczucia samotności. Po raz pierwszy czułam znowu, że mam mamę, która mnie kocha. Tak długo nie miałam tego poczucia, tak długo nasze relacje były zaburzone i zniszczone! Teraz jednak przyszła pora na nowy początek.

– Wiesz, mamo, wszystko dostaję po stokroć z powrotem, również moją rodzinę i ciebie, mamo – wyszeptalam.

Potem powiedziałyśmy sobie, co leżało nam na sercu. Mama mówiła o bezsilności, jaką czuła, gdy wyjawiałam prawdę. Rozpadło się całe jej życie. Nic, czego próbowała, nie mogło mi pomóc. Siedziałyśmy tak długo, rozmawiałyśmy i wypiliśmy jeszcze po kawie. Nie mogłam uwierzyć w to, co działo się teraz w moim życiu. Czy faktycznie było możliwe, żebyśmy zdobyły się na nowy początek? Czy ten spokój przetrwa, czy też znowu się zburzy? Czy nasza rodzina będzie wreszcie razem?

Po długim czasie wstałyśmy, objęłyśmy się i podziękowałyśmy sobie nawzajem. Z głębokiej wdzięczności kupiłyśmy sobie nawzajem po róży na znak pokoju i naszej więzi, która miała znowu rozkwitnąć. Bez roszczeń czy ocen, tylko w poczuciu wzajemnej akceptacji i bezwarunkowej miłości. Wybrałam w ogrodzie specjalne miejsce i posadziłam moje drzewko różane. Codziennie wachałam ciemnoczerwone kwiaty o intensywnym zapachu. Kwitły przez całe lato. Nieważne, co się wydarzyło, nieważne, co jeszcze miało nadejść, to była moja matka, moja rodzina i chciałam ją odzyskać. Od tej decyzji nie odstąpiłam nawet o krok.

Nie był to spokój, jakiego doświadczyłam w dzieciństwie. Wówczas robiłam wszystko, by zasłużyć na miłość rodziców. Nie odważałam się iść własną drogą ani obstawać przy swoim zdaniu. Zazwyczaj dostosowywałam się i ulegałam. Dopiero teraz zrozumiałam, że będę kochana również wówczas, gdy ułożę sobie życie po swojemu. Postanowiłam opublikować książkę, choć decyzja ta bardzo ciążyła moim rodzicom. Nadal mnie jednak kochali.

Moje dorosłe już dzieci nie potrafiły zrozumieć nagłej zmiany w relacjach między mną a moimi rodzicami.

– Mamo, to nie skończy się dobrze, tak często już próbowałaś się z nimi pogodzić i zawsze zostawałaś zraniona. Nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego, niezależnie od tego, co ty o tym myślisz. Nie byli dla nas dobrą rodziną – stwierdził gniewnie Raphael, gdy powiedziałam im, że odnalazłam z rodzicami nową drogę.

Rozmawiałam z synami o nierozwiązanych konfliktach i ich skutkach. Starszy, Raphael, który miał już dwadzieścia dwa lata, pozostał nieprzekonany, nie mógł zapomnieć, co wszyscy przeżyliśmy. Czuł, że potraktowano go niesprawiedliwie, przez lata narósł w nim gniew. Słuchałam cierpliwie, gdy wyliczał wszystko, co w jego oczach było fałszywe, krzywdzące i podłe.

Martwiłam się, że moje rozliczenie z przeszłością było dla moich synów zbyt dużym stresem. Wiedziałam, jak bardzo cierpieli w tych trudnych chwilach, choć zrobiłam wszystko, by ich przed tym uchronić.

Chłopcy powoli opróżniali wielki worek gniewu, wściekłości i rozczarowania, które nazbierały się w nich przez ostatnich dziesięć lat. Lęk przed dwoma mężczyznami, którzy nam grozili, poczucie bezbronności i całkowitej bezradności, organizacja misyjna, która nie zachowała się zgodnie z ich wyobrażeniami, brak odszkodowania czy zadośćuczynienia za krzywdy. Do tego moi

rodzice, którzy nie potrafili ich wspierać. To wszystko się z nich teraz wylewało. Uświadomiłam sobie nagle, jak szerokie kręgi objęło moje rozliczenie z przeszłością. Znacznie szersze, niż przypuszczałam. Konsekwencje dla mnie, mojej rodziny, rodziców i rodzeństwa były wyniszczające.

Pewnego dnia zaproponowałam rodzicom i moim synom, żebyśmy omówili przy wspólnym posiłku wszystkie ważne tematy i oczyścili atmosferę. Dzieci nie były zachwycone pomysłem, wiedziały jednak, jak ważne jest to dla mnie, i ostatecznie mi zaufały. Rodzice przyszli do nas na kolację. Byłam bardzo podenerwowana i obawiałam się, że może wywiązać się kłótnia. Raphael i Timon zaczęli mówić. Spisali sobie wszystkie kwestie, które chcieli poruszyć. Wcześniej uzgodniliśmy, że będziemy okazywać sobie nawzajem szacunek. Wszyscy mieli przedstawić swój punkt widzenia i w miarę możliwości nie oceniać innych.

Moi rodzice postanowili wysłuchać wnuków bez nieustannego usprawiedliwiania się. Tak też zrobili. Dzięki temu Raphael i Timon poczuli się zrozumiani. Nie zaprzeczano im, tylko okazywano empatię, mogli więc powiedzieć wszystko, co od dawna leżało im na sercu.

Moja matka ze łzami w oczach wyjaśniła wnukom, jak bezradni i bezsilni czuli się z ojcem, jaki wielki szok wywołała prawda i jak bardzo wstrząsnęła ich życiem. Potem poprosiła moich synów o wybaczenie.

– Proszę was, kochani wnukowie, jest mi nieskończenie przykro, że tak cierpieliście i że nie umieliśmy was wspierać. Proszę, wybaczcie nam. Straciliśmy wiele lat waszego życia. Chcemy być dla was dobrą rodziną, bardzo mi na tym zależy.

Synowie przyjęli przeprosiny. Raphael chciał, by rodzice wsparli pomysł wydania książki, ponieważ miała ona pomóc chronić inne dzieci i dodawać ludziom odwagi do radzenia sobie z traumatycznymi przeżyciami.

Marzę dalej

Wiele z moich marzeń już się spełniło, ale marzę dalej – o tym, by każdy mógł odzyskać to, co mu odebrano. Marzę o lepszym świecie, w którym wszystkie dzieci mogą dorastać bezpiecznie. Żyję dla tego marzenia.

Odważyłam się stawić czoło swojemu piekłu. Jako dorosła kobieta musiałam ponownie spojrzeć prosto w paskudnie wykrzywione oblicze mojego strasznego dzieciństwa. Wciąż na nowo podejmowałam decyzję, by walczyć tak długo, aż odzyskam wewnętrzną i zewnętrzną wolność. Nauczyłam się akceptować samą siebie taką, jaka jestem, ze wszystkim, co mnie spotkało.

Zapełniłam wiele pamiętników i zapisywałam systematycznie to, o czym marzę i jak chcę to osiągnąć. Tylko w ten sposób mogłam działać zgodnie z wyznaczonymi celami.

Nadal stosuję tę technikę, wizualizuję swoją przyszłość. Życie wynagrodziło mnie nawet bez procesów sądowych, bez przeprosin ze strony sprawców, bez dochodzenia sprawiedliwości i bez odszkodowania.

Jestem wdzięczna za to, że odnalazłam na powrót wiarę. Nie tę, której nauczono mnie w dzieciństwie, tylko wiarę w nadzieję i miłość.

Jestem wdzięczna za siłę do podjęcia walki i duchowy rozwój. Zdołałam przetrwać i opanować wiele trudnych sytuacji życiowych, nie odnosząc trwałych urazów. To wielkie szczęście!

Dziękuję wszystkim, którzy stali u mego boku, zwłaszcza moim synom, Raphaelowi i Timonowi. Dzięki nim przetrwałam trudne chwile! Jestem ogromnie szczęśliwa, że mam przy sobie dwoje silnych, zdrowych i kochających dzieci. Dziękuję mojemu mężowi, który mnie wspierał, i Gudrun, która podtrzymywała mnie na duchu w wielu godzinach i pomogła mi wyjawić moją tajemnicę. Dziękuję z całego serca również mojemu byłemu mężowi, na którego zawsze możemy z synami liczyć, moim przyjaciółom i krewnym oraz wszystkim, którzy stali u mego boku. Dziękuję wam za to, że mogę dziś być szczęśliwa.

Posłowie

Christinę poznałam naprawdę dopiero w jej pracowni. Od początku miałam wielki szacunek dla jej talentu. Wszystkie obrazy Christiny nosiły w sobie tajemnicę, którą pragnęłam zgłębić. Kontakt z malarstwem i literaturą zbliżył nas do siebie. U młodej artystki wyczuwałam uśpiony pod powierzchnią wulkan. Nie byłam zatem zaskoczona, gdy wreszcie zaczęła mówić. Słuchałam. To, co usłyszałam, było po prostu potworne. Początkowo trudno było mi zrozumieć różne zależności. Miałam wrażenie, że Christina bardzo się powstrzymuje i nie chce opowiedzieć mi wszystkiego. Słuchając jej urywanych wspomnień, musiałam stale segregować informacje, aby zyskać czytelny obraz sytuacji. To ochroniło mnie jednak przed wspólnym cierpieniem, przed wciągnięciem w wir bólu, smutku i gniewu.

Za każdym razem poznawałyśmy się lepiej i coraz bardziej sobie ufałyśmy. Nauczyłam się oceniać, czy wolno mi wypytywać o szczegóły, czy też na dany dzień powinnyśmy już skończyć.

Christina wciąż mnie jednak zaskakiwała – pewnej soboty chciałyśmy wybrać się razem do Zurychu na tańce. Kiedy po nią przyjechałam, zastałam ją samą w kuchni, zupełnie rozstrojoną i krzyczącą. Nie wiedziałam, co robić, mogłam tylko objąć ją i mocno trzymać. Stałyśmy tak całą godzinę między piekarnikiem a zmywarką, godzinę, w której Christina ciągle krzyczała i nie była w stanie opowiedzieć mi, co się stało. Uspokajała się powoli i w końcu z wielkim trudem, urywanymi zdaniami opisała mi jedno z wielu strasznych zdarzeń ze swojego dzieciństwa, które właśnie przeżyła na powrót we wspomnieniach. Christina była na skraju wyczerpania – opuchnięta twarz, ledwo słyszalny głos, przerażenie gwałtownymi emocjami i nerwy w strzępach. Usiadłyśmy, jej oddech powoli się wyrównywał. Potem opowiedziała mi ponownie całe zajście, dokładnie, ze wszystkimi szczegółami.

To, co usłyszałam, było wstrętne i odpychające. Przeszła mi ochota na tańce. Christinie jednak nie.

– Chodź, teraz możemy wyjść! To mi dobrze zrobi, wszystko mi jedno, jak wyglądam!

Tak, muszę przyznać, że miała rację. Był to jeden z naszych najpiękniejszych wieczorów w Zurychu.

W tych latach moja własna wiara, niezależna od instytucji kościelnych, stale wzrastała, zyskiwałam wewnętrzną siłę i jasność widzenia. Zmiany zachodzące w Christinie były dla mnie nieustannie bodźcem, by poddawać się próbom i zmieniać samą siebie. Zawsze, gdy napotykałam w życiu jakiś problem, myślałam o tym, jak jest on drobny w porównaniu z problemami Christiny. Mimo to zdarzało się, że trudności doprowadzały mnie do rozpacz. Z każdym problemem, dużym czy małym, trzeba się było jednak uporać. Byłam zdecydowana rozwiązać swoje wewnętrzne i zewnętrzne konflikty. Christina była dla mnie wzorem – jeżeli jej się udało, uda się i mnie!

Christina została moją najlepszą przyjaciółką. Życzę wszystkim, by mieli takiego najlepszego przyjaciela. Kogoś, kto zawsze w nas wierzy, ale przed kim nie da się niczego ukryć.

Gudrun Ruttkowski